

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



Portr. III str. okładki

2

(54) 2008

Wspominamy Ojca Adama ♦ Głosy o Kościele za kordonem ♦
O lwowskich uczelniach ♦ O s. Marcie Wieckiej, księdzu Fedoro-
wiczu i pilotce D. Sikorzance ♦ Ojciec M. Karaś opowiada o pracy
we Lwowie ♦ Opowiadanie o Walach Gubernatorskich ♦ Wiersze
Ireny Sandeckiej ♦ Cytaty ♦ Słownik ♦ Książki ♦ Kronika

PRZEPRASZAMY, ŻE ŻYJEMY

Ostatnio pisaliśmy sporo o rzeczach ważnych. W CL 3/07 (*Słowo od Redakcji*) zwracaliśmy uwagę – czyją? – na psucie na Wschodzie wielowiekowego dorobku kultury i cywilizacji zachodnioeuropejskiej, wniesionej przez Polskę na Ziemię Wschodnie, tak jak do całej Małopolski, Wielkopolski, na Mazowsze i do wszystkich innych regionów kraju. Wniesionej przez Polaków oraz zapraszanych z Zachodu budowniczych, artystów, rzemieślników. I mówiąc po dzisiejszemu – inwestorów, świeckich i duchownych. Psucie tego nieświadome, ale częściej świadome.

Jeszcze ważniejszy problem poruszyliśmy w CL 1/08 (*Naszym zdaniem*, s. 5) zwracając uwagę na problem wysiedleń, wysoko stawiany przez Niemców, zaś u nas – o nas – całkiem pomijany.

Przedziwna konstrukcja historyczno-polityczno-logiczna powstaje, gdy polska strona zamierza reagować na „wypędzenia” Niemców z Ziemi Zachodnich. Jako nasz argument podaje się więc, że Polacy odzyskali swoje pradawne ziemie, z których zostali przez wieki odsunięci przez Niemców (podając jako analogię powrót Żydów po 2000 lat do Izraela). Powstaje tym samym nieodparty argument, że to istotnie Niemców... Polacy wypędzili dla własnych ambicji historycznych. A przecież prawda jest zupełnie inna, bo uczynił to Stalin, zyskując w sposób kapitalny kilka korzyści: zagarnął połowę naszego kraju, wyrugował z niej Polaków (zyskując w t e d y uznanie ze strony Ukraińców, Białorusinów, a nawet Litwinów); w zamian – by wysiedlonych Polaków pomieścić – ofiarował nam ziemie na Zachodzie, przez wieki (nie da się ukryć) zniemczone, zbliżając swe imperium do Zachodu, a przy okazji antagonizując nas na trwałe z Niemcami. Dlaczego więc strona polska „pcha się” w argumenty nieprawdziwe? Prawdziwe są silniejsze.

Dużo by o tych sprawach mówić, ale jeszcze więcej czynić. Cóż, kiedy na przeszkodzie staje polityka i jej niezrozumiałe przekręty i wykręty. Polityka, która polega z jednej strony na nieprzemysłanych *duserach** wobec strony trzeciej, od drugiej zaś na całkowitym, wręcz obraźliwym ich ignorowaniu. W Warszawie nie da się od wielu lat zrealizować pomnika ofiar ukraińskiego ludobójstwa, a we Lwowie ustawiono gigantyczny pomnik człowieku mordercy tych ofiar. W RP co chwilę oddaje się Ukraińcom najróżniejsze obiekty – świątynie, biskupie pałace, w Krakowie nawet „użyczono” Ukraińcom (na jak długo?) gotycko-renesansową kamienicę, najpiękniejszą na podwawelskiej ulicy Kanoniczej. We Lwowie i Małopolsce Wschodniej nie oddaje się łacinnikom żadnych kościołów, przeciwnie – vide kościoły św. Marii Magdaleny i MB Gromnicznej – a przez całe lata odmawia się obiektu lub nawet działki pod budowę Domu Polskiego. I nie ma u nas takiej siły, która by potrafiła postawić stronę jasno i twardo.

Dziś na Ziemiach Zachodnich urodziły się i dorosły co najmniej dwa pokolenia Polaków, w odbudowę tamtejszych miast i wsi włożyliśmy niemało środków i sił. Jednak swoją krzywdę sprzed lat Niemcy potrafią dziś dyskontować, my zaś naszą krzywdę... ukrywamy. Problemu nie podnosimy, żeby kogoś innego nie urazić? Doszło do tego, że Niemcy to wypędzeni, a my przesiedleni albo – jeszcze gorzej – repatrianci. Zapewne z dobrej woli?

I co z tego wyniknie?

Redakcja

* by nie użyć słowa *umizgi*

Za łaskawym przyzwoleniem p. dr Karoliny Grodziskiej, autorki „Księgi cytatów o Lwowie – MIASTO JAK BRYLANT...”, przedstawiamy kilka kolejnych cytatów z literatury o Lwowie z wieków XIV–XVI. Księgę tę omawiamy w dziale NOWE KSIĄŻKI w tym numerze CL. ►

MIASTO JAK BRYLANT... (2)

Pragniemy i miasto Lwów, i wszystkich jego obywateli i mieszkańców, prawnie nam i Rzeczypospolitej podległych, wyznania katolickiego, ormiańskiego i greckiego, nowym zaszczytem obdarzyć na przykład pamiętnego męstwa dla miast innych. Dlatego też ich bez żadnej różnicy wyznań chrześcijańskich, wszystkich, w dawniejszych ich prawach i przywilejach, przez przodków naszych nadanych i zwyczajach (nic w nich nie zmieniając), zachowujemy, a nadto ich i ich potomków prawnych i całe miasto z prerogatywami miast Krakowa i Wilna (o ile się odnoszą do praw i tytułów szlacheckich) porównujemy i niemniej według jednogłośnej zgody naszego senatu i zgodnych głosów stanu rycerskiego na obecnym sejmie walnym wspomniani obywatele lwowscy mają brać udział w wyborze królów polskich po wieczne czasy, za pośrednictwem dwóch ze swego magistratu i wybór ten będą podpisywali.

Jan Kazimierz, w przywileju nobilitacyjnym dla miasta Lwowa, 8 sierpnia 1658,
tłum. Franciszek Jaworski

Między wszystkimi miastami Królestwa najliczniejszymi zasługami względem Rzeczypospolitej, wobec poprzednich królów i wobec nas, niewzruszoną w mnogich niebezpieczeństwach wiernością, wyróżnia się nasze miasto Lwów, który w tylu nieprzyjacielskich oblężeniach przez Kozaków, Moskwę, Tatarów, a teraz świeżo przez Turków podupadł, lecz nie uległ. Z tych to chwil tak krytycznych wyszedł zwycięsko, wstrzymał z podziwienia godnym męstwem i odwagą potęgę otomańską i nie dopuścił, aby ona wdarła się do wnętrza Królestwa. Mieszczanństwo zaś lwowskie oświecone, pełne cnót obywatelskich i form wykwintnych, słynie daleko poza granicami Polski, nie tylko chwałą wojenną, lecz także cywilizacyjną, miasto przeto wykształceniem, męstwem, trwałą wiernością względem Rzeczypospolitej zasłużyło na wiekopomną sławę i szczególniejszą łaskę.

Jan III Sobieski, na sejmie koronacyjnym, 1674

Da się powiedzieć o mieszczaństwie lwowskim, że długo, dłużej niżby oczekiwać tego było można po tych katastrofach, jakie weń godziły, trzymało się na wyżynie cywilizacji polskiej, której było niepoślednim ogniskiem, i że dotrwało *usque ad finem* w patriotycznej wierności Rzeczypospolitej, której było przednią strażą szarńcową [...]. Były czasy, kiedy wszystko się waliło na Rusi polskiej, a Lwów stał prosto, jedyna przystań dla rozbitków wśród burzy. Wśród zamieci kozackich buntów, kiedy w odmęcie strachu i pożogi zniknęło wszystko, co w tej części ziem polskich było władzą, ładem, bezpieczeństwem i nadzieją jakiegoś jutra, Lwów jeden widniał na horyzoncie, a jego baszty i wieże unosiły się jak arka na falach potopu.

Władysław Łoziński, *Patrycja i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII wieku*

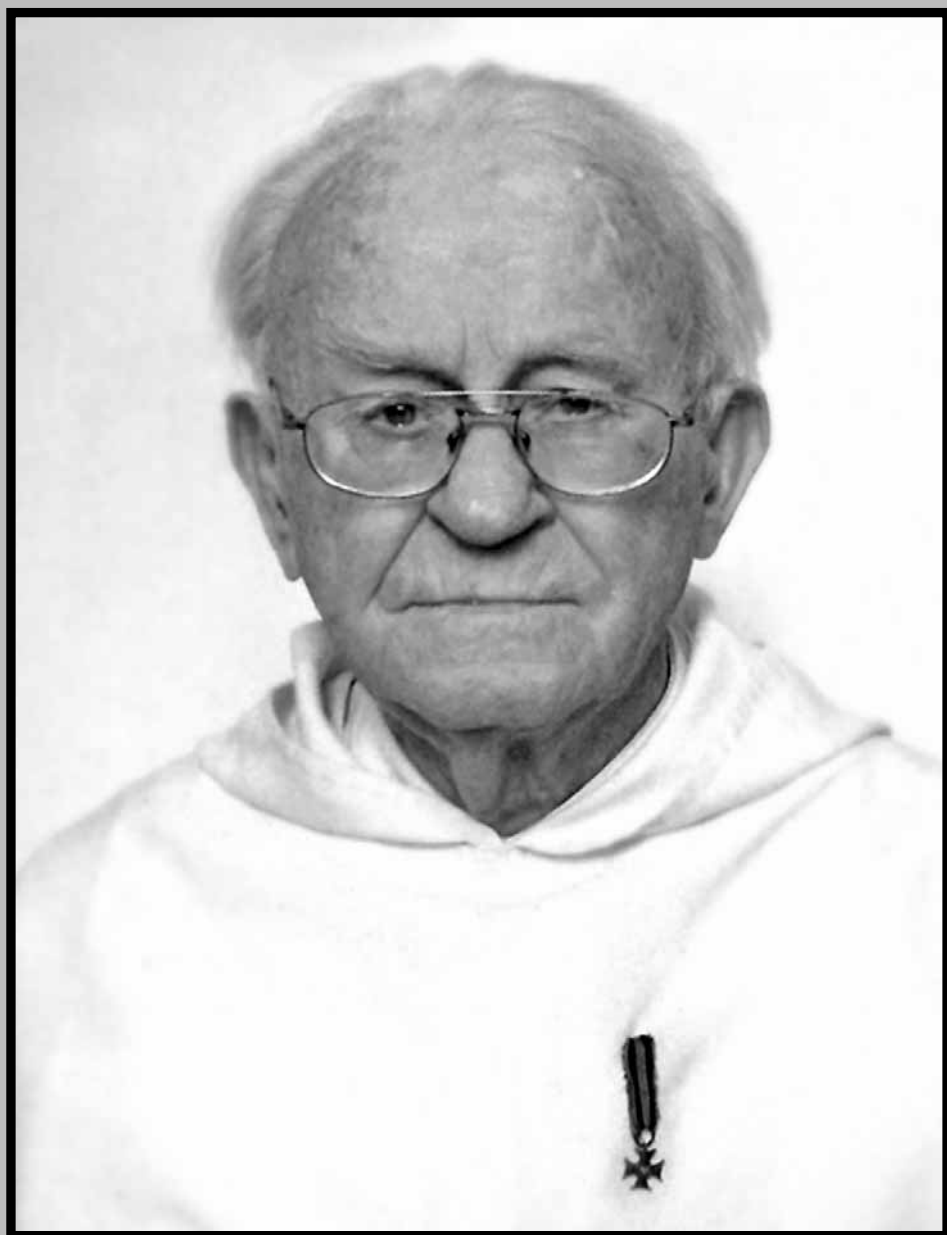
Mieszczanie zaczęli budować domy murowane i dotąd je wznoszą ładnie i kosztownie. Miasto to posiada bowiem najlepsze kamieniołomy w porównaniu z innymi miastami Polski, cztery cegielnie i wiele pieców do wypalania wapna oraz mnogą obfitość drzewa budowlanego. Miasto posiada także w pobliskich górach pokłady gipsu i alabastru tak pięknego i przejrzystego, że podobnego gdzie indziej mało można znaleźć. Ma architektów i najdoświadczniejszych budowniczych Polaków, Niemców, Włochów i w każdym zawodzie mistrzów tak znakomitych, że nigdzie w Polsce nie można by lepiej dokonać uzbrojenia wojska, jak tutaj. Dokoła tego miasta w sąsiedztwie osiadła najznakomitsza szlachta polska: Żółkiewscy, Ostrorogowie, Chodkiewicz, Daniłowicze, Sieniawscy, Jazłowieccy, Buczaccy, Bełzeczcy, Korniaktowie i wielu innych najdoświadczniejszych wodzów i zawołanych rycerzy w takiej liczbie, że mogłoby się здаwać, iż szlachta całego Królestwa tu się wywodzi. Ci wszyscy miasto Lwów kochają, ozdabiają i popierają.

Jan Alnpek, *Opis miasta Lwowa, między 1603 a 1605*

2 kwietnia 2008 r. odszedł do Pana

o. ADAM Franciszek STUDZIŃSKI

**dominikanin, kapelan spod Monte Cassino,
generał brygady Wojska Polskiego**



Fot. o. Jerzy Bakalarz

Urodzony 2 czerwca 1911 r. w Strzemienu k. Żółtkwi. W r. 1928 wstąpił do zakonu Dominikanów, studia filozoficzno-teologiczne oraz święcenia kapłańskie otrzymał w 1937 r. we Lwowie.

Po najeździe sowieckim na Polskę przez Węgry dotarł do Palestyny, gdzie wstąpił w szeregi Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Z 4. Pułkiem Pancernym jako jego kapelan odbył kampanię wojenną we Włoszech. Towarzyszył polskim Żołnierzom, w większości – podobnie jak On – synom Ziemi Kresowych – uczestnicząc bohatersko w bitwie pod Monte Cassino i innych, aż do zwycięstwa.

Do Polski wrócił w 1947 r. Po studiach konserwatorskich na krakowskiej ASP ratował dzieła sztuki sakralnej do ostatka.

Działal aktywnie w Krakowie jako kapelan w organizacjach kombatanckich i Harcerstwie, a także jako opiekun środowiska emigrantów ze Lwowa i Ziemi Południowo-Wschodnich. Od 1985 r. współorganizował nasze spotkania w salach klasztoru oo. Dominikanów, zawsze otwierając je modlitwą za Ojczyznę i dzieląc się swymi odczuciami kapłana i Polaka-patrioty.

Za to wszystko otrzymał wiele odznaczeń, w tym Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari za Monte Cassino, Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski i szereg innych, w tym brytyjskie i włoskie.

Należał do Ludzi nam najbliższych i kochanych. Żegnamy Cię, Drogi Ojczy Adami, z wielkim żalem. Pamięć o Twojej postawie oraz dokonaniach czasu wojny i pokoju będzie zawsze dla nas drogowskazem.

Zarząd i Członkowie
Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich



**Kwiaty na grobie Ojca Adama.
Na pierwszym planie wieniec
od Oddziału Krakowskiego TMLiKPW**



**Reprezentacja Wojska Polskiego
oraz krakowskie Bractwo Kurkowe**

**Zdjęcia z pogrzebu
o. gen. Adama Studzińskiego
na cmentarzu Rakowickim w Krakowie**
Fot. Anna Madej

DRAMAT POLAKÓW W KOŚCIELE KATOLICKIM NA BIAŁORUSI I UKRAINIE

Na dawnych Kresach Wschodnich I i II Rzeczypospolitej (a także w Rosji) Kościół katolicki obrządku łacińskiego był od stuleci w ogromnej większości reprezentowany przez ludność polską. W okresie rozbiorów władze carskie, dążąc do rusyfikacji zajętych ziem, już w latach 30. XIX wieku zlikwidowały rozwinięte tam przez Komisję Edukacji Narodowej szkolnictwo polskie i wyrugowały język polski ze wszystkich instytucji państwowych. Ta sama sytuacja panowała w czasach ZSRS.

W wyniku warunków, w jakich Polacy na wspomnianych ziemiach pozostawali przez niemal 200 lat, powstało specyficzne zjawisko kulturowe, nieznane w centralnej Polsce.

JĘZYK CODZIENNY I JĘZYK RELIGII

Zjawisko polegało na tym, że pomimo braku znajomości języka ojczystego lub nieużywania go na co dzień ze względu na otoczenie czy zwyczaj, tamtejsza ludność katolicka zachowała polską świadomość narodową. Opierała się ona o język łaciński i polski w życiu religijnym. Łacińska liturgia i polska paraliturgia była przestrzenią kulturową ważniejszą niż własne państwo i pozwalała świadomości tę zachować. W ten sposób powstały dwie sfery językowe. Jedną stanowiła i nadal stanowi komunikacja codzienna. Na Białorusi panuje w niej na wsi język *prosty* (gwara białoruska), a w miastach i miasteczkach rosyjskich, na Ukrainie – język ukraiński, a na wschodzie tego kraju także rosyjski.

Druga sfera, widoczna szczególnie w niedziele i święta, istniała od dawna i istnieje nadal w życiu religijnym. Ogromna większość wiernych w obydwu wspomnianych krajach modli się w języku polskim, niezależnie od stopnia jego czynnej lub biernej znajomości. W czasach ZSRS wierni przepisywali ręcznie modlitewniki w języku polskim, lecz alfabetem rosyjskim. Po nastaniu wolności religijnej

wydawano je niekiedy na Białorusi i Ukrainie drukiem w takiej samej postaci, wychodząc naprzeciw oczekiwaniom. Znikały one natychmiast z punktów sprzedaży. Pomimo zmian politycznych w omawianych krajach język polski w liturgii i modlitwie prywatnej jest najważniejszą i zwykle jedyną oznaką ich tożsamości duchowej, którą większość pragnie zachować.

Ponieważ katolicyzm obrządku łacińskiego był na Wschodzie reprezentowany głównie przez Polaków, powstał tam stereotyp *katolik-Polak – Polak-katolik*, powodujący jego utożsamienie z polskością. Szybkie zmiany w tym względzie rozpoczęły się po II Soborze Watykańskim. Jako że jego dekrety dopuszczały wprowadzanie do liturgii języków narodowych zamiast łaciny, najpierw wprowadzony został na Białorusi i Ukrainie język polski, a następnie inne języki miejscowe: białoruski, ukraiński i rosyjski, w zależności od terenu. Powoli w tym czasie ujawniły się zmiany w narodowościowym składzie wiernych, spowodowane przez proces wynarodowienia Polaków.

Dla przybywających do pracy na Białorusi i Ukrainie duszpasterzy i siostr zakonnych z Polski, z reguły bez elementarnej znajomości dziejów miejscowego Kościoła i społeczności katolickich, ich religijna i kulturowa specyfika, widoczna w istnieniu wspomnianych wyżej dwóch sfer językowych i samookreślania się wiernych jako Polaków przy słabej znajomości języka polskiego, była nieznana i niezrozumiała. Często byli zaskoczeni samą obecnością Polaków w tych krajach, ponieważ szkoły i seminaria duchowne nie przekazywały żadnej wiedzy na ten temat (stan ten w zasadzie trwa do dziś!). Toteż niekiedy przekonywali parafian, że są spolonizowanymi Ukraińcami lub Białorusinami i szybko uznawali za konieczne wprowadzenie do kościołów języka białoruskiego i ukraińskiego zamiast polskiego. Ważny był sposób reali-

zacji tych zmian. Tam, gdzie wprowadzono osobną liturgię w różnych językach, zostało to przyjęte ze zrozumieniem. Tam natomiast, gdzie w sposób odgórny i arbitralny eliminowano język polski na rzecz białoruskiego czy ukraińskiego, było to dla wiernych dotkliwym zlekceważeniem i upokorzeniem. Decyzje te odebrali jako głęboko niesprawiedliwe i niezrozumiałe, zwłaszcza gdy chodziło o księży z Polski, z którymi wiązali wiele nadziei. Obecny od niepamiętnych czasów w kościele język polski był bowiem dla ogółu wiernych całkowicie zrozumiały i stanowił dla nich szczególną wartość emocjonalną i religijną. W nim wyrażali swoją wiarę w czasach prześladowań religijnych i antypolskich i w nim widzieli najważniejszy znak odrębności duchowej i narodowej. Tylko niekiedy protestowali, gdyż powstrzymywał ich od tego dawny i wielki autorytet księży.

MNIEJSZOŚĆ NARODOWA WIĘKSZOŚCIĄ W KOŚCIELE KATOLICKIM

Cały szereg czynników powodował zmiany w polskim samookreślaniu się znacznej części wiernych Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego na Białorusi i Ukrainie. Są to: nieznanostwo dziejów Polski i jej kultury wynikająca z braku oświaty polskiej przez kilka pokoleń, wieloletni zapis w dowodzie osobistym innej niż polska narodowości dokonany w czasach ZSRS, obawa przyznania się do narodowości polskiej w czasach represji stalinowskich i później, sytuacja mniejszościowa Polaków oraz mieszane małżeństwa. W wyniku działania tych i innych czynników w społecznościach katolickich obrządku łacińskiego, niegdyś całkowicie polskich, są obecnie także wierni o białoruskiej i ukraińskiej świadomości narodowej. Dotyczy to zwłaszcza młodego pokolenia. W związku z tym pojawiła się potrzeba liturgii w innych językach. Jednak zdecydowana większość wiernych Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego nadal utożsamia się z narodowością polską. Przeprowadzone ostatnio badania, oparte na dużej reprezentacji, wskazują, że na Ukrainie jest to ogółem 71%, a na Białorusi 63% (na Grodzieńszczyźnie 83,8%), choć 82% katolików podaje tu pochodzenie polskie. Wskazuje to na charakterystyczny paradoks: mniejszość narodowa, którą w tych krajach stanowią Polacy, jest większością w Kościele katolickim.

List do proboszcza

Parafianie Kościoła św. Antoniego we Lwowie od pewnego czasu poruszają problem języka polskiego w Kościele. Publikujemy list skierowany do ks. proboszcza Aleksandra Litwiniuka w ub. roku.

Czcigodni Ojcowie,

dla Polaków Lwowa sprawą niezwyklej wagi jest zachowanie tradycji narodowych i możliwości wyznawania wiary w języku naszych przodków. Dzięki determinacji i twardej postawie naszych rodziców wiara przetrwała, nie zamknięto wszystkich świątyń, a nawet zachowano ich substancję materialną. Parafianie Sanktuarium św. Antoniego oraz Polacy Lwowa są zaniepokojeni sytuacją spowodowaną wprowadzeniem liturgii w języku ukraińskim zamiast istniejącej już o godzinie 18.00 mszy świętej po polsku.

W okresie ZSRR msze św. odprawiano 2 razy w tygodniu i odbywało się to w języku polskim. Następnie udało się wywalczyć codzienne nabożeństwa, również w języku polskim. Obecnie czynione są próby zabrania nam tego, co było utrzymywane w wielkim trudem i poświęceniem przez wszystkie powojenne lata – możliwość wyznawania wiary i uprawiania kultu w swoim ojczystym języku polskim. Z uzyskaniem niepodległości pojawiły się rzymskokatolickie wspólnoty parafialne: rosyjska i ukraińska, które mają nabożeństwa w kościele św. Antoniego. Ze względu na powszechność Kościoła katolickiego ze zrozumieniem przyjęliśmy ten fakt. Każda mniejszość narodowa na Ukrainie, również polska, ma zagwarantowane przez Konstytucję prawo do posługiwania się językiem ojczystym publicznie, w tym w miejscach uprawiania kultu religijnego. Teraz nasze prawo konstytucyjne staje się coraz bardziej ograniczane pomimo tego, że żyjemy w Niepodległej Ukrainie.

Szczególnie drastyczne były niestosowne wypowiedzi po wygłoszonych naukach rekolekcyjnych. Piękne treści nauk zostały zniwelowane przez niezrozumiałą postawę językową duszpasterzy. Publicznie jesteśmy oskarżeni o wrogą postawę wobec

Obecnie w kościołach na Białorusi i Ukrainie sytuacja, jeśli chodzi o język liturgii, jest bardzo zróżnicowana. Zależy ona od położenia geograficznego parafii (zachodnia lub wschodnia część tych krajów) oraz od stopnia szacunku duszpasterza dla oczekiwań i duchowych potrzeb wiernych. Ogólnie mówiąc, na zachodnich terenach tych republik obecny jest w kościołach język polski oraz inne języki w takim lub innym wymiarze. W ich części wschodniej, gdzie ogół wiernych nie zna już języka polskiego, jest on tam w liturgii, poza wyjątkami, nieobecny. W stolicy Białorusi, Mińsku, gdzie katolicy polskiego pochodzenia przybyli z Kresów Wschodnich II RP liczą ponad 300 tys., liturgia w języku polskim istnieje w niewielkim lub minimalnym wymiarze. Na Ukrainie za przedwojenną granicą Polski istnieją parafie, gdzie został on już zastąpiony przez ukraiński, choć ogół wiernych nie wyrażał takiego życzenia. Przeciwnie, prosili oni o jego zachowanie. Prośby tego rodzaju były ignorowane. Istotną sprawą nie jest jednak wszędzie nieaktualny i zmienny stan faktyczny, lecz nastawienie dużej części duszpasterzy na eliminację języka polskiego z liturgii, niezależnie od oczekiwań parafian. Taka lub inna opcja narodowościowa duchownego duszpasterza jest jego osobistą sprawą. Gdy jednak w sposób negatywny rzutuje ona na jego stosunek do oczekiwań wiernych innej niż on narodowości dotyczących języka w liturgii, prowadzi to do naruszenia ich praw w Kościele.

Na Białorusi białorutenizacja języka w Kościele uważana jest często przez duchowieństwo z Polski oraz część duchowieństwa miejscowego za działanie postępowe, a język polski w kościele za element nieaktualnej już przeszłości. Nastawienie to, zapoczątkowane przez pierwszą ze wspomnianych kategorii duszpasterzy, przyjęła znaczna część młodego pokolenia księży miejscowych. Pochodzą oni zwykle z polskich rodzin. Jednak najczęściej nie były one w stanie przekazać swym dzieciom jakiegokolwiek wiedzy o historii i kulturze Polski. Toteż ich opcja narodowościowa, bardzo często inna niż rodziców, jest wynikiem poznania w szkole i z mass mediów historii i kultury Białorusi lub Ukrainy w jej budzącym dumę narodową ujęciu, przy całkowitej nieznajomości historii Polski i jej kultury lub zapoznaniu się z nią w dalekich od rzeczywistości ujęciach, popularyzowanych

w tych krajach. Ogólnie mówiąc, opcja ta jest rezultatem pozbawienia Polaków, najpierw przez władze carskie, a później sowieckie, możliwości poznania dziejów i kultury swego narodu.

POSTULAT SAMOBÓJSTWA ETNICZNEGO W KOŚCIELE

Kwestią, która pozostaje w gestii biskupów kierujących diecezjami, w których są różne grupy narodowe, jest sprawa zapewnienia każdej z nich możliwości korzystania z liturgii w ojczystym języku. Takie są wskazania wielu dokumentów papieskich. Niektórzy z hierarchów i duszpasterzy w omawianych tu krajach zdają się ich nie dostrzegać i przyjmują opinię, że skoro Polacy znają miejscowy język państwowy, to powinni mieć liturgię jedynie w tym języku. Tego rodzaju pogląd wyraża także niekiedy hierarchia Kościoła greckokatolickiego Kijowskiego Patriarchatu. Uzasadnia to potrzebą wzniesienia się ponad partykularyzmy narodowe. Postulat ten jednak kierowany jest nie do każdej ze stron, lecz jedynie do Polaków.

Kardynał Lubomyr Huzar, głowa Kościoła greckokatolickiego na Ukrainie, z okazji wizyty Papieża Jana Pawła II w tym kraju w czerwcu 2001 r. postulował określenie się Kościoła rzymskokatolickiego, czy *chce on być na Ukrainie Kościołem katolickim obrządku łańcińskiego czy Kościołem polskim*. Jeśli wypowiedź ta została właściwie zanotowana, to odmawia ona katolickiego charakteru istniejącemu od stuleci Kościołowi obrządku łańcińskiego z tego względu, że jego wierni modlą się po polsku. Oznacza także odmowę prawa do własnego języka w Kościele największej grupie jego wiernych. Relacjonujący tę wypowiedź publicysta polski dodał, że Kościół obrządku łańcińskiego stoi przed podstawowym dylematem *wyboru pomiędzy wiernością swej dawnej polskiej tradycji a ewangelizacją społeczeństwa ukraińskiego w jego własnym języku*. Jest to w istocie żądanie od wiernych narodowości polskiej, obecnych w tym Kościele, rezygnacji z ojczystego języka w modlitwie, a więc wyrzeczenia się własnej tożsamości narodowej, która dla każdego człowieka jest niezwykle wartościową duchową. Tylko całkowite zlekceważenie tego faktu mogło pozwolić na tak arbitralne sformułowanie. Jako uzasadnienie publicysta podał *ewangelizację społeczeń-*

stwa ukraińskiego. Społeczeństwo to jest w przytłaczającej większości prawosławne, a w pewnej części greckokatolickie. Nasuwa się pytanie, kogo ma ona dotyczyć po eliminacji z Kościoła katolickiego *dawnej tradycji polskiej*, a w rzeczywistości języka polskiego.

KOŚCIÓŁ DOMEM DLA KAŻDEJ NARODOWOŚCI

Należy tu przypomnieć naturę Kościoła: nie może on być polski, ukraiński, białoruski; litewski itp., lecz powinien być Kościołem katolickim w Polsce, na Ukrainie, na Białorusi czy na Litwie, w którym jest miejsce dla wszystkich, którzy chcą do niego należeć i modlić się w swoim języku. Wszyscy, niezależnie od narodowości, mają w nim takie same prawa do liturgii, nauczania i opieki religijnej w swoim języku, jeśli sobie tego życzą. Odmawianie tego ludności polskiej z racji jej zamieszkania w państwie białoruskim czy ukraińskim jest zaprzeczeniem ponadnarodowej misji Kościoła. Jego zadaniem nie jest służba zachowaniu świadomości narodowej tej czy innej grupy wiernych ani też zmienianie jej na inną za pomocą zmiany języka nabożeństw, lecz odpowiadanie na oczekiwania i prośby, gdy chodzi o język liturgii.

W Kościele katolickim obrządku łacińskiego nie może być wyłączności narodowej i językowej i nie może być ona wprowadzana do tego Kościoła, jak to się już niekiedy dzieje. Podczas wielkich uroczystości religijnych na Białorusi w niektórych sanktuariach maryjnych tysiące obecnych wiernych nie może zaśpiewać ani jednej znanej im od wieków pieśni w języku polskim, bo miejscowi duszpasterze wypełniają cały jej program językiem białoruskim. Tak było np. 15 lipca br. w parafii Gudogaje w obwodzie grodzieńskim, gdzie odbyła się koronacja obrazu Matki Boskiej, czczonego tam od kilku wieków. Parafią kierują zakonnicy z Polski.

Postulat białorusyzacji i ukrainizacji wspomnianego Kościoła, w którym są Polacy, nasuwa pytanie o ewentualną reakcję jego autorów na podobne żądanie w stosunku do mniejszości narodowych w Polsce przejścia w ich życiu religijnym na język polski z racji jego znajomości i miejsca zamieszkania. Nie trudno przewidzieć, że byłaby ona niesłychanie negatywna i wywołałaby głośne protesty w kraju i na świecie. Tymczasem tego rodzaju

naszych współparafian. My, Polacy, traktujemy ich jak współbraci w wierze, aczkolwiek pragniemy, jak każdy naród, zachować czystość języka liturgicznego dla każdej narodowości. Najbardziej dotknął nas fakt postawienia pytania językowego przed dziećmi w wieku przedszkolnym i młodszym szkolnym, pomijając opinię obecnych rodziców na spotkaniu rekolekcyjnym w dniu 19.12.06 r. o godz. 12.00. Dzieci przyszły na rekolekcje w języku polskim, a zmuszone były do wysłuchania ich w języku ukraińskim. Rekolekcje adwentowe były zakończone oskarżeniem Polaków o chęć usunięcia wiernych innych narodowości z naszej parafii. Takie publiczne oskarżenie mija się z prawdą, jest bezpodstawne i szkodliwe dla nas wszystkich przez eksponowanie nieistniejącego problemu w miejscu świętym. Zamiast zgody i pokoju w sercach parafian różnych narodowości zasiano zamęt w dniu 10.12.06 r. o godz. 18.00.

Nasza postawa jest tolerancyjna wobec potrzeb wprowadzenia odrębnych godzin nabożeństw w innych językach. Wyrażamy głęboką potrzebę wyznawania wiary w języku polskim, który jest zrozumiały wszystkim wiernym. Posługujemy się nim na co dzień. Jest to również wspaniała możliwość utrwalenia polszczyzny dla tych, którzy ją zapominają, bądź tych, którzy chcą się polskiego nauczyć. Ukraiński bowiem jest nam wszystkim dobrze znany jako język porozumiewania się we Lwowie i język urzędowy. Językiem modlitwy jest jednak dla każdego język ojczysty.

Bardzo nam zależy na utrzymaniu dotychczasowych godzin odprawiania mszy świętych w języku polskim niezależnie od wprowadzanych dodatkowo mszy w innych językach. Prosimy o utrzymanie status quo i odprawianie nabożeństw po polsku w dotychczas ustalonych godzinach.

Z uszanowaniem
Parafianie św. Antoniego
i wierni Lwowa

[Dołączono listę z 225 podpisami]

List przepisałismy z Biuletynu Federacji Organizacji Polskich nU. nr 3/2007, za zgodą jego Redakcji.

postulat dotyczący Polaków we wspomnianych krajach nie budzi zastrzeżeń.

KWESTIA TERMINOLOGII

Ważna jest właściwa, wspomniana już terminologia. Określenia Kościoł ukraiński, białoruski czy litewski mogą prowadzić do nadawania Kościołowi katolickiemu charakteru narodowego i odmawiania w nim mniejszościom narodowym i grupom etnicznym prawa do ich własnego języka w Kościele. Należy mówić o Kościele katolickim na Białorusi, na Ukrainie, na Litwie, itp. Język liturgii i modlitwy nie może zależeć od kraju zamieszkania wiernych. Zależy bowiem od ich narodowości i życzeń, które duszpasterze, z racji swego powołania i ponadnarodowej misji, mają obowiązek respektować. Eliminowanie języka polskiego z kościołów na Białorusi i Ukrainie, niezależnie od oczekiwań wiernych, oznacza ich białorutenizację i ukraińzację oraz wypełnianie przez Kościół tego rodzaju zadania. Jest ono przeciwne jego nauczaniu oraz ogólnościowym normom prawnym polecającym respektowanie języka ojczystego mniejszości narodowych, także w ich życiu religijnym.

PRAWO DO WYBORU JĘZYKA

Związek Polaków na Białorusi, występując 1992 r. w sprawie języka polskiego w kościołach, sformułował zasady, które pozostają aktualne niezależnie od terenu. Brzmiały one: *Na Białorusi są Polacy. Mają oni prawo modlić się do Boga w języku ojczystym. Takie samo prawo mają do języka białoruskiego parafianie Białorusini. Prawo wyboru języka należy wyłącznie do wiernych, a nie do osób z zewnątrz. Powyższe zasady powinny być respektowane przez Kościół i państwo, zainteresowane osoby i instytucje.*

W Polsce mniejszości narodowe – niemiecka, ukraińska, białoruska, litewska i inne – mają swobodę posługiwania się w życiu religijnym swoimi językami ojczystymi. Na Ukrainie w regionie Zakarpacia w kościołach panuje język słowacki i węgierski. W Rumunii węgierska mniejszość narodowa bez przeszkód korzysta w duszpasterstwie ze swojego języka. W Szwajcarii w życiu państwowym i religijnym używane są cztery języki, choć istnieje jeden naród szwajcarski.

W wyniku zmian kościelnych, narodowościowych i politycznych Kościoł katolicki

obrzędki łacińskiego, istniejący niemal 700 lat na Białorusi i Ukrainie, zmienia swój dotychczasowy charakter. Z Kościoła pod względem kulturowym polskiego, staje się stopniowo w tym względzie białoruski i ukraiński, w wyniku działań części hierarchii i duszpasterzy, jakkolwiek większość wiernych utożsamia się nadal z narodowością polską i oczekuje języka polskiego w kościołach. Według wspomnianego nauczania Kościoła, mniejszości narodowe powinny mieć zapewnione prawo do wyznawania wiary w swoim języku. Na Białorusi i Ukrainie Kościół katolicki zawdzięcza ludności polskiej swoje tam przetrwanie w czasach prześladowań oraz odrodzenie. Ma ona w nim takie same prawa jak każda inna grupa narodowościowa ludności katolickiej.

DZIEDZICTWO RZECZYPOSPOLITEJ

Warto dodać refleksję dotyczącą życia religijnego na terenach dzisiejszej Białorusi i Ukrainy. Od wieku XIV poczynając, w okresie istnienia I i II Rzeczypospolitej na ziemiach tych krajów powstała rozwinięta struktura duszpasterska Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego, greckokatolickiego i ormiańskiego oraz Kościoła prawosławnego, nie mówiąc o innych religiach. Jej uzupełnieniem i rozwinięciem było kilkaset klasztorów kilkudziesięciu zakonów męskich i żeńskich katolickich obu obrządków oraz prawosławnych, prowadzących pracę duszpasterską, kulturową i charytatywną. Był to rezultat panującej w Rzeczypospolitej tolerancji i wolności religijnej. Po rozbiorach Polski dorobek materialny, kulturowy i duchowy Kościoła obrządku wschodniego, a w wielkiej mierze i łacińskiego, przejęła Cerkiew prawosławna w wyniku antykatolickich i antypolskich działań władz carskich. Obecnie na ziemiach dawnej I i II RP posiada ona więcej parafii niż w całej Federacji Rosyjskiej i stąd w ogromnym stopniu pochodzi jej duchowieństwo. W ten sposób korzysta ona z dziedzictwa religijnego Rzeczypospolitej, które powstało dzięki panującej w niej wolności i tolerancji religijnej. Dodajmy na koniec to, czego zdaje się nie dostrzegać narodowo nastawiona opozycja na Białorusi i narodowcy ukraińscy: tam, gdzie sięgały granice Rzeczypospolitej i jej kultura, zachowała się białoruska i ukraińska kultura i świadomość narodowa. Tam, gdzie panowała Rosja, dokonała się jej skuteczna rusyfikacja.

Listze Strzałkowic

Do Kurii Metropolitalnej Kościoła Rzymskokatolickiego we Lwowie

Wyrażam swój niepokój, a także niepokój tysięcy parafian, szczególnie ludzi młodych i przedstawicieli Polskich Organizacji na Ukrainie, odnośnie do masowej ukrainizacji rzymskokatolickich* parafian na Ukrainie. Ten problem dotknął centralną i wschodnią Ukrainę, Bukowinę i wkracza na Ukrainę zachodnią.

Znam wiele takich miejscowości, lecz z przyczyn znanych nie będę ich wymieniać. Podaję w załączniku artykuły z prasy o kościele w Połonym i o kościele pw. świętego Antoniego we Lwowie. Przypominam sobie ten sam problem w Drohobyczu, który został rozwiązany przez nowego proboszcza. [...]

W składzie delegacji z Ukrainy uczestniczyłem w VI Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy w Warszawie, gdzie nagłośniłem ten problem w Sejmie RP. O problemie języka polskiego w Kościele Rzymskokatolickim na Ukrainie mówili inni delegaci z Ukrainy, Białorusi, Rosji, w czasie obrad Komisji do spraw duszpasterstwa wśród Polaków za Granicą i na audyencji u Arcybiskupa Kazimierza Nycza i u biskupów Episkopatu RP. Uczestnicy Zjazdu wystosowali w tej sprawie kilka wniosków do Władz RP i do zwierzchników Kościoła Łacińskiego.

Nie mogą Polacy nie pamiętać o takich uroczystościach jak Matki Bożej Królowej Polski, Konstytucji 3 Maja i Niepodległości RP.

Nie życzymy sobie być członkami „Rzymokatolickiej Cerkwy”, bo dzięki temu, że nasi rodzice nie chodzili do cerkwi – my chodzimy do kościoła.

Przykro nam bardzo, że nie możemy Świąt Trzech Króli, Bożego Ciała obchodzić razem z Polakami w Polsce i katolikami na świecie.

Zwracam na te sprawy uwagę biskupa Mokrzyckiego. Również bardzo nas zasmucił wywiad z Biskupem Mokrzyckim do „Radości Wiary” w języku ukraińskim. Przykro, że w seminariach duchownych na Ukrainie na niskim poziomie jest wykładany

język polski, nie ma przedmiotów związanych z wiedzą o Polsce. Znane są fakty, jak księża-absolwenci trafiają do polskich parafii i uczą się języka od parafian, od dzieci – tak jest w lepszych przypadkach, a w gorszych – używają języka ukraińskiego czy rosyjskiego.

Proszę przyjąć skuteczne rozwiązanie dla tych spraw. Nie mam na myśli dyskryminacji Ukraińców, języka ukraińskiego, ale duszpasterstwo wśród Polaków musi odbywać się po polsku.

Z wyrazami szacunku,
Marek Gierczak, organista Parafii Strzałkowie, dyrektor Centrum Kulturalno-Oświatowego Wspólnoty Polskiej w Strzałkowicach
Strzałkowie 5.10.2007

do wiadomości:

1. Konsul Generalny we Lwowie
2. Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie
3. Prasa

* W kilku miejscach poprawiliśmy określenie rzymokatolicki na rzymskokatolicki. Ruska forma tego słowa jest ciągle powszechnie używana na Wschodzie.



Wiernym, którzy przez lata sowieckiego ucisku przechowali wiarę i polskość, a po upadku komunizmu własnymi rękami odbudowywali kościoły, odbiera się dziś polski język. Dla jakich racji? Jakim prawem? (Medence, 1992)

s. Irena Chorała

LWÓW – PIERWSZE KROKI SIOSTRY MARTY WIECKIEJ

Zbliża się wyniesienie do chwały ołtarzy służebnicy Bożej Siostry Marty Wieckiej, Siostry Miłosierdzia św. Wincentego á Paulo. Uroczystość beatyfikacyjna odbędzie się w dniu 24 maja 2008 roku we Lwowie na Ukrainie, gdzie Siostra Marta przeżyła ostatnie lata swojego krótkiego życia i gdzie zmarła.

POCZĄTEK DROGI – POWOŁANIA

Urodziła się na północnych terenach Polski 12 stycznia 1874 r. we wsi Nowy Wiec, w parafii Skarszewy, 21 km od Stargardu Gdańskiego. Została ochrzczona w kościele filialnym w Szczodrowie jako Marta Anna. Jej dzieciństwo upłynęło pod zaborem pruskim w okresie Kulturkampf u – ostrej walki ze wszystkim, co polskie i katolickie. W tych trudnych czasach w domu rodzinnym panowała atmosfera wzajemnej serdeczności i odpowiedzialności. Rodzina odznaczała się przywiązaniem do Boga, Ojczyzny i Kościoła.

Ulubionym świętym Marty był św. Jan Nepomucen, męczennik z końca XIV w., opiekun mostów i patron dobrej sławy. Będzie jej towarzyszył przez całe życie, a nawet po śmierci. Figurka św. Jana odnaleziona na strychu dzięki staraniom Marty została ustawiona w pobliżu domu rodzinnego. Dziewczyna kochała modlitwę i często długo stała lub klęczała przed figurą św. Jana.

Przełomowym momentem w jej życiu była I Komunia Święta. Dwa razy w tygodniu wstawała bardzo wcześnie rano, by uczestniczyć we mszy świętej w oddalonym o 11 km kościele w Skarszewach.

W takiej atmosferze modlitwy i skupienia, ale też pracowitości i zabawy z koleżankami dojrzewa jej powołanie. 26 kwietnia 1892 r. wraz z koleżanką Moniką zgłaszają się do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia Świętego Wincentego á Paulo w Krakowie i rozpoczynają formację jako postulantki. Po czterech miesiącach przechodzą do nowicjatu

(u szarytek – seminarium). 21 kwietnia 1893 r. Marta otrzymuje pełny strój sióstr miłosierdzia z charakterystycznym, wielkim białym kometem na głowie – symbolem miłosierdzia. Po ostatnim Soborze Watykańskim zniknął on z pejzażu miast i wsi na całym globie. Zamieniono go na prosty granatowy welonik.

Godło Zgromadzenia, które stało się dla Marty nową, inną niż dotychczas rodziną, przedstawia serce otoczone promieniami, a pośrodku jest krucyfiks z hasłem: *Miłość Chrystusa Ukrzyżowanego przynagla nas*. Serce, krzyż i napis streszczają duchowy i apostołski program Zgromadzenia. Wraz z otrzymaniem stroju sióstr miłosierdzia siostra Marta wpisuje się w szeregi służebnic ubogich i chorych, tej uprzywilejowanej części Kościoła.

PASJA JEJ ŻYCIA – SŁUŻENIE

Na skutek rozbiorów Polski pierwsza prowincja Sióstr Miłosierdzia założona w Warszawie rozdzieliła się na 4 prowincje: warszawską, poznańską (aktualnie chełmińsko-poznańska), galicyjską z Domem Prowincjalnym we Lwowie (1783–1859, aktualnie krakowska), litewską z Domem Prowincjalnym w Wilnie (tereny Litwy, Białorusi, Rosji).

W pierwszych latach powołania Siostra Marta posługiwała chorym w Szpitalu Powszechnym we Lwowie. To właśnie we Lwowie stawiała pierwsze kroki w służbie drugiemu człowiekowi ucząc się zawodu pielęgniarki pod czujnym okiem starszych sióstr. Siostra Marta uczyła się metody służenia chorym od prostych opatrunków do asystowania przy operacjach. Posługi pielęgniarskie często łączyły się z lekarskimi, bo z powodu braku lekarzy ich wizyty były rzadkie. Był to z pewnością radosny okres w jej życiu całkowicie oddanym Bogu w cichej i pokornej posłudze chorym.

Z tego okresu zachował się list imiennowy napisany do matki. Jest w nim prośba, która zatrzymuje naszą uwagę: *...Proszę też i za mnie się pomodlić, by Pan Bóg dał mi siły i łaski, abym mogła być dobrą siostrą miłosierdzia*. To proste zdanie streszcza jej duchowy program życia, który będzie realizować w zmieniających wspólnotach i różnorodnej służbie ubogim.

Na terenie Lwowa spotyka wielki, wspinały tygiel języków, narodowości, kultur i wy-

znań. Zgodnie z zaleceniem św. Wincentego, by siostry miały oczy i serca jedynie dla ubogich, siostra Marta z pełnym poświęceniem i świeżą młodzieńczą gorliwością służy wszystkim: katolikom trzech obrządków, Żydom. Ta otwarta postawa będzie jej towarzyszyć na każdej placówce i dlatego z pełnym przekonaniem i uznaniem można by ją nazywać błogosławioną ekumeniczną.

Następną jej placówką będzie szpital w Podhajcach, gdzie mała wspólnota sióstr służy chorym i ubogim. Siostra Marta składa tam śluby święte, potwierdzając całkowite oddanie się Bogu i służbie ubogim. Jest 15 sierpnia 1897 r. W liście do rodziców tak opisuje swoje uczucie: *...Co się mnie tyczy, nie jestem w stanie opisać szczęścia mego. Chciałabym Wam, Najdrożsi Rodzice, opisać je, ale tylko w kilku słowach. Któż może pojąć to szczęście? Wystarczą mi te błogie słowa: Miły mój mnie, a ja cała Jego.*

W kronikach zanotowano, że na jej oddziale nikt nie umierał bez pojednania się z Bogiem. W szpitalu w Podhajcach pacjent – Żyd uwierzył w Chrystusa i poprosił o sakrament chrztu. Był to pierwszy przypadek nawrócenia spowodowany wiarą, modlitwą i postawą Marty.

Kolejną placówką siostry Marty jest szpital w Bochni koło Krakowa. Tutaj spotyka się z wielkim cierpieniem i wizją bliskiej śmierci. Powodem ogromnego cierpienia było oszczerstwo, które Siostra Marta nosi

z heroiczną cierpliwością, dzielnie pracuje dalej w szpitalu, a sprawa się wyjaśnia, kiedy oszczerca przed śmiercią przyznaje się publicznie do winy i odwołuje posądzenie.

OFIARNA MIŁOŚĆ – ODDANIE SWOJEGO ŻYCIA

Ostatnim miejscem pracy siostry Marty jest szpital w Śniatynie, miasteczku w pobliżu granicy z Rumunią. Cały zespół szpitalny lubi ją i bardzo ceni. A ona służy chorym, przygotowuje ich do spowiedzi, uczy prawd wiary, pomaga w rozwiązywaniu problemów. Miejscowy proboszcz odkrywa jej szczególny charyzmat, zatroskanie o człowieka i powierza jej ludzi zdrowych, potrzebujących jakby świeckiego kierownictwa duchowego. Godny uwagi jest fakt, że siostrę Martę szczególną sympatią i szacunkiem darzą miejscowi Żydzi. Podczas jej ostatniej choroby palą świece w synagogach i gromadzą się tłumnie przed szpitalem, pytając wciąż o stan jej zdrowia.

Kroniki odnotowują przypadek rabina lokalnej wspólnoty. Rabin ze złamaną nogą trafia do szpitala podczas nieobecności lekarza. Siostra Marta przystępuje do składania nogi, łamiąc w ten sposób zakaz dotykania rabina przez obcą kobietę. Siostra szybko znajduje rozwiązanie problemu i oświadcza: – *Ja nie jestem żadna kobieta, tylko*

Dokończenie na s. 52



Grób s. Marty Włocławskiej w Śniatynie

Zbysław Popławski

DZIEDZICTWO POLITECHNIKI LWOWSKIEJ

Gdy w 1945 roku kadra naukowa Politechniki Lwowskiej, po dokonanej ekspatriacji, znalazła się w PRL i podjęła działalność na krajowych uczelniach, zaraz wyłoniło się pytanie – które uczelnie i które miasta mają moralne prawo do dziedziczenia tradycji tej znakomitej i zasłużonej uczelni.

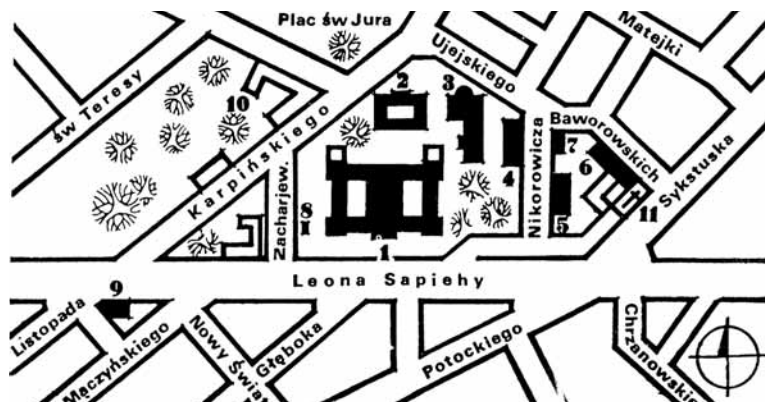
Tematowi temu było poświęconych wiele publikacji, które dawały kolejne przybliżenia odpowiedzi na to pytanie. Wątpliwości zostały ostatecznie wyjaśnione w wyniku konferencji naukowej pod hasłem „Politechnika

PRL podjęło działalność na 29 krajowych różnych uczelniach, które tutaj częściowo wymienimy, ograniczając się do znacniejszych zgrupowań, na:

Politechnice Śląskiej	96 osób
(w tym 12 profesorów)	
Politechnice Wrocławskiej	58 (8)
Politechnice Krakowskiej	44 (8)
Politechnice Gdańskiej	34 (8)
AGH w Krakowie	27 (8)
Politechnice Warszawskiej	24 (5)

Na innych uczelniach w PRL łącznie 82 (w tym 9 profesorów).

Objaśnienie oznaczeń na III stronie okładki



Lwowska – Macierz Polskich Politechnik”, odbytej we Wrocławiu w dniach 25 i 26 września 1995 roku, zorganizowanej przez Wrocławskie Towarzystwo Naukowe pod przewodnictwem prof. Ryszarda Sroczyńskiego. Ponieważ referaty wygłoszone na tej konferencji zostały ogłoszone drukiem, przeto mamy podstawy i materiały do formułowania dalszych wniosków. Szczegółowe opracowanie tego zagadnienia – dziedzictwa Politechniki Lwowskiej z wyszczególnieniem wszystkich nazwisk – stanowi III część publikacji. [...] Z wymienionego opracowania podamy tutaj jedynie skrócone wyniki.

Na ogólną liczbę 469 osób z czynnej we Lwowie kadry naukowej Politechniki Lwowskiej pozostało we Lwowie – kontynuując swą dalszą działalność – 22 osoby na nadal działającej we Lwowie uczelni. Natomiast 427 osób ekspatriowanych ze Lwowa do

Pozorna niezgodność dla kontrolującego te wyczerpanie pochodzi stąd, że niektórzy profesorowie działali równocześnie na dwu, a nawet na trzech uczelniach.

W wyniku tych ustaleń można ostatecznie przyjąć, że następujące uczelnie mają moralne prawo do dziedziczenia tradycji byłej Politechniki Lwowskiej: Politechnika Śląska, Politechnika Wroclawska, Politechnika Krakowska, Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, Politechnika Gdańska, Politechnika Warszawska i Lwowski Instytut Politechniczny we Lwowie.

Znacznie mniejsza ilość osób (w sumie) podjęła działalność na innych uczelniach w PRL, co tutaj pomijamy, odsyłając zainteresowanych do publikacji wyżej wymienionej. Dla ścisłości zagadnienia należy jeszcze dodać, że 20 osób działało na zagranicznych wyższych uczelniach, jednak

ich działalność była rozproszona i nie przynosiła krajowi korzyści.

Wskutek działalności okupantów straciło życie z ręki okupanta hitlerowskiego 19 osób, z ręki okupanta sowieckiego 41 osób, łącznie 60. Najbardziej haniebnym czynem, godnym kwalifikacji jako zbrodnia Kaina, było zamordowanie S. Soleckiego 21 IV 1945 r. pod Krosnem przez milicjantów w celu umocnienia władzy ludowej.

LITERATURA PRZEDMIOTU

- ¹ Broś Bolesław: *Udział uczonych i wychowanków Politechniki Lwowskiej w powołaniu i kształtowaniu Akademii Rolniczej we Wrocławiu* [w:] Konferencja Naukowa Politechnika Lwowska – Macierz Polskich Politechnik w dniach 25 i 26 września 1995 we Wrocławiu.
- ² Ciesielski Roman: *Pracownicy Politechniki Lwowskiej pracujący po II wojnie światowej w Krakowie* [w:] jw.
- ³ Czaplński Stefan: *Politechnika Lwowska, jej spadkobiercy i wychowankowie* [w:] jak 1.
- ⁴ Fuliński Jacek, Fuliński Wojciech: *Dziedzictwo Politechniki Lwowskiej w Politechnice Wrocławskiej*, [w:] jak 1.
- ⁵ *Księga XXV-lecia Politechniki Wrocławskiej*, Wrocław 1970.
- ⁶ Kuczewski Zygmunt: *Pracownicy Politechniki Lwowskiej, którzy w latach 1945–1949 podjęli pracę w Politechnice Śląskiej*, [w:] jak 1.
- ⁷ Popławski Zbysław: *Dzieje Politechniki Lwowskiej 1844–1945*, Ossolineum 1992.
- ⁸ Popławski Zbysław: *Wykaz pracowników naukowych Politechniki Lwowskiej w latach 1844–1945*. Monografia nr 175 Politechniki Krakowskiej. Kraków 1994.
- ⁹ Popławski Zbysław: *Wykaz pracowników naukowych Politechniki Lwowskiej w latach 1844–1945 w dziale rękopisów*, Ossolineum, 1993.
- ¹⁰ Popławski Zbysław: *Gdzie jest dziedzictwo Politechniki Lwowskiej* [w:] jak 1.
- ¹¹ Popławski Zbysław: *Politechnika Lwowska 1844–1945*.
- ¹² Siciński Zbigniew: *Wkład Politechniki Lwowskiej w polską elektrotechnikę*, Wrocław 1991.
- ¹³ Szewalski Robert: *Lwowskie środowisko naukowe w latach 1939–1945*, PAN Warszawa 1991.
- ¹⁴ Wydawnictwo jubileuszowe *40 lat Politechniki Gdańskiej*, Gdańsk 1986.

ZBYSŁAW POPŁAWSKI (1912–2007) – notka biograficzna w CL 4/07, s. 56.

Adam Redzik

LOSY UCZELNI LWOWSKICH od lat czterdziestych XX wieku

W przeddzień wybuchu II wojny światowej funkcjonowały we Lwowie cztery szkoły wyższe: Uniwersytet Jana Kazimierza, Politechnika Lwowska, Akademia Medycyny Weterynaryjnej oraz Akademia Handlu Zagranicznego. Lwowski ośrodek naukowy był drugim po Warszawie pod względem liczby studentów i sił naukowych. Jego potencjał naukowy i znaczenie nie zamykały się w granicach kraju, a osiągnięcia często obijały się echem w świecie.

Wszystkie wyżej wymienione uczelnie zostały uruchomione przez sowietów pod zmienionymi nazwami w latach 1939–41, przy czym Wydział Lekarski UJK został samodzielną uczelnią, a Wydział Teologiczny został zlikwidowany. W czasie okupacji niemieckiej (1941–44) żadna z uczelni nie prowadziła nauczania w dotychczasowym zakresie, ale w 1942 r. powstały Państwowe Kursy Zawodowe, które – mimo że oficjalnie stały na niższym poziomie – to w rzeczywistości prowadziły zajęcia w dużej mierze według programu szkół wyższych. Po ponownym zajęciu Lwowa przez sowietów w lipcu 1944 r., uczelnie uruchomiono na nowo. Przez pierwszy rok akademicki 1944/45 większość kadry naukowej i studentów stanowili jeszcze Polacy, w kolejnym 1945/46 było ich już niewiele. Począwszy od jesieni 1945 do czerwca 1946 r. zorganizowano cztery specjalne transporty kolejowe uczonych polskich ze Lwowa do Krakowa, a stamtąd dalej do Wrocławia, Gdańska, Torunia, Warszawy, Lublina i Łodzi. W „Zawsze Wiernym Mieście” pozostali już tylko nieliczni – najwierniejsi.

Dziś funkcjonuje we Lwowie kilkanaście uczelni wyższych, z czego siedem nawiązuje tradycjami do polskich poprzedników. Lwowski Narodowy Uniwersytet im. Iwana Franki przygotowuje się do obchodów 350-lecia uczelni,

Narodowy Uniwersytet „Politechnika Lwowska” pielęgnuje tradycje założonej w 1844 r. Akademii Technicznej, Lwowski Narodowy Uniwersytet Medyczny im. Daniela Halickiego nawiązuje do tradycji powstałego w 1874 r. Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Lwowskiego. Podobnie rzecz się ma z Lwowską Państwową Akademią Medycyny Weterynaryjnej im. S.Z. Hrzyckiego, która jest kontynuatką Akademii Medycyny Weterynaryjnej, oraz Lwowską Akademią Handlową (Komercyjną), nawiązującą do Akademii Handlu Zagranicznego. Z kolei Narodowy Leśno-Techniczny Uniwersytet Ukrainy czerpie z tradycji Wyższej Szkoły Lasowej, a Lwowski Państwowy

Uniwersytet Rolniczy uważa się za następcę Akademii Rolniczej w Dublanach*.

* W istocie uczelnie te (o pompatycznych nazwach) nawiązują jedynie do profilu naukowo-dydaktycznego dawnych lwowskich szkół wyższych oraz ich siedzib i dat powstania, a nie do tradycji ich polskich poprzedników. (przyp. red.)

Fragment artykułu opublikowanego w czasopiśmie ROPWiM „Niepodległość i Pamięć” nr 24/2006 pt. „Szkieł z dziejów szkolnictwa wyższego we Lwowie”

Tomasz J. Kotliński

STOWARZYSZENIA KATOLICKIE LWOWSKICH UCZELNI

Najstarszą katolicką organizacją akademicką Lwowa była Sodaliczka Mariańska Akademików. Stowarzyszenie to, założone we Lwowie z inicjatywy ks. Stefana Bratkowskiego w roku 1889, było jednocześnie pierwszą z założonych na ziemiach polskich sodaliczki akademickich. Działalność lwowskiej Sodaliczki w okresie zaborów nie jest bliżej znana, można jednak przyjąć, że była ona przez długi czas jedyną katolicką organizacją funkcjonującą w lwowskim środowisku akademickim. Nie ma wątpliwości także co do tego, że kilku spośród członków Sodaliczki Mariańskiej poległo w walkach niepodległościowych roku 1918 i następnych. W związku z genezą i tradycjami wszystkich sodaliczki, także lwowską opiekowali się księża jezuici. W połowie lat trzydziestych moderatorem akademickiego stowarzyszenia był jezuita o. Stanisław Mirek, zaś kuratorem uniwersyteckim ks. prof. Stanisław Szurek. Obok Sodaliczki Akademików UJK, najprawdopodobniej już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, powstała odrębna Sodaliczka Mariańska Studentów Politechniki Lwowskiej.

Wewnętrzna działalność Sodaliczki prowadzona była w kołach, z których jako ostatnie powstało koło medyków. W ramach kół studenci organizowali przede wszystkim odczy-

ty i referaty, na które często zapraszano znane osobistości Lwowa. Na uwagę zasługuje także zaangażowanie się Sodaliczki wspólnie z innymi akademickimi stowarzyszeniami w walkę z pornografią. Sodaliczka prowadziła również akcję propagandową przeciwko antyklerykalnemu stowarzyszeniu akademickiemu pod nazwą „Legion Młodych”. Od połowy lat trzydziestych Sodaliczka zaangażowała się niezwykle intensywnie w działalność apostołską, która dzięki poświęceniu lwowskich studentów prowadzona była niemal na całym obszarze Małopolski Wschodniej. Polegała ona głównie na organizowaniu różnego rodzaju kursów, wygłaszaniu odczytów i referatów. Sodaliczka współpracowała także z licznymi organizacjami. Dla przykładu w lwowskim Zjednoczeniu Chrześcijańskich Związków Robotniczych studenci prowadzili stały cykl referatów na tematy kulturalne i oświatowe.

Obok studentów własną sodaliczkę posiadały także studentki lwowskiego Uniwersytetu. Stowarzyszenie to, noszące nazwą Sodaliczki Mariańskiej Studentek UJK, założone zostało najprawdopodobniej na początku lat dwudziestych, w latach trzydziestych kuratorem organizacji był ks. prof. Adam Gerstmann. W tym też okresie siedziba Sodaliczki mieściła się we Lwowie przy ulicy św. Jacka 16. Działalność lwowskich studentek skupio-

na była w pięciu sekcjach: eucharystycznej, samokształcenia, społecznej, bibliotecznej i chóru. Każda sekcja prowadziła inny rodzaj działalności. Dla przykładu w ramach sekcji samokształcenia studentki pogłębiały wiedzę z zakresu Biblii, sekcja społeczna prowadziła zaś akcję katechizacji dzieci z ubogich lwowskich rodzin, sprawowała opiekę nad małoletnimi przestępcami oraz pomagała w przygotowaniu uroczystości i wydarzeń kościelnych. Poza działaniami statutowymi Sodalicia Akademickich prowadziła także działalność apostołską, która przybierała bardzo różne formy. Jedną z nich było m. in. zaangażowanie się Sodalicii w modną wówczas we Lwowie akcję organizacji i obsługi tzw. biblioteczek latających dla panien sklepowych. Studentki były również organizatorkami lwowskiego chóru gregoriańskiego. Obok działalności stowarzyszeniowej studentki skupione w Sodalicii rozwijały także w ramach spotkań towarzyskich własne zainteresowania zawodowe. Warto także wspomnieć, że studentki skupione w Sodalicii blisko związane były w okresie istnienia stowarzyszenia z lwowskimi urszulankami. W kościele sióstr nie tylko prowadzone były dla studentek rekolekcje akademickie, ale także częstym gościem organizowanych przez Sodalicję tzw. towarzyskich spotkań „przy herbatce” była przedwojenna przełożona lwowskiego klasztoru urszulanek s. Elżbieta Łubieńska.

Kolejną po Sodaliciach organizacją studencką był Akademicki Związek Katolicki UJK z siedzibą przy ul. Marszałkowskiej 1. W roku 1935 odrębna organizacja pod tą samą nazwą założona została na Politechnice Lwowskiej. Związki te były największymi z omawianych organizacji, które w odróżnieniu od poprzednich skupiały poza akademikami z lwowskiego Uniwersytetu i Politechniki także studentów z Akademii Medycyny Weterynaryjnej oraz Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego. Podobnie jak w przypadku Sodalicii główna praca Związku polegała na organizowaniu wewnętrznych spotkań, które często uzupełniano referatami i odczytami. Związek był również organizatorem mszy akademickich, odprawianych w każdą niedzielę w kościele św. Mikołaja. Jedną z znaczących akcji podejmowanych przez Związek było organizowanie kaplic oraz bi-

bliotek religijnych w domach akademickich. Pierwsza tego rodzaju kaplica, dzięki staraniom Związku, została wybudowana we Lwowie w 1934 roku przy tzw. II Domu Technika. W uroczystościach poświęcenia kaplicy poza młodzieżą katolicką miasta wzięły także udział metropolita lwowski abp Bolesław Twardowski, rektor Uniwersytetu oraz licznie przybyli lwowiacy. W rok później Związek utworzył kolejną kaplicę, tym razem w żeńskim domu studenckim przy ulicy Torosiewicza. Jednym z ważnych działań podejmowanych przez Związek było organizowanie i propagowanie wśród lwowskich studentów rekolekcji akademickich i konferencyjnych. Akademicki Związek Katolicki współorganizował także spotkania okolicznościowe dla upamiętnienia ważnych wydarzeń historycznych, a jego przedstawiciele brali aktywny udział w obchodach wszystkich ważnych świąt państwowych i miejskich.

Znaczącą katolicką organizacją lwowskich uczelni było również działające przy uniwersytecie Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”. W latach trzydziestych organizacja ta miała swoją siedzibę przy ulicy Piekarskiej, zaś jej kuratorem był prof. Leon Halban. Działalność stowarzyszenia prowadzona była w sekcjach, które dzieliły się na ogólne i zawodowe. Do podstawowych sekcji ogólnych należała sekcja ideowa, pracy społecznej oraz teologiczno-filozoficzna, natomiast sekcjami zawodowymi były sekcje medyczna, prawnicza i techniczna. Z kolei studentki zrzeszone w „Odrodzeniu” prowadziły działalność w kole koleżanek. Wewnętrzne prace „Odrodzenia” polegały m.in. na prowadzeniu zebrań dyskusyjnych, które miały bądź charakter ogólny, bądź odbywały się w poszczególnych sekcjach. „Odrodzenie” związane było blisko z lwowskimi dominikaninami, w których kościele odprawiano dla członków stowarzyszenia specjalne msze święte w każdą niedzielę.

Obok wyżej przedstawionych stowarzyszeń w latach trzydziestych działały także we Lwowie: Stowarzyszenie Ukraińskich Studentów Katolików „Odnova”, Polska Akademicka Korporacja Chrześcijańska „Constantia Leopoliensis”, Akademickie Koło Misyjne oraz Akademicka Liga Katolicka.

Trzy pierwsze organizacje funkcjonowały przy Uniwersytecie lwowskim, jednakże ich cele i zakres działania, podobnie jak pozostałych, nie jest bliżej znany. Wiadomo jednak bez wątplenia, że jedną z form działalności Akademickiego Koła Misyjnego było organizowanie spotkań, podczas których wygłaszano referaty na temat historii i współczesności misji katolickich. Wydaje się również, że akademicki charakter miał Związek Rekolekcyjny prowadzony przez oo. dominikanów. Związek ten blisko współpracował z lwowskim „Odrodzeniem”, zaś w zakresie własnych działań organizował m.in. zebrania sekcji liturgicznych oraz zamknięte rekolekcje dla studentów w dominikańskim klasztorze w Podkarmieniu.

Nie bez znaczenia dla rozwoju i zakresu prowadzonych działań przez wszystkie stowarzyszenia katolickie lwowskich uczelni była osoba duszpasterza akademickiego Lwowa, którym w latach trzydziestych był ks. prof. Aleksy Klawek. Ksiądz Klawek był nie tylko duszpasterzem akademickim i opiekunem akademickiego kościoła pod wezwaniem św. Mikołaja, ale także kuratorem i organizatorem większości działań podejmowanych przez Akademicki Związek Katolicki. Cechą wyróżniającą katolickie środowisko lwowskich akademików był także fakt redagowania przez studentów własnych czasopism. „Odrodzenie” wydawało niezwykle ciekawy biuletyn o oryginalnym tytule „Dyszel w Głowie”. Natomiast Akademicki Związek Katolicki wydawał, niestety nienotowane w katalogach BN czasopismo „Żywy Dziennik”. Czasopisma te z uwagi na wydarzenia historyczne, poza wspomnieniami osób, które przed wybuchem wojny uczestniczyły w pracach lwowskich akademickich stowarzyszeń katolickich, stanowią współcześnie jedyne materialne świadectwo działalności tych organizacji.

Wykorzystano wybrane numery „Młodzieży Katolickiej” z lat 1933–1938, „Dyszla w Głowie” z lat 1933–1937, „Biuletynu Związku Sodalicy Akademików w Polsce” z r. 1927. „Biuletynu Związku Sodalicy Mariańskich Akademiczek w Polsce” z r. 1931.

TOMASZ KOTLIŃSKI, ur. 1977 w Jarosławiu. Ukończył studia prawnicze, członek Izby Adwokackiej w Rzeszowie. St. wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Jarosławiu.

Adam Redzik*

LWOWSKA SZKOŁA DYPLOMATYCZNA (1930–1939)

TROCĘ HISTORII

W Polsce tradycje nauki umiejętności dyplomatycznych sięgają czasów I Rzeczypospolitej. Wtedy to ukazał się pierwszy podręcznik dla przyszłych dyplomatów, napisany przez doświadczonego dyplomata Tadeusza Morskiego (1792 r.)

Rozbiory uniemożliwiły dalszy rozwój tej umiejętności, ale w XIX w. działało wielu wybitnych dyplomatów Polaków, służących zarówno sprawie polskiej, jak i krajom, w których żyli. W chwili odrodzenia państwa polskiego zasilili oni polską dyplomację, między innymi ze służby austriackiej – dr Karol Bertoni, rosyjskiej – dr Zygmunt Smogorzewski.

Nie można było jednak ograniczać się do grupy wykształconej w szkołach zagranicznych, dlatego też Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaczęło myśleć o powołaniu placówki, która przygotowywałaby przyszłą polską kadrę dyplomatyczną. Ważną rolę miała odegrać Warszawa, gdzie istniała już Szkoła Nauk Politycznych. Stolicę uprzędził jednak Lwów, a konkretnie Wydział Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza, gdzie w 1930 roku utworzono Studium Dyplomatyczne, które współpracowało z MSZ. W ciągu kilku lat pozycja Studium stała się na tyle mocna, że nawet w oficjalnej korespondencji, a także w „Roczniku Politycznym i Gospodarczym” pojawiała się nazwa „Wydział Dyplomatyczny”.

Plany powołania sekcji politycznej na Wydziale Prawa UJK notuje się na forum Senatu Uniwersytetu Lwowskiego od początku XX w. W 1902 r. powstała we Lwowie Szkoła Nauk Politycznych, będąca pierwszą tego typu placówką na polskich uniwersytetach, jednak wkrótce przerwała ona swą działalność. W 1919 r. z inicjatywą utworzenia studium nauk politycznych na Wydziale Prawa UJK wystąpił prof. Stanisław Grabski. Wprawdzie pomysł został zaakceptowany przez Radę Wydziału, ale nie doczekał się realizacji. Dopiero pod koniec lat dwudzie-

stych w prace nad zorganizowaniem nowych studiów na Wydziale Prawa UJK zaangażowało się większe grono profesorów, a szczególnie młody prof. Ludwik Ehrlich, znany i ceniony w kraju i za granicą, wykształcony na Wydziale Prawa UJK, a także w Wiedniu, Oxfordzie i Berkeley, który ponadto miał kilkuletnie doświadczenie dyplomatyczne i dążył do powołania we Lwowie ośrodka kształcącego dyplomatów.

Na początku 1930 roku powołana przez Radę Wydziału Prawa specjalna komisja przedłożyła projekt utworzenia na Wydziale Prawa UJK trzech studiów specjalistycznych, w tym Studium Dyplomatycznego. Utworzenie Studium przypieczętowało zarządzenie Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 28 kwietnia 1930 r. Uroczyste otwarcie miało miejsce 18 października 1930 r. w Collegium Maximum UJK. W inauguracji uczestniczyli przedstawiciele władz państwowych, samorządowych, konsulowie obcych państw, profesorowie i studenci. Wykład „Nowe drogi prawa narodów” wygłosił prof. Ehrlich, który kierował Studium Dyplomatycznym.

Nowymi studiami interesowało się Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Były to jedyne w Polsce studia nadające tytuł magistra nauk dyplomatycznych. W ich programie dbano o łączenie teorii z praktyką. Studenci odbywali praktyki w polskich placówkach za granicą oraz w agendach rządowych. Część zajęć prowadzili dojeżdżający z Warszawy wyżsi urzędnicy MSZ.

Program Studium, opracowany przez prof. Ehrlicha, obejmował wykłady z wielu dziedzin. Wykładowcami byli profesorowie i docenci UJK, Politechniki Lwowskiej, Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego, wybitni dyplomaci oraz specjaliści ze świata polityki i gospodarki. W związku z tym, że celem Studium Dyplomatycznego było przygotowanie do pracy w dyplomacji, wprowadzono bogaty i zróżnicowany program nauki języków obcych, nie tylko europejskich, ale także tureckiego i perskiego.

Ostatnia przed wojną uroczystość rozdania dyplomów ukończenia Studium Dyplomatycznego UJK odbyła się 30 czerwca 1939 roku. 15 stycznia 1940 r. Wydział Prawa UJK (Iwana Franki) rozpoczął nauczanie wg wzorów radzieckich, a prof. Ehrlich został zwolniony z pracy.

W latach 1941–1944 zajęcia Studium Dyplomatycznego odbywały się w ramach tajnego Wydziału Prawa UJK.

KADRA NAUCZAJĄCA

Z Wydziału Prawa UJK wykładali na Studium Dyplomatycznym profesorowie: Ludwik Ehrlich, Edward Dubanowicz, Stanisław Starzyński i Maurycy Allerhand, oraz docenci: Stanisław Hubert, Zenon Wachlowski, Kazimierz Grzybowski; z Wydziału Humanistycznego UJK: historycy Czesław Nanke i Adam Szelągowski; z Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego – geograf August Zierhoffer, a z Warszawy dojeżdżał organizator polskiego MSZ dr Karol Bertoni, pracownicy MSZ: dr Hipolit Gliwic, dr Władysław Namysłowski, dr Apoloniusz Zarychta, dr Jan Dryling, dr Jan Rozwadowski i inni.

Największe zasługi w rozwoju Studium Dyplomatycznego mają Ehrlich, Bertoni, Gliwic, Wachlowski i Grzybowski.

ZNACZENIE STUDIUM DYPLMATYCZNEGO NA FORUM POLSKIM I MIĘDZYNARODOWYM

Od chwili powołania Studium prof. Ehrlich przy każdej sposobności propagował prowadzoną przez nie działalność. W dniach 12–14 czerwca 1930 roku odbyła się w Paryżu trzecia międzynarodowa konferencja „instytucji zajmujących się badaniem zagadnień międzynarodowych”, na której prof. Ehrlich poinformował o utworzeniu Studium we Lwowie. W rezolucji końcowej konferencji z największym zainteresowaniem przyjęto do wiadomości program Studium Dyplomatycznego na UJK i zaznaczono, że podobne instytucje powinny pojawiać się na uniwersytetach w innych krajach. Na III Zjeździe Prawników Czesko-Słowackich w Bratysławie w dniach 11–14 października 1930 r. informacje o Studium Dyplomatycznym na UJK wywołały duże zainteresowanie.

Studium Dyplomatyczne UJK było w okresie II Rzeczypospolitej pierwszym i jedynym eksperymentem w dziedzinie szkolnictwa wyższego ukierunkowanego na problematykę stosunków międzynarodowych oraz praktyki dyplomatycznej i konsularnej. A wpływ Studium na polską dyplomację i politykę w okresie II Rzeczypospolitej, w czasie wojny i w czasach powojennych jest nie do przecenienia.

WYCHOWANKOWIE LWOWSKIEJ SZKOŁY DYPLOMATYCZNEJ

W ciągu 10 lat istnienia Studium Dyplomatycznego UJK we Lwowie ukończyło je kilkaset osób. Zapewne wielu z nich związało się później z dyplomacją, lecz ich liczba – w związku z wybuchem wojny i stratami w archiwach – trudna jest do ustalenia.

Najbardziej znanym absolwentem lwowskiego studium był późniejszy wybitny znawca prawa publicznego międzynarodowego profesor UJ Stanisław Nahlik.

Innym wychowankiem był Józef Giebułtowicz – publicysta i tłumacz literatury skandynawskiej, przed II wojną asystent w Katedrze Prawa Narodów prof. Ehrlicha.

Studium ukończyli też powojenny działacz emigracyjny Aleksander Czesław Meleń i Kazimierz Witold Hoffman, którego powojenne losy nie są znane.

Wychowankami Studium Dyplomatycznego byli również: Zbigniew Rzepka, po wojnie prawa ręką Hilarego Minca, i Eugeniusza Szysza, w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, twórca ustawodawstwa nacjonalizacyjnego. Stanisław Serwacki, również absolwent Studium, po wojnie był na Uniwersytecie Wrocławskim, zwolniony dość szybko za poglądy polityczne, Witold Turek, znany polski bibliograf i historyk Polonii kanadyjskiej, a także znany pisarz Mirosław Żuławski.

Twórca Studium Dyplomatycznego UJK profesor Ludwik Ehrlich po wojnie współpracował ze Stałym Trybunałem Rozjemczym w Hadze i Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. W 1945 r. został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierownikiem Katedry Prawa Międzynarodowego; napisał pierwszy podręcznik prawa międzynarodowego publicznego.

* Opracowano na podstawie artykułu Adama Redzika „Lwowska Szkoła Dyplomatyczna” w „Polskim Przeglądzie Dyplomatycznym” nr 5/2006.

Henryk Kleinrok

WSPOMNIENIE O PILOTCE DANUCIE SIKORZANCIE

W tym roku minęła setna rocznica urodzin Jadwigi Danuty* Sikorzanki, urodzonej 1 stycznia 1907 roku we Lwowie, córki Emila i Marii Kubalskiej**. Naukę rozpoczęła w szkole podstawowej w 1914 r., od 1917 r. kontynuowała ją w posiadającym prawa publiczne Prywatnym Gimnazjum Realnym dr. Niemca oraz w Prywatnym Gimnazjum Realnym ss. Urszulanek, świadectwo dojrzałości z postępem celującym otrzymała zaś w 1925 r. w Państwowym Gimnazjum Żeńskim im. Królowej Jadwigi we Lwowie.

Po maturze podjęła studia na Wydziale Ogólnym Politechniki Lwowskiej, gdzie uzyskała w 1932 roku tytuł magistra w zakresie nauk matematycznych. W czasie studiów, za namową kolegów, podjęła pracę w sekretariacie Związku Awiatycznego Studentów Politechniki Lwowskiej. Następnie włączyła się do pracy w Akademickim Aeroklubie Lwowskim, który w bardzo krótkim czasie przekształcił się w ogólnodostępny Aeroklub Lwowski. Na prowadzonych tam wykładach teoretycznych z zakresu awionautyki przyswoiła sobie wymaganą wiedzę o pilotażu. Przeszła pomyślnie badania w warszawskim



Danuta Sikorzanka po osiągnięciu rekordów na szybowcu „Koma”

Centrum Badań Lekarskich dla Pilotów (nazywanym *cebula*) i bez zastrzeżeń uznano ją za kandydatkę na pilota. Swój pierwszy lot wykonała pod bardzo czujnym okiem instruktora st. sierż. Michała Pakuły w 1929 r. Egzamin na tzw. pilota turystycznego zdała rok później i w niedługim czasie wzięła udział w szkoleniu szybowcowym, zorganizowanym w Polsce po raz pierwszy w Bezmiechowej. Szkolenie prowadzone było w trzech kategoriach – A, B i C. Po zakończonym szkoleniu, wraz z drugą lwowską pilotką Wandą Olszewską***, uzyskały tytuły pilota szybowcowego kategorii B (!). W październiku 1931 roku obie pilotki na samolotach PZL-5 „Śląsk” i „Powstaniec” uczestniczyły w Kobiectym Rajdzie Dookoła Polski zorganizowanym przez Śląski Komitet LOPP. Na trasie o długości prawie 3000 km lądowano kolejno w Krakowie, Lwowie, Stanisławowie, Tarnopolu, Łucku, Brześciu, Baranowiczach, Lidzie, Wilnie, Grodnie, Warszawie, Toruniu, Grudziądzu, Poznaniu i Łodzi, by znów przez Kraków powrócić do Katowic. W tym czasie w Katowicach odbywał się wielki miting z udziałem asów polskiego lotnictwa, którzy nie szczędzili pochwał pod adresem obu pilotek. Również wiele pochwał odnotowano w prasie krajowej, a „Skrzydła Polska” napisała wręcz: *Bariera płci w sporcie lotniczym została przełamana.*

Jeszcze bardziej znaczącego wyczynu dokonała Danuta Sikorzanka – już jako de Lapiere – w 1933 roku na lwowskim lotnisku w Skniłowie, gdzie na szybowcu typu „Komar”, wyholowanym do wysokości 1200 m przez RWD-8, w ciągu 3 godzin i 37 minut żeglowania termicznego (na trasie Skniłów – Gródek Jagielloński – Janów – Skniłów) uzyskała 300-metrowe przewyższenie.

Nazwisko Danuty Sikorzanki za jej wyczyny na sportowych samolotach i szybowcach figuruje wśród polskich rekordzistów w konkurencji długotrwałości lotu i przewyższenia.

Ze startów zagranicznych na wyróżnienie zasługuje ten z 1934 roku w Bukareszcie, gdzie za pokazy na szybowcu i na samolocie RWD-8 otrzymała bardzo pozytywne recenzje. Kolejny znaczny sukces krajowy osiągnęła w Pierwszym Zlocie Gwiazdzistym do Białej Podlaskiej w 1935 roku. Na tym zlocie, lecąc w samolocie RWD-8, dała wyprzedzić się jedynie Ryszardowi

D. Sikorzanka (pierwsza z prawej) w samolocie „Ślązak”



Mikke (w samolocie PZL-5) z Aeroklubu Warszawskiego.

W 1932 roku Danuta Sikorzanka wyszła za mąż za Jana Henryka Stefana (trojga imion) de Lapiere (ur. w 1900 r. w Aleksandrowie Kujawskim). Jan de Lapiere od wczesnych lat dziecięcych mieszkał we Lwowie, gdzie ukończył szkołę podstawową i Gimnazjum im. Jana Batorego, z którego otrzymał świadectwo dojrzałości w 1921 r. Studiował na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza, gdzie uzyskał tytuł doktora medycyny, specjalisty w zakresie okulistyki. Pracował w Klinice Okulistycznej Instytutu Medycznego we Lwowie. Był pasjonatem sportów balonowych i w znacznym stopniu przyczynił się do zdobycia przez Polskę w 1935 roku nagrody Gordon Bennetta. Nagrodę tę przyznawano za zajęcie pierwszego miejsca przez trzy kolejne lata w dorocznych Międzynarodowych Zawodach Balonowych. W uznaniu jego zaangażowania w zdobywanie tej nagrody wyróżniony został bardzo prestiżową odznaką Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej w 1935 r.

Ślub Danuty Sikorzanki i Jana de Lapiere odbył się w kościele pw. św. Antoniego przy ul. Łyczakowskiej we Lwowie.

Danuta Sikorzanka była ambitną i piękną kobietą, była też dumą i chlubą całej rodziny, symbolem powodzenia i szczęścia oraz okazem udanego życia. Jej kuzyn Paweł Sikora (inżynier górnik) na jej cześć swojej córce (a teraz mojej żonie) nadał imię Danuta.

Któż jednak mógłby przypuszczać, że Danutę Sikorzankę de Lapiere spotka tak okrutny los. Z obecnych opowiadań mojej żony wiem, jak bardzo wówczas była dumna, że ciocia, jej imienniczka, jako jedna z pierwszych kobiet polskich lata w przestworzu. Jak opowiada moja żona... *w jej domu, przy ulicy Kochanowskiego we Lwowie, przeży-*

tam pierwsze dni września 1939 roku, kiedy uciekając ze Śląska przed Niemcami rodzice moi szukali oparcia i schronienia u swoich lwowskich krewnych. Do jej mieszkania powróciliśmy po ponad pięciu latach zesłania na Sybir. Jej, niestety, w tym mieszkaniu już nie było. Ciocia Danka została aresztowana przez NKWD w lipcu 1940 r. i osadzona w więzieniu na Zamarstynowie.

Ślad po niej zaginął. Poszukiwania czynione przez męża i rodzinę nie przyniosły żadnego rezultatu. Po zakończeniu wojny oczekiwano jej powrotu, sądząc, że była więziona gdzieś na terenie ZSRR. Nadzieja na jej powrót trwała, gdyż zgłaszały się osoby, które opowiadały, jakoby widziały panią Lapierre w różnych miejscach: a to w Kijowie, a to w Murmańsku. Niestety nie wróciła...!

Po rozpadzie ZSRR i częściowym otwarciu archiwów bratanek stryjeczny Danuty, Mieczysław Sikora (prezes Związku Sybiraków w Płocku), podjął poszukiwania poprzez organizację „Memoriał”. Zostały odnalezione dokumenty: protokół z aresztowania, protokoły przesłuchań, wyrok, ślady dalszej wędrówki akt podczas wojny. Kopie tych dokumentów przekazano do Polski, jednak losu aresztowanej nie wyjaśniły. Z uzyskanych akt wynika, że Danuta Sikorzanka de Lapierre, pseudonim „Prus”, została skazana za przynależność do antysowieckiej organizacji Związek Walki Zbrojnej i osadzona w więzieniu nr 2 miasta Lwowa. Jej nazwisko znalazło się na liście osób aresztowanych z okręgu lwowskiego i drohobyckiego, z zaznaczeniem: „rozstrzelana w więzieniu w Złoczowie”. W 1993 roku Generalna Prokuratura Ukrainy i Prokuratura Lwowskiej Obszary ogłosiły listę zrehabilitowanych, niesłusznie aresztowanych i skazanych. Wśród nich jest też nazwisko Danuty de Lapierre.

* * *

Ciocia Danusia, jak o niej mówi się w rodzinie, żyje nadal w naszych sercach i pamięci – siostrzeńców: Barbary i Jerzego Ostachowiczów oraz dzieci stryjecznego brata Pawła Sikory i ich rodzin. Ich wspólnym staraniem i za zgodą księdza kapelana Wojska Polskiego płk. Henryka Polaka została umieszczona tablica upamiętniająca imię pilotki Danuty Sikora-Lapierre w kościele garnizonowym pw. św. Agnieszki w Krakowie. Podczas uroczystej koncelebro-

wanej mszy świętej, odprawionej 8 czerwca 2007 r. odbyło się odsłonięcie i poświęcenie tej tablicy, wspólnie z tablicami upamiętniającymi sześć innych ofiar mordu dokonanego przez NKWD na początku II wojny światowej. Modlono się o łaskę i wieczne odpoczywanie dla tych, których w sposób nieludzki pozbawiono życia, jak też za ich oprawców, o przebaczenie i darowanie im winy. Uroczystą koncelebrowaną mszę świętą odprawił ksiądz pułkownik Henryk Polak z koncelebrantami: ks. dr. Tadeuszem Chromikiem – jezuitą, sybirakiem, dyrektorem Apostolstwa Modlitwy w Polsce, oraz ks. Dominikiem Orczykowskim – kapelanem Harcerzy Rzeczypospolitej i pilotów polskich. We mszy świętej, obok członków rodzin pomordowanych, uczestniczyli przedstawiciele krakowskich Kół – Związku Rodzin Katyńskich i Związku Sybiraków wraz z ich pocztami sztandarowymi, oraz przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich i Koła Tarnopolan w Krakowie.

* Jadwiga Danuta Sikorzanka używała drugiego imienia.

** Maria Kubalska była siostrą Edwarda Kubalskiego, zasłużonego członka krakowskiego gniazda PTG „Sokół” w latach międzywojennych.

*** O Wandzie Olszewskiej – patrz *Sylwetki* w tym numerze.

Archiwum

Zuchowaty i pełen wdzięku lwowianin Tadeusz Śliwiak [zm. 1994], poeta i aktor, miał w szkole aktorskiej problemy z lwowskim akcentem. Mawiał do mnie: *Jaśku... ta ty nie mów reżysyrowi, że ja mam lwowski akcent.* W czasie zajęć w szkole aktorskiej tak oto recytował Inwokację:

*Litwu! Ojczyznu moja. Ty jesteś jak zdrowi.
Ile ci trzeba cenić, ten tylko si dowi,
kto ci stracił...*

– tu przerwał i rzucił gromko w stronę wykładowcy: *Może to si nie podoba panu profesurowi, co?*

Jan Adamski, Anegdoty teatralne
„Dziennik Polski” 19 XI 1998

Barbara Litwiniukowa

O KSIĘDZU TADEUSZU I MUZYCE

Ludzie, którzy znali księdza Tadeusza Fedorowicza, świadomi byli jego trzech „założeń życiowych”, przez niego samego określonych i później zrealizowanych, a mianowicie: służba Ojczyźnie – to lata spędzone w wojsku, studia prawnicze – to spełnienie planów rodzinnych, stan kapłański – to własna potrzeba i zadanie. Stawiam jednak pytanie: czy ktoś słyszał i wie cokolwiek o takiej zdaje się marginalnej sprawie: jak wyglądało księdza Tadeusza wykształcenie muzyczne? I choć to może brzmi niepoważnie, bo ja sama też niewiele o tym wiem, podejmuję jednak teraz ten temat z takich oto powodów.

Kiedyś w późnych latach 90. minionego stulecia na jednym z naszych kazachstańskich spotkań w Laskach, w pokoju księdza, wspominaliśmy nasze lwowskie lata szkolne i wtedy ja wymieniałam znaną mi muzyczną szkołę z ulicy 29 Listopada. A ksiądz Tadeusz radośnie wykrzyknął: *Ależ ja chodziłem do tej szkoły, mieszkałem wtedy blisko, na tej samej ulicy u Babci Julii, a w ogrodzie willi stała figura Matki Boskiej!*

To było wszystko, czego się wtedy dowiedziałam. Niestety nie zadbałam potem dostatecznie o uzyskanie jakichś innych szczegółów, gubionych coraz bardziej w słabnącej pamięci naszego Jegomościa. Po latach więc, jak zwykle z dużym opóźnieniem, postanowiłam przypomnieć i naświetlić jakby tło tych faktów, bo uczestnicy i świadkowie już znikają z grona żywych.

Zaczynam od małego sprostowania: w książce o księdzu Alim* autorka Barbara Krzysztoń z uroczą nieznajomością topografii miasta Lwowa przemianowała ulicę 29 Listopada na ulicę 11 Listopada! – takiej we Lwowie nie było. Dwukrotnie też podała błędną numerację domu babci Fedorowiczowej – nr 28, a potem raz właściwą, to znaczy 89!

Pozwoliłam sobie na te uwagi, ponieważ tu zaczynają się moje wspólne ślady pamięci z przyszłym księdzem Tadeuszem, mimo tak dużej różnicy wieku.

Otóż rzeczywiście pamiętam taką figurę Matki Boskiej w ogrodzie willi, bo było to tuż przy przystanku tramwajowym dawnej „4”, drugim od końca ulicy, na którym właśnie wysiadałam idąc na lekcje do szkoły muzycznej pani Malwiny Reissówny przy ul. 29 Listopada pod nr 70 (telefon 272-45). I niezależnie od lat, w których się to działo,

młody Tadeusz Fedorowicz musiał również z tej strony ulicy przejść na róg ulicy Dunin-Borkowskich, by o dwa domy dalej dojść do tej prywatnej szkoły.

Naturalnie nie udało mi się obecnie ustalić dokładnie, kiedy tam chodził, jak długo, kto go tam i czego uczył – ale czyż nie warto puścić trochę wodzy fantazji i wyobrazić sobie, jak wchodzi przez tę samą ciężką drewnianą furtkę, obrośniętą – tak jak i całe ogrodzenie z brązowych sztachet – gęstym dzikim winem, i idzie kilka kroków jasnym chodnikiem, trochę jakby pod górkę, do dużego, parterowego domu, w dużym ogrodzie.

Ale uważajmy, bo pod oknami wśród zaniedbanych klombów leży wygrzewający się nieduży jasny, ale złośliwy pies, często straszący ostrym szczekaniem wszystkie wchodzące dzieci – to stary Bemol, wierny stróż domu, z dowcipnie wybranym imieniem.

Nie mogę powstrzymać się w tej chwili od małej dygresji: kiedyś jako harcerka na obozie, gdzieś nad Dniestrem, broniłam się przed atakiem dworskich psów, też zabawnie nazwanych – Hałas i Awantura.

Ale kontynuujmy nasze poznawanie szkoły muzycznej. Wstępujemy po kilku schodkach do oszklonej werandy, potem do dość ciemnego przedpokoju z dużym zniszczonym już lustrem, skąd wybrany tylko uczeń mógł wejść na lewo do elegancko urządzonego saloniku pani Dyrektor. Moze to właśnie młody uczeń Tadeusz siadał z tremą do fortepianu, czarnego *playela*, a poważna właścicielka tej szkoły, z małego krzeselka obok, śledziła i czasem dość ostro krytykowała jego błędy i zaniedbania w przygotowanej lekcji.

W moich już czasach na początku lat 30. pani Malwina Reissówna była starszą, poważną i budzącą duży respekt damą, zawsze na czarno ubraną, z aksamitką na szyi. Bardzo energicznie prowadziła sama całą organizację szkoły, dobierała kadrę nauczycielską, ustalała wysokość czesnego. Jej prywatnym domem był tylko sąsiedni pokój, gdzie mieszkała też jej ułomna siostra, prowadząca gospodarstwo, zawsze bardzo dyskretna i mało widoczna. Obok była ciemna mała łazienka, z której wszyscyśmy korzystali.

Z przedpokoju można było pobiec schodkami na tak zwaną „górkę”, gdzie w 2 mandsardowych pokojach przy pianinach odbywały się codziennie lekcje, a czasem można było samemu poćwiczyć. I trochę przeszkadzaliśmy sobie tym bliskim granieniem.

Wracamy na parter i na prawo wchodzimy znów do dużego pokoju z kominem i fortepianem, gdzie całymi dniami i godzinami uczyły się dzieci i młodzież pod kierunkiem kilku pań nauczycielek. Pamiętam panią Janinę Piątkowską, szczupłą i nerwową, panią Nusię Klimowiczównę, łagodną i wyrozumiałą, eleganckie i przystojne panie Marię Kurkiewicz i Marię Haczewską. Może młodemu Tadeuszem zajmowała się pani Zofia Kruszyńska, najstarsza już wtedy, poważna i wymagająca. Prowadziła też lekcje harmonii i kontrapunktu.

Obok był następny, ciemny, bo środkowy – pokój z pianinem, a dalej bardzo duży i jasny salon z fortepianem, gdzie odbywały się co roku końcowe egzaminy gry na fortepianie, w obecności specjalnej komisji.

Przewodniczyła jej zwykle siwowłosa pani Maria Krauzowa o surowej twarzy. Jej ocen i stopni wszyscy uczniowie wielce się bali. Spocone palce chłodziliśmy w malutkiej, nieużywanej kuchence za salą.

W tymże salonie, na ładnym parkiecie, miały swe miejsce lekcje rytmiki. Chłopców na nich nie pamiętam. Myśmy ćwiczyły w specjalnych ciemnych tunikach i w lekkich pantoflach. Zaczynało się od najprostszego chodzenia w takt muzyki, aż po skomplikowane figury i skoki w dużym kole i w różnych układach. Zajęcia te cieszyły się wielką popularnością, z różnych stron miasta matki posyłały tu dzieci, by wyrobiły sobie wdzięczną postawę i lekki sposób chodzenia. Rytmikę prowadziła bardzo lubiana, smukła i giętka pani Janina Strzemboszówna, ze znanej po wojnie w Warszawie rodziny Adama i Tomasz Strzemboszów.

Coraz mi trudniej w tym wszystkim znaleźć jakieś miejsca czy współudział dla młodego przedstawiciela rodziny Fedorowiczów – równocześnie ucznia IV klasycznego gimnazjum o bardzo dobrej opinii, gdzie złożył egzamin dojrzałości w 1925 roku.

Ale czyż nie byłoby mu miło czuć się także, choć na krótko, uczniem takiej szkoły muzycznej, która potrafiła urządzać coroczne popisy swoich uczniów aż w Wielkim Teatrze we Lwowie, na tej wspaniałej scenie i w tym słynnym wnętrzu, z piękniejszą od krakowskiej kurtyną Henryka Siemiradzkiego, jak twierdzili zawsze lwowiaci!

Miałam zaszczyt dwukrotnie występować na tych deskach w wieku lat 8 i 10, jako kwiatek i wojownik z tarczą, w kostiumach domowej produkcji. Jeszcze więc trochę pamiętam, ile w tym było starań, a potem radości i satysfakcji dla wszystkich.

Teraz, wyjdźmy jeszcze przez mały taras z salonu do ogrodu. Młody, radosny i wygimnastykowany Tadeusz na pewno pobiegłby zaraz do huśtawki, dużej i mocnej, na której można było i na stojąco wysoko się unosić. Panienki zaś lubiły zajądać rosnące



Dom w Bukoni, w którym mieszkał ks. Fedorowicz

obok rajskie jabłuszka, kiedyś wieszane w grudniu na drzewku – czyli choince. Ściana pachnącego bzu zasłaniała ogród warzywny, ale obok znajdował się jeszcze drugi dom, zwany z francuska *Chomierą*. Był własnością trzeciej siostry, pani Sochowej. Bardzo przystojna, wysoka, zawsze miła i uśmiechnięta, również z aksamitką na szyi – prowadziła też grupkę swoich muzycznych uczniów. Jej córka Hanka Soszanka, z dużą grzywą blond włosów, tolerowała przyjaźnie naszą obecność w pobliżu.

Do ich domu z szeroką sienią zaglądałam czasem – głównie dla niezwyklej kolekcji cudownie barwnych południowoamerykańskich motyli. Przywiózł ją stamtąd po jakichś swoich wędrowkach syn Leszek, kolega z Politechniki mego brata. Obaj byli rówieśnikami Tadeusza Fedorowicza, więc w tamtych latach dwudziestych jeszcze tych motyli tam nie było – a szkoda, bo na pewno bardzo by mu się podobały.

Wiadomo też ogólnie, że młodzi ludzie owych czasów wiele godzin spędzali na kortach, grając z zapalem w powszechnie wówczas modny tenis. Również młody Tadeusz często o tym wspomina w swoich listach do przyjaciół. Przepuszczać więc można, że już dawno wtedy zmienił lekcje gry na fortepianie na towarzyskie zabawy z rakieta.

Wybuch wojny w 1939 roku i kolejne okupacje zniszczyły obraz tamtego świata. W mieście naszej młodości nie istnieje już wspólna parafia w kościele św. Marii Magdaleny, gdzie ksiądz Tadeusz Fedorowicz – po studiach prawniczych, po służbie wojskowej i teologii, odprawił 29 czerwca 1936 roku swoją prymicyjną mszę świętą.

Nie istnieje już Zakład św. Łazarza dla ubogich przy ulicy Kopernika, nad którym krótko sprawował opiekę w roku 1940, po usunięciu z niego przez okupacyjne władze zasłużonego księdza Michała Rękasa, wieloletniego wcześniej proboszcza na Kulkarkowie, a zaprzyjaźnionego serdecznie z moją rodziną. Wspominaliśmy go potem wspólnie i miło w Kazachstanie.



Ks. Tadeusz Fedorowicz z uczniami i uczniem w Bukoni, 1942

Nie jest też już świątynią rzymskokatolicką niewielki kościółek św. Józefa na ulicy Dunin-Borkowskich, dokąd chodziła prawdopodobnie rodzina Fedorowiczów z pobliskiej ulicy 29 Listopada. Nigdy też nie zapomnę tej wielkanocnej w nim rezurekcji – ostatniej dla mnie we Lwowie, gdy ogólny, straszny szloch utrudniał wyśpiewanie pieśni *Wesoły nam dziś dzień nastał*.

Na zakończenie jeszcze jednym wspomnieniem wrócę do muzycznej szkoły pani Malwiny Reissówny. Otóż w kwietniu 1940 roku, po wywozie ze Lwowa, znaleźliśmy się całą rodziną w tymże Bukoni, dokąd 2 lala później dojechał ksiądz Tadeusz, kapitan Armii Andersa, w mundurze, ten przyszły duszpasterz Sybiraków, jak go potem nazwał papież Jan Paweł II.

Była tam mała poczta, dzięki której docierał do nas ratunek z kraju – to później pięknie opisała w swoich wierszach Ludka Kownacka – ale nie doszedł tam wyczekiwany przez księdza Tadeusza wyzew ze sztabu w Jangii Julu, po którego otrzymaniu jego *Drogi Opatrzności*** potoczyłyby się zgoła inaczej.

Na tej samej poczcie odebrałam kiedyś na moje imię i nazwisko adresowany przekaz na sumę 100 rubli od dawnej pani Dyrektor szkoły muzycznej z ulicy 29 Listopada. Widać dowiedziała się o naszych losach i tak zareagowała. Pamiętam swoje zaskoczenie i wielką radość. Ten czerwony, okropny banknot długo broniłam jak jakiś skarb przed rozmięceniem go na prozaiczne codzienne potrzeby.

I to był ostatni mój kontakt z tą szkołą i jej właścicielką. Niestety dalsze ich dzieje

są mi zupełnie nieznanne. Może gdzieś, kiedyś znajdzie się jeszcze jakieś „umuzycznione” lwowskie dziecko i dopisze smutne zakończenie tych wojennych lat.

Proszę mi darować, że ośmieliłam się przedstawić te dowolne ciągi skojarzeń, pomysłów i przypuszczeń, tak jak i nadmiar osobistych wątków i wspomnień, ale pragnęłam choć trochę ocalić od zapomnienia to, cośmy wtedy i tam przeżywali, rzeczy przeszłe i przypadłe, czyli po prostu naszą młodość, która dawno minęła.

Książd Tadeusz wielokrotnie namawiał mnie do spisania moich wspomnień – naturalnie myślał o Kazachstanie – sam zrobił to, jak wiemy, najlepiej – więc ja teraz wolałam przypomnieć te wcześniejsze, mgliste już nasze dzieje, tę przekreśloną naszą „lwowską szczęśliwość”.

I na koniec posłużę się jeszcze tytułem książki dobrze znanego Laskom czcigodnego autora pana Michała Żółtowskiego *To wszystko działa się naprawdę* – tylko kto o tym jeszcze choć trochę pamięta?

Pisane VIII–IX 2007

* Książd Ali – Aleksander Fedorowicz, brat ks. Tadeusza, kandydat do chwały ołtarza.

** Omówienie książki ks. Tadeusza Fedorowicza *Drogi Opatrzności* zamieścimy w następnym numerze.

BARBARA BÖHM, zam. LITWINIUKOWA, ur. 1921 we Lwowie. Tamże ukończyła szkołę powsz. im. Żółkiewskiego oraz gimnazjum i liceum im. Królowej Jadwigi. Równocześnie uczęszczała do szkoły muzycznej M. Reissówny.

13 kwietnia 1940 wywieziona wraz z rodziną do Kazachstanu. W miejscowości Bolszaja Bukoń (Semipałatyńska obl.) przebywała do 1945. Jej ojciec tam zmarł, brat zginął w Charkowie. W szkółce utworzonej przez zesłańców po układzie Sikorski–Majski uczyła polskie dzieci. W 1943 została uwięziona na 6 miesięcy za odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego.

Po powrocie do kraju zdała maturę w Toruniu oraz ukończyła studia historyczne i etnograficzne na tamt. uniwersytecie. 1950–52 pracowała w bibliotece w Gdańsku, a po zamążpójściu w Bibliotece Uniwersyteckiej w Warszawie 1956–87.

Przez ponad 20 lat organizowała w Laskach k. Warszawy spotkania *bukoniaków* z ks. Tadeuszem Fedorowiczem, który od 1942 przebywał w Bukoni.

Archiwum

Wypisane z „Głosu Radzieckiego” nr 66, Lwów, 21 III 1940. Zachowano pisownię z tamtego czasu.

KWITNĄCY LWÓW RADZIECKI

Starożytne ukraińskie miasto Lwów. Wiele niedoli ludzkiej widziały jego ulice, place – w latach, gdy władali nim nienawistni panowie.

Lecz oto nastąpiła długo oczekiwana chwila. Słońce wolności i szczęścia zabłysło nad wyzwolonem miastem.

To nowe życie przyniosła do starożytnego ukraińskiego miasta rodzima władza radziecka. Przestał istnieć Lwów z jego rażącymi kontrastami – przepychem w centrum i ubóstwem na przedmieściach. Rozkwita dziś z dnia na dzień ukraiński, radziecki, wolny Lwów.

Nigdy jeszcze nie oglądał Lwów takiej radości, triumfu, jak te dni. Miasto przygotowuje się do przyszłych wyborów do Rad Najwyższych ZSRR i USRR. Przychodzi do tego znamiennego dnia, znacznie zmieniający swe oblicze, stanowczo zrzucając z siebie wszystko to, co było tu przyniesionego przez panów polskich, obcego i niepotrzebnego dla ludu.

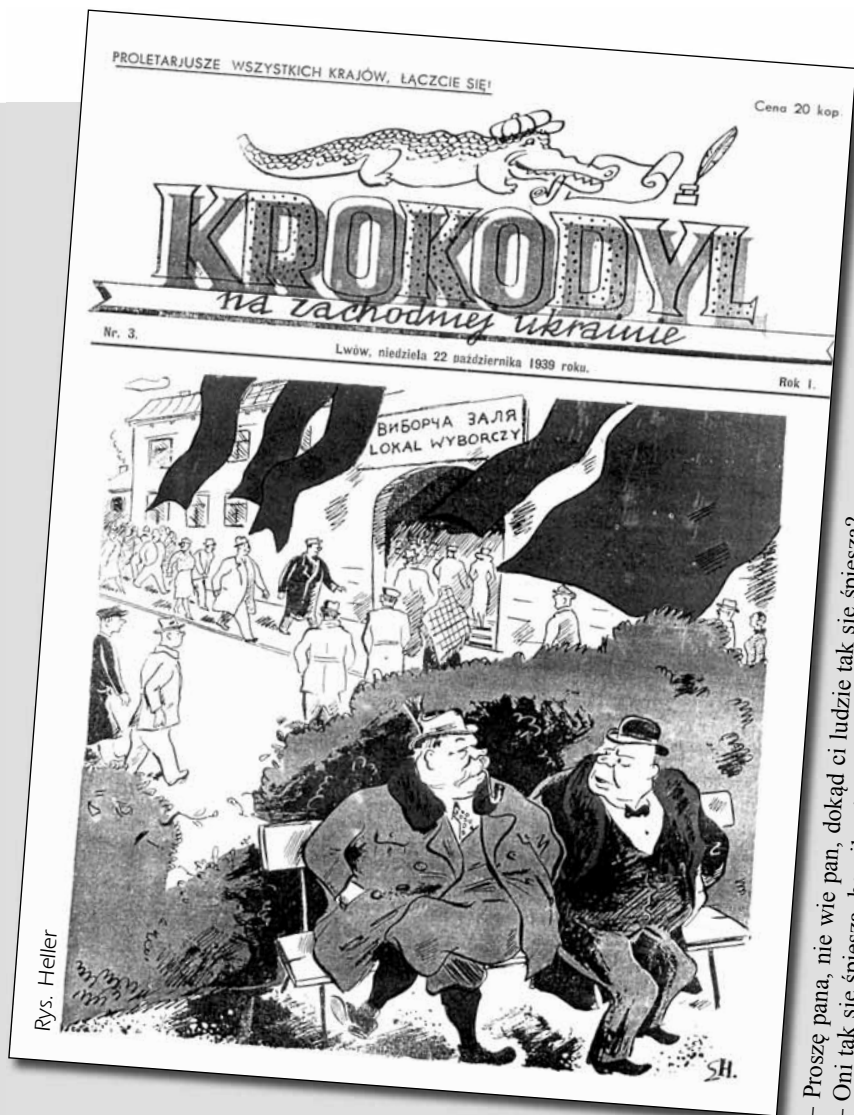
Na tej stronie krótko opowiadamy o tem, co działała władza radziecka w tem starożytnem ukraińskim mieście Lwowie.

24 marca 1940 roku pracujący radzieckiego Lwowa, przyszedłszy do urn wyborczych, będą jednomyślnie głosowali na rzecz ojczyzny, na wielkiego Stalina, na szczęśliwe życie, na dalszy rozkwit swego pięknego radzieckiego miasta.

BUDUJEMY NOWE ŻYCIE

Z wejściem Armii Czerwonej, Lwów, wyniszczony gospodarką kapitalistyczną i wojną, znajdował się w stanie nader opłakany. Zakład gazowy nieczynny, całe miasto bez wody, pozrywane linie tramwajowe, paskarstwo i spekulacja, nędza robotników – oto spuścizna pańskiej Polski w naszym mieście.

Trzeba było prędko wziąć się do roboty, ażeby doprowadzić miasto do normalnego wyglądu, a następnie burzyć wszelkie po-



zostałości burżuazyjnej gospodarki miejskiej i zmienić oblicze miasta na radzieckie...

CO ZDZIAŁAŁA WŁADZA RADZIECKA WE LWOWIE

Teatry. We Lwowie przed wejściem Czerwonej Armii istniał tylko jeden teatr polski. Ukraińskiego i jęwejskiego teatrów wcale we Lwowie nie było. Czasami tylko na gościnne występy przyjeżdżały teatry ukraińskie i jęwejskie z innych miast. Obecnie we Lwowie czynnych jest pięć teatrów: teatr opery i baletu, dramatyczny teatr ukraiński im. Łesi Ukrainki, polski teatr dramatyczny, jęwejski teatr dramatyczny oraz państwowy teatr miniatur (teatrzyk satyryczny).

A dalej podobnie o kinach, poliklinice, tramwajach, fabrykach, szkołach, sklepach, parkach, stadionach, restauracjach...

* * *

Wyjaśnienie dla niezorientowanych co do teatrów w przedwojennym Lwowie: zaglądamy do przewodnika po Lwowie A. Medyńskiego z 1937 r. Przepisujemy:

- Teatr Wielki (opera, operetka, dramat)
- Teatr Żołnierza, ul. Rutowskiego 22 (lekką komedia)
- Ukraiński Teatr, ul. Szaszkiwicz 3
- Teatr Żydowski, ul. Jagiellońska.

Były ponadto małe scenki, np. Bagatela przy ul. Rejtana i in.

Irena Sandecka
*Impresje
 krzemienieckie*

W wigilię Dnia Zmarłych, gdy biegłam
 z cmentarza
 Z psem wiernym, przez góry do domu,
 I już nie dostrzegłam, stojących na straży
 Ogników na grobach znajomych.
 Spojrzałam przed siebie – w dół biegła
 ścieżyna

A las się wciąż złocił barwami
 A w dole mgły lekkie jak zwiewna tkanina
 Kłębiły się wdzięcznie przed nami.

Na dnie zaś doliny tak mgły się stopiły
 Że Bona wleciała nad chmury
 I wszystkie wzniesienia wypukłość straciły
 Jak gdyby wycięte z tektury.

Na niebie, świecącym odbłaskiem różowym,
 Gór zarys wciąż mocniej się kreślił,
 A księżyc spokojny, swą błądą połowę
 Nad nim koroną zawiesił.

Gdzie jesteś Turnerze, gdzie Hermanowiczu,
 By cuda te zakląć w obrazie?!
 Czy tylko poezja, nieśmiały swym zniczem
 Kraj dziwnej piękności ukaze?

Stella Maris

Jak piękny jest Krzemieniec
 We mgłach listopada
 Miękki tuman wyściela jary i dolinę
 Nikną wszystkie kolory brunatne i sine
 Szarości ziemi – bielą niebo odpowiada.

Listki na drzewach próżno wyglądają słonka
 I wkrótce już opuszczą podniebne mieszkanie
 I na jasnym tle nieba jedynie zostanie
 Cudna, misterna czarnych gałęzek koronka.

W płaszczu pielgrzymim Bona na zachód
 spogląda.

Wierne góry ją ciasnym otoczyły kołem
 Kruki – wspaniałym lotem krążą nad jej czołem
 „Czemu smętna?” – pytają „Kogo widzieć żąda?”

Dla obcych jesteś „Jamą siejącą niezdrowie”
 Dolino krzemieniecka. Nas o każdej porze
 Darzysz najczystszy piękny, cudne dzieło
 Boże,

I ludzi – kóż ich myśli i prace wypowie.

Wiatr zimny w gałęzie jak struny trąca
 Noc biała roztoczyła swoje panowanie
 Wtem zza Bony się wyniosła w górę
 niewstrzymanie
 Stella Maris, Jutrzenka, Wenus jaśniejąca.

Gdy myślimy o Muzie, która bywa natchnieniem dla poetów, zazwyczaj wyobrażamy sobie wiotką, długowłosą, przybraną w zwiewne, lekko prześwitujące szaty, kobietę. Tańczy wokół poety, który gdy tylko dłoń ku niej wyciągnie, ta umyka w popłochu... A poeta, ileż wtedy musi się natrudzić, by Muza znowu doń wróciła! Tym razem będę pisał o Muzie, która przybrała męskie spodnie, i jako żywo – kobietą nie była. Choć była równie nieosiągalna!

Dla pani Ireny Sandeckiej, naszej kresowej poetki, tym natchnieniem, niedoścignionym, acz wypełniającym całe jej życie, stał się Juliusz Słowacki. Pani Irena niemal całe życie spędziła w cieniu góry Bony, w Krzemieńcu, gdzie urodził się i nasiąkał za młodu Polskością wielki poeta doby romantyzmu, Juliusz Słowacki. Stała się kapłanką strzegącą ducha Polskością w Polskich Atenach, manifestując swym życiem i wierszami wierność Wielkiemu Poecie, pilnując mogiły Salomei – matki naszego Wieszcza, która spoczywa na miejscowym cmentarzu.

Wiersze Ireny Sandeckiej piękną polszczyzną opisują niepowtarzalne krajobrazy, tylko Krzemieńcowi właściwe kolory i zapachy. Potrafi też zaszcześcić myśl o polskości, o pięknej miłości syna do matki, wyrażanej w przepięknych listach. Pamiętam pewien wrześnieowy dzień, w którym pani Irena powiodła nas nad mogiłę pani Salomei, na krzemieniecki cmentarz. Opowiadała o niej i o Juliuszu. Słońce powoli zachodziło. Na cmentarzu panowała cisza. Słychać było tylko szum dostojnych drzew i głos pani Ireny. Ze swej torby wyjęła

Franciszek Jaworski

WAŁY GUBERNATORSKIE

Niniejsze opowiadanie zaczerpnęliśmy z książki pt. „Lwów stary i wczorajszy” (Lwów 1910)

Oto ziemia miłości i wspomnień. Poznasz ją po nagłej ciszy i odludziu, po smętnym szemraniu drzew, którym lat setka już dochodzi, i po westchnieniu ją poznasz, które obsiadło tutaj samotne krzewy i pnie się bluszczem po starych murach. Siwych oczu tęsknicza tu większa [...] i większy, a cichy i bezbrzeżny smętek się rozsiał na Wałach Gubernatorskich.

W samotnej pustce wieczora dziwne tędy chadzają majaki, a upiorne, że je nawet trywialny chichot par zakochanych rozwiązać nie zdoła. [...]

* * *

Taki to czar się pod stopy kładzie temu, kto przejdzie górną stroną Wałów Gubernatorskich w chwili, kiedy tam nie ma ordynarnych romansów kucharek, ani kujonów, wykuwających lekcje szkolne, ani rozdzielającego wrzasku łobuzów. W tym rzadkim momencie staje się cała okolica pod murami Miłosiernych¹ i Benedyktynek², obok pożar-

nej strażnicy i na kilkakrotnie przeciętej ulicami wstędze nasypu, równocześnie jakby drogą dla nimf jasnowłosych i jakoby echem natarczywych wspomnień dziejowych.

Wielka szkoda, że najpiękniejsze to może i najbardziej charakterystyczne miejsce napełnione zostało prozą lwowskiego żywota, a ona brudem swoim tędy szaleje i cały czar, całe wspomnienie odbiera staremu krajobrazowi.

Bo krajobraz Gubernatorskich Wałów zachował jeszcze po części swój dawny charakter. Jeszcze się czerwienią resztki warowni Bernardyńskiej, i od Podwała dwa arsenale, miejski i królewski, jeszcze odrapana baszta prochowa przypomina forteczny charakter miejsca i jeszcze się kościół Karmelitów nad wszystkim unosi ze strzępkami murów warownych, a Wołoska Cerkiew, Dominikanie, kwadrat budynków stauropigialnych, spad ku ulicy Ruskiej, ongi furta bosacka, zaułki ulic Zacerkiewnej i Arsenalskiej stwarzają nastrój sprzed kilku wieków, tak jak w nim żyły dawne pokolenia, pomiędzy kościołem a basztą forteczną, wśród dźwięku dzwonów i armatniego huku. ►

zniszczonej książkę z listami Słowackiego do matki. Powiedziała, iż jest taki zwyczaj, że odwiedzając mogiłę Salomei, trzeba otworzyć tom z listami i przeczytać kilka jej słów od syna. Książkę do czytania dostała wtedy Natalia Otko, lwowska poetka. Nie czytała długo, ale gdy skończyła, nastąpiła tak głęboka cisza! Wszyscy trwaliśmy w tej magicznej chwili myśląc – niech trwa jak najdłużej... Z krzewu rosnącego na grobie Salomei zerwałem listek, który do tej pory tkwi w notatniku towarzyszącym mi w podróży.

Dlaczego po latach wspominam tę chwilę? Właśnie zamknąłem ostatnią stronę książki Ireny Sandeckiej „Wiersze spod Góry Bony”. Wydana została przez dyrektora Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej w Przemyślu pana Mariusza Olbromskiego, który sam jest poetą poświęcającym swe wiersze Kresom. Książka wprawdzie niewielka, ale jakże piękna! Wiersze pani Ireny zdobią fotografie Jerzego Pióreckiego. Na okładce widzimy tonący w malowniczej zieleni dom pani Ireny, w którym mieszkał słynny Wilibald Besser (1784–1842), twórca i dyrektor Ogrodu Botanicznego w Krzemieńcu. Lektura wierszy zapewni nam piękną podróż do krainy dzieciństwa Juliusza Słowackiego, a ci którzy już tam byli i dostąpili zaszczytu rozmowy z panią Ireną, przypomną sobie te piękne godziny w cieniu Góry Bony spędzone.

Janusz M. Paluch

Irena Sandecka, *Wiersze spod Góry Bony*, Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej, Przemyśl 2007

Lecz ów krajobraz, jakkolwiek wiele jeszcze zachował śladów przeszłości, zgoła był za czasów Rzeczypospolitej inny, opancerzony, forteczny, na każdym kroku wojenny i wojną dyszący. Komendanci fortecy lwowskiej, inżynierowie, rycerscy burmistrzowie i rada, pełną mieli świadomość, że w tym miejscu jest achillesowa pięta twierdzy, że tutaj najtrudniejsza obrona i najłatwiejszy przystęp wrogowi, bo sąsiednie wzgórza i wzniesienia pnące się ku Wysokiemu Zamkowi dawały oblegającym dogodny punkt obserwacyjny i stanowisko dla ostrzeliwujących baterii i impet dla spadających zastępów. Toteż wszystkie usiłowania mieszczan, cała sztuka inżynierów fortecznych królewskich, a wśród nich słynnego Berensa za czasów Jana III, ku temu tylko skierowana była, aby to miejsce opancerzyć jak najmocniej i jak najbardziej ufortyfikować.

Więc najpierw bronił tego boku miasta stary mur forteczny, zbudowany jeszcze przez Kazimierza Wielkiego. Biegł on tuż za tylną ścianą kościoła Dominikanów i Cerkwi Wołoskiej, a najeżony był czterema basztami, z których pierwsza, rymarska, stała u zbiegu dzisiejszej ulicy Ormiańskiej i Skarbkowskiej w narożniku, którego ślady widoczne są jeszcze dzisiaj naprzeciw szkoły Staszica; druga stała na dzisiejszym skwerze przed Cerkwią Wołoską; trzecia, zachowana po dzień dzisiejszy u wjazdu do arsenału miejskiego od strony uliczki Za Zbrojownią; czwarta wreszcie na drugim rogu arsenału, w rogu ulic Sobieskiego i Za Zbrojownią, a miejsce jej wskazuje ścięty bok samego arsenału.

W linii dzisiejszej ulicy Podwale, wzdłuż obydwu arsenałów, biegł drugi mur fortyfikacyjny, tzn. zewnętrzny, z sześciu półkolistymi bastionami, z których zachował się do dzisiaj jeden tylko w suterrenach domu przy ul. Sobieskiego, zamieniony niedawno w winiarnię „Pod Starą Basztą”.

Przeźren między oboma tymi murami, wewnętrznym i zewnętrznym, nie stała wcale pustką. Zanadto bowiem mało było miejsca w mieście, ażeby można było zostawić niezabudowanym nawet tak wąski skrawek. Przyczepili tedy mieszczanie jeszcze w XVI wieku do muru wewnętrznego arsenał miejski, skład broni, kul i prochów, poza Dominikanami zaś zbudowali inżynierowie Władysława IV według wskazówek bodaj czy nie Krzysztofa Arciszewskiego drugi arsenał, królewski, skład broni na gotującą się wyprawę przeciw Turkom. Między oboma arsenałami na skrawku przed Cerkwią Wołoską stanęły ponadto dwie kamienice prywatne, tak że cały mur wewnętrzny został zakryty, tym bardziej że i na szczycie jego budowano mieszkania i doczepiano oficyny sąsiednich realności, ku wielkiemu utrapieniu władz miejskich.

Poza murem zewnętrznym, jak całą dzisiejszą ulicą Podwale, biegł głęboki rów, fosa miejska, napełniona wodą, a za nią dopiero wał miejski, który był osią całego systemu fortyfikacyjnego i w tym miejscu bardziej był obronny i mocniej ufortyfikowany aniżeli z innych stron miasta.

Przede wszystkim narożnik wałów, w tym samym miejscu gdzie dziś wojskowa pikietta, broniony był przez dużą okrągłą

Widok panoramiczny Lwowa od pln. wschodu. Na pierwszym planie Wały Gubernatorskie – nasypy dawnego Beluardu Królewskiego. W głębi od prawej wieża Starego Miasta. Litografia A. Lange, 1823 (wg O. Czernera „Lwów na dawnej rycinie i planie”)



basztę tzw. „królewską”, naprzeciw zaś głównego wejścia do Namiestnictwa zbudował inżynier Berens za Jana Sobieskiego drugi bastion; potem stojąca po dzień dzisiejszy baszta prochowa z oszkarpowanym bastionem rawelinowym; a wreszcie drugi narożnik gdzie dawniej stał teatr letni, a obecnie klomb zielony koło strażnicy pożarnej – ufortyfikowany był „wielkim belluardem”, basztą, wraz z całym systemem oszkarpowanych nasypów ziemnych.

Wzdłuż ulicy Czarnieckiego biegł wreszcie rów, czyli fosa zewnętrzna, a malutki stawek, a raczej sadzawka na skwerze przed domem nr 26 przy tejże ulicy uzupełniała obronność miejsca.

Mimo jednak wszystkie wysiłki sztuki inżynierskiej pozostała okolica dzisiejszych Wałów Gubernatorskich najłabszym punktem fortyfikacji Lwowa. Toteż kiedy Karmelici zapragnęli ufortyfikować swój kościół i klasztor na górze położony, kiedy dla łatwiejszego dostępu do miasta wymagać poczeli wybicia w murach miejskich koło Cerkwi Wołoskiej furty, miasto broniło się przeciwko temu wszystkimi siłami i z całym nakładem procesowego pieniądza. Ostatecznie klasztor już w r. 1642 został ufortyfikowany, a fortyfikacje te zostały przez wspomnianego kilkakrotnie inżyniera Berensa na nowo umocnione w formie widocznej dziś jeszcze od strony ulicy Karmelickiej. Wybita też została furta tzw. „bosacka”, biegnąca od baszty na skwerze przed Cerkwią Wołoską, przez kładkę i wał na miejscu dzisiejszego gimnazjum niemieckiego³.

Wszystko to sprawiło, że niebezpieczeństwo, z tej strony miastu grożące, było największe. Próbował też tędy dostać się do miasta Chmielnicki, tutaj w czasie oblężenia tureckiego mieszkał w baszcie prochowej sam komendant Lwowa Eliasz Łącki, aby na chwilę nawet z oka i z uwagi nie spuścić niebezpiecznego miejsca; przez basztę prochową od strony niemieckiego gimnazjum wdarł się wreszcie w r. 1704 do Lwowa król szwedzki Karol XII ze swymi wojskami. Najtragiczniejsze tedy w dziejach lwowskich zdarzenie zaszło od Wałów Gubernatorskich.

Rząd austriacki przestraszył się srodze warowni lwowskiej i podobnie jak wszystkie inne zamki skasował ją przy końcu wieku osiemnastego. Rozrzucona z wałów i bastio-

nów ziemia posłużyła do zasypania obydwu fos fortecznych, wewnętrznej i zewnętrznej, przekop zaś na wprost ulicy Ruskiej zastąpił dawną furtę bosacką i stworzył komunikację z całą dzielnicą poza Wałami leżącą, która nosiła wówczas miano Komorowszczyzny.

Dzielnica była pusta i zaniedbana, a na resztkach wału chwast tylko porastał i mnożyły się błotne, rozmokłe kałuże. Pałacyk Chołoniewskich na rogu ulicy Karmelickiej, zajazd poczty dyliżansowej, a poza tym świecił tu tylko plac pusty. Z dała tylko pod Franciszkanami bieleły się dworki przedmiejskie, a bliżej Karmelici na górze. Karmelitaniki bose (dziś kaplica arcybiskupia)⁴ patrzyły na błotną wstęgę dawnych wałów, które kończyły się głęboką przepaścią, po niej zaś położony most prowadził do Sióstr Miłosierdzia. [...]

Na owym tedy moście wiszącym, co go ano zapewne Cyklopy stawiały, zdarzyła się raz pewnego awantura, że jeden drugiego, pokłóciwszy się wpiern, w błoto strącił; aż my biedne studenciska w strachu zleźli z mostu i kamrata za uszy z bagna wyciągali. Oj, pamiętam ten dzień, bo się też nabrałem bizunów i surowo nam zakazano, by na ten most nie chodzić. Za to też my baki zbijali po wałach i ptasie gniazda z baszt wiercili.

Niewybredna sielanka zakończyła się dopiero w r. 1821 dzięki staraniom radcy gubernialnego Reitzenheima, względnie sielskiemu jego usposobieniu. Pan radca bowiem, po odsiedzeniu godzin biurowych, lubił drzewa, kwiaty, zielen trawników i chłód cieniastej promenady. Umyślił tedy urządzić taką promenadę na opuszczonym wale i zamysł doprowadził do skutku, ku wielkiej korzyści ogółu mieszkańców Lwowa. Topole włoskie, kasztany i inna zielen okryła koronę wałów, rozrosła się i zamieniła dzisiaj w stuletnią prawie cieniastą aleję z licznymi drożynami i ścieżkami, które kręte są i ciemne, tak jak te drogi ludzkiego żywota, które tędy wieczorem wiją się i nikną w gęstwinie krzewów.

Dzieło Reitzenheima uznała społeczność lwowska za pewnego rodzaju monument, czego wyrazem była nazwa „Reitzenheimówki” nadana nowej promenadzie. Ale radca podług hierarchii biurokratycznej musiał ustąpić koniecznie miejsca gubernatorowi. Dlatego też, gdy gubernator Hauer sprowadził się do nowo zbudowanego gma-

chu namiestnikowskiego, Wały otrzymały lojalną nazwę „gubernatorskich”, którą odziedzżyły do dnia dzisiejszego. Pałac „Pod kawkami” rozszerzał się coraz bardziej, chłonał w siebie sąsiednie budynki, jak kamienicę Młockich ozdobioną płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny z *Iliady*, starą pocztę i inne, na których miejscu stały gmachy Namiestnictwa.

Przed kilku laty burza powaliła co najstarsze drzewa na Wałach Gubernatorskich, ogrodnicy miejscy z ciężkim trudem usunąć zdołali gromady kawek, które, jakby na urągowisko herbowi Galicji, gnieździły się tutaj z wrzaskiem piekielnym, a kiedy puszczono tramwaj elektryczny, a namiestnictwo nie chciało go mieć pod swymi oknami, przewano wały, tworząc na rozkaz ówczesnego namiestnika hr. Badeniego, ów słynny „wykręt Badeniego” ku ulicy Łyczakowskiej, który rozdierającym piskiem swym zatrąwa życie okolicznym mieszkańcom.

Nowa linia tramwaju elektrycznego na Wysoki Zamek przyniesie zapewne dalsze jeszcze zmiany na Wałach Gubernatorskich, które dotychczas zdawały się urągać rozwojowi miasta, zachowując ciągle charakter zacisza cieniściego, szumiącego liśćmi i gwarem miłości a wspomnień historycznych.

Czy pęd Lwowa i jego rozszerzanie się nie przełamia i tych resztek rycerskiego pasa, którym ongi całe śródmieście było otoczone – czy Wały Gubernatorskie nie czeka los Wałów Hetmańskich? – przyszłość najbliższa okaże.

PRZYPISY REDAKCJI

- 1 Klasztor ss. Miłosierdzia wraz z kościołem św. Kazimierza z XVII w. (na początku ul. Teatyńskiej), wcześniej Reformatów (do tzw. kasaty józefińskiej po I rozbiórce). Siostry prowadziły tam szpital i zakład dla sierot.
- 2 Kościół i klasztor ss. Benedyktynek łac., cenny obiekt z XVI w., wzniesiony przez Pawła Rzymianina w stylu późnego renesansu.
- 3 *Niemieckie gimnazjum* – pośrodku Wałów Gubernatorskich – późniejsze II Gimnazjum. Obiekt ten oczywiście nie istniał jeszcze w czasach najazdu szwedzkiego – autor wymienia go tylko dla określenia miejsca.
- 4 Chodzi o kościół MB Gromnicznej obok pałacu arcybiskupiego i seminarium duchownego rzym.kat., zbudowany w połowie XVII w. dla ss. Karmelitanek bosych z fundacji Jakuba Sobieskiego, ojca króla.

Jerzy Wolański

Z dziejów Grzymałowa (2)

Dokończenie z CL 1/08

Udało mi się ustalić pewną liczbę z konieczności dość przypadkowych dat, ważnych dla rozwoju Grzymałowa, które podaję w porządku chronologicznym:

Rok 1818 – Konstancja Rzewuska buduje na cmentarzu kaplicę mszalną. Po kaplicy tej nie pozostał kamień na kamieniu.

Rok 1843 – Grzymałów siedzibą Urzędu Pocztowego.

Ok. 1860–67 – Grzymałów siedzibą Urzędu Powiatowego. Po reformie administracyjnej z 1867 r. miasteczko traci ten status na rzecz Skalału. Gdy jednak sejmowa komisja terytorialna uchwala w maju 1875 r. rezolucję o ponownym przeniesieniu starostwa do Grzymałowa i wnosi ją przed Wysoką Izbę, silne *skalałackie lobby* torpeduje wniosek Komisji.

Rok 1866 – Plaga cholery w Grzymałowie. Pisze o niej Leonard Piniński do przyjaciela w liście z września 1866: *...U nas cholera okropnie wymiata ludność, z początku żydowską, a teraz chrześcijańską. Przeszło dwieście kilkadziesiąt wymarło na 4000 mieszkańców i jeszcze końca nie ma. Co rano donoszą o nowych wypadkach. Najzdrowsi ludzie, z którymi się wczoraj mówiło, do rana znikają ze świata... Co dalej będzie – Wola Opatrzności!...*

Rok 1873 – Grzymałów siedzibą Urzędu Telegraficznego.

Rok 1895 – Oświetlenie miasteczka dzięki energii elektrycznej dostarczanej przez młyn parowy.

Rok 1897 – Uroczyste otwarcie kolei lokalnej Borki Wielkie – Grzymałów. Otwarcia dokonał przybyły z Wiednia minister Kolei generał Guttenberg. Towarzyszyło mu grońo dygnitarzy galicyjskich. Uroczystości zakończył obiad na 70 nakryć, jakim gości w zamku grzymałowskim podejmowali bracia Pinińscy. Przejazd nową trasą, długości 32,5 km, trwał 2 godziny. Budowa zajęła dokładnie 1 rok czasu.

Rok 1898 – Nominacją cesarską z 31 marca 1898, na stanowisko Namiestnika Galicji

powołany zostaje Leon Piniński. Wysoką tę funkcję pełnić będzie do 8 maja 1903.

- Wzniesiony z inicjatywy proboszcza grzymałowskiego, ks. Aleksandra Walenty, pomnik Adama Mickiewicza dla uczczenia 100-lecia urodzin poety odsłonięty został 26 maja 1898. Pomnik ten, choć w zmienionej nieco postaci, zachował się do dziś.

Rok 1901 – Powstanie parku miejskiego w Grzymałowie na terenie ofiarowanym miastu przez Pinińskich.

- Nadanie Namiestnikowi Pinińskiemu dyplomu honorowego obywatelstwa miasta Grzymałowa.

Rok 1902 – Powstanie Ochronki Sióstr Służebniczek. Fundatorka, siedemnastoletnia wówczas Julia Pinińska (moja matka), ofiarowała dla 3 sióstr murowany dom z pełnym urządzeniem i ogrodem. Wytypowane przez Zgromadzenie 3 zakonnice przyjechały do Grzymałowa i z dniem 18 sierpnia 1902 rozpoczęły pracę. Do obowiązków ich należało m.in.: prowadzenie ochronki dla kilkudziesięciorga dzieci, katechizacja, pielęgnowanie chorych, kursy zawodowe dla dziewcząt, opieka nad kościołem. Koszty utrzymania sióstr pokrywał dwór.

Rok 1903–04 – Powiększenie grzymałowskiego kościoła przez dodanie transeptu, czyli nawy poprzecznej, i wydłużenie prezbiterium. Projekt przebudowy uwzględniał w pełni styl świątyni i jej zabytkowy charakter, świadcząc o kulturze artystycznej architekta. Tożsamości jego nie udało mi się ustalić. Powiększony kościół został konsekrowany przez wyniesionego niedawno do chwały ołtarza metropolite lwowskiego, ks. prof. Józefa Bilczewskiego, dnia 24 września 1905. Kościół został wysadzony w powietrze ok. 1970 r.

Rok 1910 – Otwarcie i poświęcenie Domu Polskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej nastąpiło 9 października 1910. Z inicjatywy ks. Aleksandra Walenty, wspartej materialnie przez Stanisława Pinińskiego, marszałka powiatu skałackiego, stanął w Grzymałowie kosztem 50 000 koron okazały budynek, w którym znalazły siedzibę różne polskie towarzystwa, jak Koło TSL, Kółko Rolnicze, Gospoda Mieszczkańska, Kasyno. Znalazła się i wielka sala, mogąca pomieścić 500 osób, przeznaczona na odczyty, posiedzenia czy spektakle teatralne. Budynek byłego „Domu Polskiego”

zachował się do dziś. Obecnie mieści się w nim szkoła.

Rok 1914 – w czasie niepomysłnych dla Austro-Wegier krwawych walk w rejonie rzeki Zbrucz, dnia 18 VIII 1914 r. zginął w niejasnych okolicznościach ck feldmarszałek Ernst von Foreich-Szabo (1885–1914). Następnego dnia (19 VIII 1914) został on pochowany na cmentarzu grzymałowskim. Dochodzenie wykazało, że feldmarszałek został zastrzelony w okolicy Satanowa przez rosyjskich Kozaków, przebranych w mundury austriackie. Niemniej powszechnie uważano, że von Foreich-Szabo popełnił samobójstwo w poczuciu odpowiedzialności za lekkomyślne narażenie podległych mu oddziałów na ciężkie straty w ludziach. Na początku XXI w. mieszkaniec Grzymałowa, Jan Krzyśków, odnalazł płytę nagrobną feldmarszałka na zdewastowanym miejscowym cmentarzu.

Na tym kończy się moja próba przedstawienia różnych faktów z dziejów Grzymałowa, które udało mi się zebrać. Zdaję sobie niestety sprawę, jak dalece niekompletnie odzwierciedlają one historię naszego miasteczka.

Minęło ponad 60 lat od masowego wyjazdu Polaków z Grzymałowa. Od tego czasu wiele się zmieniło i świat nie jest już ten sam. Zmieniły się granice i ustroje polityczne. Pozostała jednak rzecz, jak sądzę, najważniejsza: przywiązanie do tradycji i miłość do ojczystych stron. Bezценne te wartości dzielą chyba wszyscy, starzy i młodzi.



Warszawa, maj 2006 r.

JERZY WOLAŃSKI, ur. 1927 w Grzymałowie. Po aresztowaniu ojca przez NKWD zamieszkał wraz z matką i rodzeństwem we Lwowie, a w maju 1940 przedostał się do Generalnej Guberni. Uczył się na tajnych kompletach, mała matura w konspiracji u oo. Jezuitów w Starej Wsi, 1944. Od 1945 w Krakowie, nauka w liceum Nowodworskiego, matura 1946. Studia prawnicze ukończył na UJ w 1951 z tytułem magistra. Od 1959 w Warszawie, przez ponad 30 lat pracował w resorcie handlu zagranicznego. W latach przełomu czynny w „Solidarności”. Od 1992 na emeryturze.

Kościół pw. Trójcy Świętej z połowy XVIII w. Wysadzony w powietrze ok. 1968 r.

DWA ZAMKI WE LWOWIE

Wracamy do spraw najdawniejszych. W latach 2003–2004 zamieściliśmy całą serię artykułów i przedruków, dotyczących czasów sprzed najazdu ruskiego w 981 roku. Między innymi w CL 2/04 znalazł się artykuł znanego architekta lwowsko-krakowskiego, Jana Sasa Zubrzyckiego pt. „Z dziejów pierwotnych Lwowa”. I oto drugi artykuł tego samego autora na temat tej samej epoki, opublikowany pierwotnie w Poznaniu w „Tygodniku Katolickim” nr 15 z kwietnia 1926 r. Odpis tego artykułu nadesłał nam z Leszna p. Janusz Ragankiewicz, za co w imieniu zainteresowanych Czytelników i Redakcji gorąco dziękujemy.

Zwróćmy uwagę, że artykuł Zubrzyckiego jest napisany stylem dość kwiecistym, dziś trudnym w odbiorze. Odłóżmy jednak na bok styl, a zauważmy ciekawe informacje, jakie podaje. Są one przeważnie zgodne z tym, co nam dziś przedstawiają nasi naukowcy-archeolodzy, historycy i inni, zaprzeczając całkowicie wersjom, podawanym dość bezmyślnie przez polskich historyków z przełomu XIX/XX wieku, korzystających niepotrzebnie z jednostronnych interpretacji „uczonych” ruskich.

Jan Sas Zubrzycki nie był ani archeologiem, ani historykiem, umiał jednak w sposób inteligentny obserwować, kojarzyć fakty i wyciągać wnioski.

Dziejopis Długosz mówi o Łysogórze ponad miastem Lwowem. Nazwa ta w Polsce była nadzwyczajnie rozpowszechniona, albowiem odnosiła się do wiary Światowida. Najstawniejsza jest Łysogóra koło Opatowa. W wielu miejscach Polski jednoczy się ta nazwa z Jasnogórą, jak koło Kielc, jak na Polesiu; jest Jasnogóra na Śląsku Cieszyńskim i Jasnogóra, czyli Łysogóra na północ od Krakowa. Starodawność miejsc, wyniesionych wysoko, a panujących nad okolicą, łączy się z nazwami niemieckimi, jak Kahlenberg pod Wiedniem i Kahlenberg na wschód od Gdańska, nad morzem. Wszystkie Łysogóry przeważnie są powiązane z osadami najstarszymi na ziemi naszej, a zatem i Lwów sam i Łysogóra lwowska, na której stał zamek odwieczny, należą do czasów najdawniejszych. Tuż obok Łysogóry tutejszej, jako góry zamkowej, stoi również wysoka, no-

W pierwszej części tekstu (CL 1/08, s. 28–34) o Grzymałowie uległy zniszczeniu – przy skanowaniu z maszynopisu – następujące daty:

- na s. 28, lewa szpalta, wiersz 17 od dołu, ma być: **pochodzi z 1600 r.**, a nie: z 1500;
- na s. 28, prawa szpalta, wiersz 12 od góry, ma być: **po 1945 r. nie są znane...**, a nie: po 1915;
- na s. 28, prawa szpalta, wiersz 6 od dołu, ma być: w **1620 r. pochowana została...**, a nie: w 1520;
- na s. 29, lewa szpalta, wiersz 19 od góry, ma być: **Bucykach**, a nie *Kucykach*;
- na s. 30, lewa szpalta, wiersz 1–2 od góry: ma być **20 April 1607. Tu leży... z dziewczką swą...** a nie: 20 April 1507... z *dziewcą*...
- na s. 30, prawa szpalta, wiersz 12–13 od góry, ma być: w **latach 1648 i 1651...**, a nie: 1643 i 1651...
- na s. 31, prawa szpalta, wiersz 2–3 od góry, ma być: **do dnia 28 sierpnia...**, a nie: 23 sierpnia;
- na s. 31, prawa szpalta, wiersz 11–12 od góry, ma być: **najazdy tatarskie w latach 1618–1621**, a nie: w latach 1513–1521;

- na s. 31, prawa szpalta, wiersze 13–15 od góry, ma być: **zmieniły w zgłiszcza 12 kościołów, w ich liczbie i ów w Hlibowie**;
- na s. 31, prawa szpalta, wiersz 20 od dołu, ma być: **śmiercią hetmana Sieniawskiego w 1726 r.**, a nie: w 1725 r.;
- na s. 32, lewa szpalta, wiersz 8–9 od góry, ma być: tragicznie... **zapisał się dzień 9 maja 1803**, a nie: 1703 r.
- na s. 32, lewa szpalta, wiersz 8 od dołu, ma być: **bo już w 1806 r.**..., a nie: w 1805 r.;
- na s. 32, prawa szpalta, wiersz 8 od dołu, ma być: **gdy w 1816 r. zmarła księżna marszałkowa**, a nie: w 1815 r.
- na s. 33, prawa szpalta, wiersz 4, ma być **młyn parowy w 1864 r.**

Autora artykułu bardzo serdecznie przepraszamy. Przy okazji potwierdziło się, jak bardzo trzeba uważać przy skanowaniu z maszynopisów (zwłaszcza kserowanych)! Dlatego niezmiennie prosimy o wydruki komputerowe.

sząca nazwę góry Iwiej, później znana jako góra piaskowa. Nie dość na tym, tuż opodal, gdzie na pamiątkę cesarza austriackiego był „Kaiserwald”, tam od niepamięci istniało tak zwane pole Światowida, czyli Światowidzkie, jakie się dochoowało na mapach najstarszych. Dodawszy jeszcze Skalę Czartowską, możemy na pewno zawyrokoować, iż istniała tu znaczna siedziba ludzka na wiele wieków przed książętami ruskimi, skoro po obrzędach pogańskich pozostało tu tak wiele tak znacznych śladów.

Utarło się przekonanie całkiem błędne, jakoby Lwów miał założyć nagle za rozkazem narzuconym książę Daniel dla swojego syna Lwa i dlatego nazwał gród Lwowem. Jest to nieprawda, ponieważ Lew jako godło Czarnoboga, ogólnie słowiańskiego, należy do czasów bardzo zamierzchłych. Rocznikarz wołyński pisze wyraźnie, iż „Lew wyprawivszy posłów nie założył, lecz zburzył miasto stare” (Staroż. Polskie, Poznań 1852, II. 391).

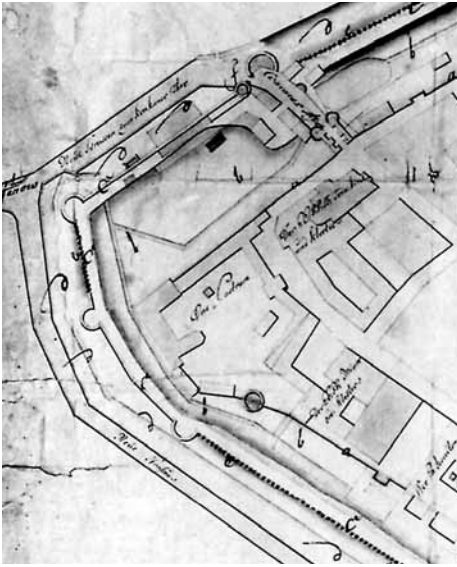
Lwów było to miasto zawsze znaczne, a zatem nie z przypadku wyrosło, lecz oparte o tradycje handlu wielkiego i dalekiego, przez morze Iwie, czyli Czarne, sięgającego aż na Wschód azjatycki. Lwów u Długosza to trzecia stolica Polski, „którą za Władysława trzeciego, króla polskiego, z Halicza do tego miasta przeniesiono”. Gdybyśmy wzięli rok ostatni Władysława Laskonogiego, wypadaloby, że już w roku 1206 Lwów musiał być większy od Halicza, o czym pomyśleć by nie można, gdyby książę Lew później w przeciągu lat 50 miał osadę zniecka utworzyć.

Istnieje wzmianka w zapiskach pergaminowych, że gdy wybuchł pożar w Chełmie w roku 1257, to lunę widać było ze Lwowa, a zatem gród ten istniał przed książętami ruskimi i należał do grodów czerwonych, o które walki toczono jeszcze za czasów Mieczysława I i za Bolesława Chrobrego.

W Weronie była brama zwana *Arco de Leonis* z wieku III. Koło Lubeki istniało już za Helmolda w wieku XII miasto Löwenstadt, tj. *Lwi gród*. Jest Lwów koło Gostynia, Lwów na Śląsku, jest jezioro *Lwityn* [niem. Löwentin]. Okazuje się, że nie wolno dziejów narodu ani miast rozpoczynać dopiero od zwycięstw krwawych. Jakże można to pogodzić, aby ci najeźdźcy, idący naprzód krwią i pożogami, równocześnie rozsiewali

błogosławieństwo pokoju i objawiali zamiłowanie do otaczania życia opieką, jeżeli dzieje mówią tylko o ich okrucieństwach i ich zaburzeniach nieustających?

Ponad wszystko atoli zasługuje na uwagę naszą okoliczność jedna, ta, która dotyczy wzmianki o istnieniu dwóch zamków we Lwowie jeszcze za czasów ruskich. Zimorowicz** bowiem podaje wyraźnie, że Kazimierz Wielki po opanowaniu grodu kazał spalić zamki obydwaj, a potem zaraz „na górze rzadkiej własności w krainie Sarmackiej” wznosił zamek nowy w rzucie do lutni podobny. O dwóch zamkach we Lwowie przed Kazimierzem Wielkim mówi i Kromer i wszyscy dziejopisowie to potwierdzają. Prąd dzisiejszy w nauce polskiej usiłuje co krok wykazać mylność latopisów naszych, aby uwydatnić nieomylność źródeł obcych. A jednak... należy raz jeszcze uwzględnić twierdzenie Długosza, że stolicę z Halicza za Władysława Laskonogiego przeniesiono do Lwowa, zapewne mocno i dostojnie pobudowanego, umocnionego wedle zwyczaju polskiego dwoma zamkami. Były dwa zamki w Krakowie, w Wilnie, w Łucku i po wielu, wielu miejscach Polski. Musimy uważać grody nasze, we dwa zamki opatrzone, jako właściwość rdzennie polską, samoistnie wykształconą i zachowaną prawie do czasów ostatnich. Już sam ten wzgląd na dwa zamki z czasów przed Władysławem III i przed królem Chłoptków, przekonać nas może raz na zawsze, jak sztuczne i ponaciągane są twierdzenia nam narzucone, mające na celu zaprzeczenie polskości na każdym kroku. A dodać wypada koniecznie jeszcze tę uwagę, że Kazimierz Wielki przystępując w połowie stulecia XIV do budowy dwóch zamków, nie czynił nic innego, jak tylko odbudowywał to, co przeszłość dawna pozostawiła. Nasuwa się przeto przypuszczenie, iż książę Lew nie tylko nie budował miasta i nie zakładał, ale poniszczywszy i poburzywszy przy zdobywaniu wszystkiego, co tutaj łączyło się z bogactwem (po które wrogowie u nas zawsze ręce wyciągali), wśród ruin i szczątków czas przepędzał na szukaniu zdobyczy dalszych. Toteż, gdy Polska objęła gród w posiadanie dalsze, musiała najpierw pomyśleć o zabezpieczeniu stolicy wschodniej za pomocą dwóch zamków, jednego na górze, drugiego na dole. Czyż król polski,



umacniający tu zaraz władztwo swoje, byłby tak nagle i niespodziewanie zakładał dwa zamki, mimo kosztów i trudów, bez potrzeby wyraźnej, gdyby nie ta okoliczność, że zastał już we Lwowie dwa zamki z czasów Bolesława Chrobrego pochodzące, a obecnie domagające się odbudowania.

Jeżeli za Władysława Laskonogiego przeniesiono stolicę z Halicza (Galicza) do Lwowa, to przyczyną zmiany musiały być na pewno silniejsza obrona w zamkach lwowskich, do których przewieziono skarby i klejnoty wschodnie.

Czytamy po przywilejach o tym, że była kaplica w zamku mniejszym, a zatem musiał być kościół i na zamku większym. Po pergaminach czytać można jeszcze określenia inne: „zamek górny i dolny”, czyli wysoki i niski.

Kiedy królowa Jadwiga obejmowała Lwów w posiadanie w roku 1387, wtedy tu odprawiła od strony Gródka wjazd uroczysty z poczetem panów i szlachty, a naprzeciw królowej wyszedł lud i mieszczaństwo, panowie i duchowieństwo. Żyła więc tu w Lwogrodzie i panowała myśl polska, ponieważ owe wjazdy uroczyste objawiały zwyczaj czysto narodowe polskie. Tak i mowa o dwóch zamkach we Lwowie jest wynikiem ducha polskiego, od początku prawem zwyczajowym nakazującym takie budowanie.

Na poparcie naszego twierdzenia możemy przytoczyć szczegół niewątpliwie bardzo

starożytny, a tylko po zamkach polskich przeważnie znany. Są to ganki podziemne, ciągnące się rozlicznie w głębokości ziemi. Badacz Franciszek Jaworski powiada, że takich przejść podziemnych było bardzo wiele we Lwowie. Prawdopodobnie łączyły one zamek wysoki z zamkiem niskim, a także klasztorem oo. bernardynów. Koło klasztoru sióstr miłosierdzia przy ulicy Teatyńskiej natrafiono na liczne rozgałęzienia boczne. Taki przechód podziemny znaleziono i na Żółkiewskim. To nie są żadne bajania, lecz to prawda szczerą, mówiąca do nas echemi wieków zamierzchłych. Wszystkie zamki nasze najstarsze głoszą tajemnice ganków podziemnych. Z tymi przejściami związana była wieża główna zamku wysokiego, zwana Dorotą, całkiem tak samo jak w Krakowie na Wawelu. Był to stółpień najwyższy po zamkach polskich i najgłębiej w dół sięgający.

Jak Lwów zwano: „ozdób i pomników miastem pierwszym na Rusi i całym państwie”, tak oba zamki celowały pięknnością i bogactwem. Nic a nic z tego wszystkiego nie pozostało. Jakaś siła tajemnie działająca dążyła stale do niszczenia, aby pamięć zaginęła nawet. Zamek wysoki miał wieże i szczyty wydętne, a zdaje się przybrany był i w atyki, czyli otoki dookoła, bo o tych ostatnich wiemy na pewno odnośnie do zamku niskiego. Atyka owa była „omamentalnie uwieńczona wazami”, co przypomina doskonałe kształty stylowo polskie stylu zygmuntońskiego. Na zamku wysokim były wspaniałe świetlice królewskie. Z czterech wież pierwotnie zbudowanych trzy dochowały nazwy takie: Cebrowskiego, Górskiego i Żulińskiego. Były one niezawodnie pięknie wyprowadzone w górę, gdyż o jednej z nich mówi Zimorowicz, że wicher silny zerwał ganek wieżowy i na ziemię rzucił.

Z tych wszystkich rzeczy nie pozostał właściwie ani kawałek okrucha. Pastwiła się groza burzenia i gładzenia, tak że dzisiaj z zamku wysokiego ocalała tylko część nieznaczna jednego muru kamiennego, a z zamku niskiego ślad zaginął doszczętnie, bo nie wiedzieć nawet, gdzie był plac zamkowy?...

Jedynym wspomnieniem cośkolwiek obrazowym jest opis Kaczkowskiego w powieści *Olbrachtowi rycerze* (tom II).

„Natenczas szli na mszę św., która na ich intencję odprawiła się w kościele św. Kata-

rzyny, znajdującym się wewnątrz niskiego zamku i słuchali całego nabożeństwa, kłęcząc przy drzwiach za plecami rycerstwa.

Po mszy rycerstwo rozstało się, a oni stanęli w środku kaplicy i słuchali kazania, które miał dla nich tym razem Krzesław z Kurozwęk, biskup kujawski, chociaż duchowny, sam jednak bardzo wspaniałym duchem rycerskim przejęty.

Po kazaniu król zasiadł pod baldachimem w dziedzińcu zamkowym, po jego stronie prawej w półkolu dygnitarze koronni i nadworni, duchowni i świeccy, po lewej co najprzedniejsi rycerze, w głębi naprzeciw króla owych dziewięciu młodzieńców ze swoimi ojcami chrzestnymi. Z krążganków na tę uroczystość patrzyli goście świątecznie przybrani”...

Lwów, który posiadał swoją własną sztukę renesansową, tak zwaną sztukę Odrodzenia Lwowskiego, przechowaną ułamkowo w okazach zaiście przepięknych, ten Lwów musiał zmieścić na obydwu zamkach, jako budowlach świeckich najważniejszych, całe skarby architektury polskiej. Niestety! Obojętność i pogardzanie, razem z nieuczciwem z żyłką tępienia, pokryły to wszystko naleciałościami nowoczesnymi, jakie chciały uczynić stolicę wschodnią podobną do Lipska i Berlina. Jak zawsze w takich razach niczego nie osiągnięto, a zdeптano rzeczy największej wartości miejscowej. Zburzono piękną bramę galicyjską, czyli halicką, na której wisiał zegar pochodzący z roku 1404. Zburzono także okazałą bramę krakowską, o dwóch basztach potężnych otokami, czyli atykami polskimi.

A kiedy już oto pamięć ulotna jak mgła poranna zawisła nad miastem, wtedy duch polski zapagnął w gorącości swej objawić się raz jeszcze sposobem arcydawnym za pomocą mogiły usypanej na Łysogórze, czyli na Jasnogórze, aby panować ponad ziemię daleką myślą jasną, iż to kopiec Zjednoczenia, kopiec Unii Lubelskiej. Pamiętamy jeszcze dobrze jak młodzi i starzy dobijali się o taczki, aby zawieźć ku wyżynie odrobinię ziemi, naprawdę suto przesiąkniętej krwią przodojców naszych. Zieleni się dziś z dala ten kopiec, lecz mało kto pamięta o tym, że te kwiatki i listki to duch przodków naszych żyjących nieśmiertelnie ponad Lwigrodem.

Przy kopaniu ziemi odgrzebywano kości liczne, ułamki urn, zbroi, resztki wyro-

bów krzemienych itd. Starym zwyczajem naszym rozlatywało się to na wsze strony i gubiło się po kieszeniach tłumu, który ludzi się znalazł skarbów. I były skarby, lecz nie takie w postaci dukatów po garnkach, tylko znakach przeszłości kochanej, na której nikt zgola się nie rozumiał. Szkoda to nie do opisania, że nie było opieki dobrej przy wykopywaniu starożytności. Rozdrapała gawiedź okazy małe i większe na to, aby przepadły bez pożytku dla nauki. Część ma lutka, ocalona w zbiorach Smolki, Bojarskiego i Schneidera, dostała się wprawdzie do muzeum Lubomirskich we Lwowie, lecz to zbiorowisko bez myśli przewodniej nie daje obrazu żadnego. Bezmyślność nie troszczyła się także o przerysowanie murów zamkowych, jakie łamano i burzono. Słowem ofiarą zatracenia pomnika sztuki bardzo wielkiej wagi wzniesiono kopiec jeden z największych i najpiękniejszych w Polsce w tym celu, aby z tej Jasnogóry Lwowskiej promieniowała daleko polska myśl jasna, zdrowa!...

Raz jeszcze przypominaemy, że sam kronikarz Dionizy Zubrzycki w roku 1844 pisał: „miasto Lwów już dawniejsze jak mniemano, że nie od księcia Lwa (Leona), ani od jego ojca króla Daniela założone; przeto i nazwisko jego nie od księcia tego, lecz od Lwa króla zwierząt pochodzić musi” – przeto nie dawajmy się porywać prądem dzwawcznym, aby przypuszczać, iż tutaj w tym Lwigródzie wszyscy byli mocniejsi i bogatsi pod każdym względem, tylko nie my Polacy. Całkiem przeciwnie, we Lwowie starym duch polski jest najwznoślejszy, albowiem choć poznikały pomniki chwały i sławy wielowiekowej, mimo to zapał i poświęcenie zapalają wszystkich, jak to orłęta lwowskie przykładnie stwierdziły. Dlaczego? Ponieważ lwowianin ściśle wypełnia, co Goszczyński w „Królu Zamczyska” powiedział: „A on jednak pojął myśl, której oni pojąć nie mogą, i całe życie swoje stosuje do niej i każdy krok jego jest jej koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zboczy z tej drogi”...

I tutaj kiedy staniemy pod kopcem dziesiętym obok kamieni ostatnich, z murów zamkowych zdaje się nam w rzeczy samej, jakoby prawdą było, „że kamienie stare dają mi rady, rycerze gotują broń do przyszłych bitew, orzeł mierzy oczami drogę do słońca, mam przed sobą całe życie przeszłości i widzę na jej kolanach przyszłość!”...

Z Heleną i Krzysztofem Skarbińskimi

rozmawiają Janusz M. Paluch
i Andrzej Chlipalski

Helena i Krzysztof Skarbińscy w domu, w którym zgromadzono
ocalałe pamiątki po Michałach Michalskim i jego firmie



Andrzej Chlipalski: Swego czasu na różnych oficjalnych i towarzyskich spotkaniach, apelowałem do Lwowiaków, by pisali historie swych rodzin. Otworzyliśmy dla nich tamy naszego pisma. Na mój apel niewiele było odpowiedzi. A przecież tyle rodzin o jakże wspanialej przeszłości – choćby Strońscy, Dylewscy, Kamińscy, czy w końcu rodzina Michalskich i ich potomnych – rozproszyło się po powojennej Polsce i po całym świecie. Wielu z nich w kolejnych pokoleniach mieszka także w Krakowie. I dziwi mnie, że nie dbają, by zachować pamięć o swej przeszłości! A może – oby tak było – jestem w błędzie? Z rodziny Michalskich – po kądzieli – wywodzą się Skarbińscy, z których przedstawicielami – matką i synem – dziś rozmawiamy.

Kim był dla Państwa Michał Michalski?

Helena Skarbińska: Był on pradiadkiem moim i mojego męża (oraz prapradziadkiem naszego syna), prezydentem Królewskiego Stołecznego Miasta Lwowa XII kadencji, w latach 1905–1907.

Krzysztof Skarbiński: Historia życia, pracy i działalności Michała Michalskiego jest znakomitym przykładem rzadkiej w ówczesnym świecie kariery prawdziwego „self-made mana” – czyli człowieka, który bez wsparcia innych, tylko dzięki własnej ciężkiej pracy, dzięki swym zdolnościom i uporowi osiągnął sukces. Człowiek, który w 2. połowie XIX wieku przeszedł samodzielnie długą drogę od czeladnika kowala do najwyższego urzędu samorządowego stolicy ówczesnej Galicji – musiał być nietuzinkową osobowością.

HS: Michał Michalski urodził się we Lwowie 29 września 1846 r. W dorosłe życie wchodził samodzielnie, kształcąc się na kowala. W rodzinie opowiadali anegdotę z czasów, kiedy był już wiceprezydentem. Podczas odsłonięcia pomnika króla Jana III Sobieskiego na koniu w 1898 r., tego, który jest teraz w Gdańsku, Michalski miał stwierdzić, że koń jest źle podkuty. A on się na tym znał, był przecież kowalem. Wiemy, że w 1873 r. był już mistrzem kowalskim i właścicielem warsztatu, z którego powstała w 1879 r. fabryka powozów. Rok wcześniej uzyskał obywatelstwo miasta Lwowa, co otworzyło mu drogę do dalszej kariery. W 1880 r. pierwszy raz został wybrany do Rady Miejskiej, w 1889 roku został wybrany I delegatem Radnych, co było równoznaczne z zastępowaniem wiceprezydenta lub nawet prezydenta. W 1896 roku został wybrany II wiceprezydentem, a w 1899 roku I wiceprezydentem miasta Lwowa. W lipcu 1905 roku wybrano go na Prezydenta Miasta Lwowa. Michał Michalski z żoną Michaliną mieszkali przy ul. św. Michała. Zmarł nagle 13 kwietnia 1907 r. O jego pogrzebie opowiadali, że była to wielka manifestacja. Jest pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim, a jego pomnik wykonał w 1909 r. krakowski artysta, z lwowskimi korzeniami, Tadeusz Błotnicki.

Janusz M. Paluch: Wiemy, że wcześniej był uczestnikiem Powstania Styczniowego. Czy z tego okresu zachowały się jakieś dokumenty?

HS: Rzeczywiście uczestniczył w Powstaniu Styczniowym i kto wie, czy jego późniejsza działalność polityczna na rzecz polskości właśnie w tym akcie patriotyzmu nie ma swych źródeł. W 1863 r. terminował jeszcze w jakichś zakładach kowalskich, które pozostawił i zaciągnął się do oddziału żuawów hr. Wojciecha Komorowskiego. Wiemy, że uczestniczył w znanej bitwie pod Poryciem na Wołyniu, która odbyła się w dniach 2–3 października. Po upadku powstania jego oddział wycofał się na teren Galicji, gdzie trafili na jakiś czas do więzienia. A dokumenty? Chyba tylko napis na nagrobku...

KS: Myślę, że dokumentów jako takich nie ma i pewnie nie było. Przecież to były inne czasy i nikt nie dawał zaświadczenia, że ktoś był w oddziale powstańczym. Poza tym on za to przesiedział się w więzieniu. Natrafiłem natomiast w dokumentach rodzinnych na informację, że już w 1888 r. Michałowi Michalskiemu, wówczas członkowi Rady Miasta Lwowa, pismo z podziękowaniami za wieloletnie wsparcie weteranów przesłało „Towarzystwo wzajemnej pomocy uczestników powstania polskiego z roku 1863/4”, stowarzyszenie gromadzące weteranów powstania styczniowego. Działalność tego typu stowarzyszenia była przez szereg lat zakazana przez Austriaków. Dopiero w 1887 roku, początkowo pod nazwą „Towarzystwo Weteranów 1863/4”, zezwolili oni na działalność stowarzyszenia samopomocy byłych powstańców. A sam Michalski był w czasie powstania styczniowego bardzo młodym człowiekiem. Miał zaledwie 17 lat!

JMP: Fabryka powozów – takie przedsiębiorstwo, jak na tamte czasy musiało być sporym przedsięwzięciem, no i posiadało taki ekskluzywny katalog reklamowy, chyba bardzo modernistyczny jak na tamte czasy? Czy wiadomo gdzie były jej zabudowania?

HS: Raczej gdzie one są, bo kuźnie stoją do dzisiaj, choć częściowo zostały wyburzone. To była mała fabryka przy kamienicy Michalskich, czyli przy ul. św. Michała numer 6–8. Dawniej to był numer 8, a teraz 6–8. Jest to przecznica z ulicy Kościuszki, a ulica Kościuszki to boczna z ulicy Sykstuskiej, na tyłach uniwersytetu. Gdy byłam tam dziesięć lat temu, widziałam tylko ruiny po starych kamieniczkach, a później niemal wszystko było już rozburzone. Do dzisiaj został tylko

duży dziedziniec okolony niewielką, jednopiętrową kamienicą. I to wszystko należało właśnie do Michalskich. Pamiętam, że się wówczas mówiło, że Michalscy mają jedenaście pokoi. To była prawda, ale nie były to jakieś tam salony, jak w pałacu, tylko zwyczajne pokoje jak w kamienicy. Michalscy mieli przecież dużo wnuków. U nich mieszkali też robotnicy, więc musiał to być duży dom. Na parterze, koło bramy, było też osobne wejście. Mówiło się, że to było mieszkanie babki Michalskiej. Niezależnie od tego babka Michalska miała jeszcze drugą kamienicę, przy ulicy Zielonej. Nie pamiętam dokładnie numeru, ale poznałabym tę kamienicę... Tam później mieszkała babka i tam mieszkał jej wnuk Michaś.

AC: Babka Michalska, to znaczy żona Michała Michalskiego?

HS: Tak. Jego żona. A Michaś był pierwszym, najstarszym wnukiem Michała Michalskiego. Był lekarzem. To ten, który najpierw był za granicą, w Armii Andersa. Potem wrócił i mieszkał w Zakopanem. Do końca życia był tam inspektorem sanitarnym i dyrektorem Miejskiej Stacji SanEpid-u.

KS: Ten katalog reklamowy powozów do dzisiaj mógłby posłużyć za wzór dla niejednej agencji reklamowej! Biorąc go do ręki, miło jest stwierdzić, że już wtedy tak porządnie drukowano. Mimo że ta broszura liczy sobie ponad 100 lat, wydrukowana na ekskluzywnym papierze, kolorowo i wyraźnie. Na pierwszej stronie jest informacja, że firma, czyli fabryka powozów M. Michalskiego, została założona w 1871 roku. Inne oryginalne dokumenty, którymi dysponujemy, przedstawiają drogę zawodową Michalskiego, tzn. od etapu czeladnika do uzyskania obywatelstwa miasta Lwowa i do nabycia praw do założenia firmy. Przeglądałem te dokumenty z niemałym zaskoczeniem, ale i z uśmiechem na ustach. Dlaczego? Mimo że oryginały pochodzą z 1850, 1870 i 1890 roku, to dowodzą, że świat wówczas był tak samo zorganizowany jak dzisiaj, a może i lepiej. Nie zdawałem sobie sprawy, że ta cała biurokracja, typu zezwolenia na otwarcie firmy, na przebudowę, osobne na wymianę okien w budynku, już wtedy istniała! Czyli to wszystko, co nas obecnie dotyczy, czy może nawet dręczy, nie jest wymysłem współczesnym. Wszystkie te dokumenty są

przykładem, że ten świat niewiele się zmienił, a my tak naprawdę wciąż żyjemy w realiach Franza Josepha.

JMP: Bardzo ciekawa jest kariera samorządowa, a potem polityczna Michała Michalskiego.

HS: Przez długie lata, jak już wspominałam – od 1880 r., był on radnym miejskim. Praca w radzie i rozwój Lwowa stały się jego prawdziwą pasją. Był bardzo aktywny w komisji techniczno-budowlanej, która zajmowała się sprawami przemysłu i rzemiosła. Bardzo aktywnie też zajmował się zabieganiem o pomoc dla fundacji zajmującej się młodzią rękodzielniczą. A potem był też, od 8 lipca 1889 r., postem Lwowa do Sejmu Krajowego w Wiedniu. Zastąpił jako żarliwy rzecznik interesów przemysłu i rzemiosła nie tylko we Lwowie, ale i w całej Galicji. I nie tylko dbał o to, żeby do producentów lwowskich i galicyjskich trafiały zamówienia rządowe, ale też ubiegał się o zmiany w ordynacji wyborczej, by do Sejmu trafiało

więcej przedstawicieli miast, a nawet walczył o wprowadzenie języka polskiego na kolei i w służbie żandarmerii. Zabiegał też o ustawowe zabezpieczenie robotników i majstrów od starości. Jeszcze jako wiceprezydent przewodniczył komitetowi budowy pomnika na Górze Straceń we Lwowie. Pomnik ten został odsłonięty przez niego, już jako prezydenta. Na jego też wniosek w 1904 r. Sejm Krajowy uchwalił dożywotnią pensję w wysokości 4000 koron dla mieszkającego we Lwowie Władysława Mickiewicza – syna narodowego wieszczka Adama. Te zabiegi trwały podobno dość długo i były dużym problemem, bo Władysław Mickiewicz nie był chyba najsympatyczniejszym człowiekiem i nie miał nieskazitelnej opinii. Podobno wyprzedawał rękopisy ojca.

KS: Natrafiłem na interesujący dokument związany z Kazimierzem Legeżyńskim – bratem zięcia prezydenta Michalskiego, który prowadził zakład introligatorski. Ten dokument to poświadczenie, że on wykonywał oprawę rękopisów Mickiewicza. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, o które rękopisy chodzi, ale jest tam załączona lista.

HS: Nie wiem, ile w tym prawdy, ale Kazimierz Legeżyński był pierwszym introligatorem, który się zajął rękopisami Adama Mickiewicza. Później miano mu zarzucać, że nie było to dobrze zrobione.

KS: W rodzinnych zbiorach posiadamy bilet wizytowy Władysława Mickiewicza. Znajduje się w albumie, w którym oprawiono bilety wizytowe i listy gratulacyjne do Michała Michalskiego z okazji jego wyboru na prezydenta. Wśród osób, które przesłały je, można znaleźć wielu ciekawych ludzi. Pamiętajmy, że wybór Michała Michalskiego na prezydenta miał miejsce w 1905 roku, po jego 25 latach działalności w Radzie Miasta i 16 latach zajmowa-



Michał Michalski jako prezydent Lwowa

nia najwyższych funkcji samorządowych. Był więc znaną i popularną postacią.

AC: W tym albumie znajdują się także bilety wizytowe arcybiskupa Bilczewskiego, profesora Rydygiera, Jana Kasprowicza, biskupa Bandurskiego, Ludwika Sołskiego, namiestnika Pinińskiego, Platona Kosteckiego. I jeszcze Arnolda Vogelfaengera – być może ojca „Tońcia”...

Wśród rodzinnych pamiątek zapewne zachowały się także zdjęcia Michała Michalskiego?

KS: Tak. Ciekawe, że wśród jego zdjęć są także oficjalne fotografie w tradycyjnym stroju polskim.

HS: Zostały one zrobione w czasach, kiedy mieszczaństwo dostało zezwolenie

na noszenie strojów szlacheckich, stąd oni wszyscy na zdjęciach są z karabelami. Michalski był podobno rudym blondynem i miał ufryzowanego na czole charakterystycznego loka. Na zdjęciu tego nie widać. Istnieje natomiast duży portret, pędzla Henryka Batowskiego, naturalnej wielkości, który był już ostatnim malowanym za czasów jego prezydentury. Na tym portrecie jest on bez czapki i widać, że ma na głowie tego „gustownego” loka. Kiedy Michalski zmarł, na portrecie nie było jeszcze rąk i później Batowski domalowywał mu ręce jego zięcia.

JMP: Czy po śmierci Michała Michalskiego ktoś z rodziny poświęcał się pracy na rzecz Lwowa w taki sposób jak on?

KS: Michał Michalski miał córkę Marię, która wyszła za mąż za lekarza Wiktora Legeżyńskiego. I tenże Wiktor też robił karierę w strukturach samorządowych miasta Lwowa. Może to za wielkie słowo, ale we władzach miejskich miał dość wysokie stanowisko, bo był przez długie lata, aż do emerytury, lekarzem czy fizykiem miejskim.

HS: Fizyk miejski to tak jak dzisiaj inspektor sanitarny. W domowej bibliotece są do dzisiaj oprawne tomy sprawozdań rocznych. Można się dowiedzieć z nich, kto, kiedy i na co był badany, kto miał pchły, wszy i na co chorował.

KS: W jednym miejscu tytułują go lekarzem miejskim, w innym fizykiem miejskim. Oczywiście najpierw musiał zostać lekarzem, a potem zdawał odrębny egzamin w Krakowie na fizyka miejskiego. Tę funkcję zaczął sprawować już za prezydentury Michalskiego. Rzeczywiście, posiadamy jego dokumenty, z listą jego publikacji, jako fizyka miejskiego, sprawozdania, artykuły, przygotowane na jakieś kongresy. Tak jak mama mówi, począwszy od wścieklizny, przez to, jak chronić się przed gruźlicą, ilu jest gruźlików we Lwowie, czy powinni zawiierać małżeństwa, czy nie itp. Takimi tematami zajmował się wówczas na co dzień. Przytoczę tu notatkę, jaką sporządził mój tato* na jego temat: *Wiktor Andrzej Legeżyński urodził się we Lwowie 30 listopada 1864 roku. Parafia św. Andrzeja, imiona rodziców: Antoni i Petronela z domu Huczyńska. Zawód ojca – rzemieślnik. Dokładnie mówiąc, znalazłem dokumenty świadczące o tym, że jego ojciec był szewcem albo ra-*

czej miał zakład szewski. Droga edukacyjna Wiktora to: najpierw szkoła podstawowa, czyli seminarium nauczycielskie we Lwowie w latach 1872–1875, potem szkoła średnia, czyli gimnazjum Franciszka Józefa we Lwowie w latach 1875–1883, a następnie szkoła wyższa, czyli Wszechnica w Wiedniu w latach 1884–1890, gdzie uzyskał tytuł doktora wszech nauk lekarskich. Trzy lata później, czyli w 1893 roku, złożył w Krakowie egzamin rządowy, tzw. fizykacki, upoważniający do stałej posady w publicznej służbie zdrowia. Dalej to już jest historią jego pracy, w latach 1890–1895 był to krajowy szpital powszechny we Lwowie. Następnie, od 1895 do 1902 roku pracował jako lekarz miejski, a od 1902 roku to stanowisko nazywało się fizyk Królewskiego Stołecznego Miasta Lwowa. I tę funkcję sprawował do 1927 roku, do czasu przejścia na emeryturę. 32 lata na jednej posadzie! Cała epoka! Ponadto pracował jako lekarz kasy chorych stowarzyszenia murarzy, cieśli i kamieniarzy, a równolegle także jako asesor sądu rozjemczego dla Zakładu Ubezpieczeń Robotników od wypadków dla Galicji i Bukowiny. Był też wykładowcą w Żeńskiej Szkole Wydziałowej im. Królowej Jadwigi we Lwowie, w szkole wydziałowej siostr benedyktynek, w miejskiej szkole przemysłowo-handlowej. Okazyjnie wygłaszał wykłady, prelekcje, prowadził szkolenia. Był członkiem Towarzystwa Gimnastycznego Sokół we Lwowie od 1891 roku, Lwowskiego Towarzystwa Strzeleckiego od 1894 roku i Towarzystwa Lekarzy Galicyjskich od 1897 roku. Brak jest informacji o przebiegu jego służby wojskowej, ale ponieważ podjął pracę zaraz po studiach, to można przypuszczać, że nie służył w wojsku. Opublikował ponad dwadzieścia prac. Z innych zainteresowań mógł się pochwalić dobrą znajomością gry na fortepianie. Brał także udział w pracy amatorskiego zespołu kameralnego muzyki poważnej. Nie mamy informacji, by posiadał jakiekolwiek odznaczenia. Mieszkał przy ul. św. Michała 8 we Lwowie. Zmarł 22 kwietnia 1929 roku. Został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim w grobowcu Michalskiego. Warto też dodać, że jako fizyk miejski pracował później także jego najstarszy syn. Był więc już trzecią osobą w samorządzie. Michał jako prezydent, jego zięć – Wiktor i wnuk – Michał Legeżyński, który urodził się w 1894

roku. Dodam jeszcze, że Wiktor Legeżyński miał siedmioro rodzeństwa, a swoich dzieci dziesięcioro.

JMP: Kto po śmierci Michała Michalskiego przejął fabrykę powozów?

HS: Wszystkim rządziła babka Michalina, czyli żona Michalskiego. Ona wywodziła się z rodziny Krykiewiczów z Zamarstynowa, gdzie mieli duży zakład stolarski. Dwóch jej braci prowadziło ten zakład. W tradycji rodzinnej przekazuje się taką informację, że to oni wyprodukowali stolarkę

dla Collegium Novum w Krakowie, ale nie biorę za

tę informację odpowiedzialności. Babka była bardzo zaradna. Po śmierci męża dalej trudniła się pracą społeczną. To ochronka, to znowu jakieś schronisko dla młodziarzy rękodzielniczej, czyli dzieci rzemieślników, którzy często nie mieli pieniędzy na jedzenie. Wspierała także sierocińce. W Brzuchowicach mieli dość pojemny dom, gdzie obok był duży budynek przedwojennych kolonii letnich. Wiem, że to ona opiekowała się tą kolonią. Istnieją nawet dokumenty, w których babka

zdaje finansowe sprawozdanie prezydentowi miasta, co oznacza, że na działalność musiała dostawać dotacje z urzędu miasta.

KS: A propos Michaliny Michalskiej, w zapiskach mojego ojca znalazłem bardziej szczegółowe informacje, które warto przytoczyć: *Michalina z Krykiewiczów Michalska – urodzona w 1851 roku, zmarła w 1937 roku, żona prezydenta. Wydawane we Lwowie pismo „Wiek Nowy” w listopadzie 1937 roku napisało o niej po jej pogrzebie: „Wraz ze zmarłą, która liczyła 86 lat, zszedł do grobu ostatni typ prawdziwej mieszczanki*

lwowskiej, kobiety, która długo brała czynny i żywy udział w życiu naszego miasta i wychowywała dzieci w duchu patriotycznym, doczekawszy się wnuków i prawnuków. Dom jej i jej męża przy ul. św. Michała 8 był punktem zbornym dla mieszczaństwa lwowskiego. Wczoraj o 14.30 odbył się pogrzeb, który przemienił się w manifestację mieszczan dawnego Lwowa. Oprócz dużego grona rodzinnego przybyły liczne rzesze obywatelstwa lwowskiego z prezydentem – doktorem Ostrowskim i wiceprezydentami Karolem

Irzykiem i Wiktorem Chajesem na czele. Manifestacyjny pogrzeb był zasłużonym hołdem, złożonym pamięci lwowskiej patrycjuszki”.

Wśród informacji zebranych przez ojca, dotyczących udziału Michaliny Michalskiej w życiu miasta Lwowa, można znaleźć:

1. Praca i przekazywanie środków na ufundowanie sztandaru zgromadzenia towarzyszy połączonych korporacji ślusarzy, rusznikarzy, nożowników, kotlarzy, itp., we Lwowie w 1887 roku.

2. *Główny udział w wykonaniu sztandaru stowarzyszenia przemysłowego kowali, konowatów*

i stelmachów. Sztandar ten został poświęcony w 1901 roku przez arcybiskupa Bilczewskiego w kościele ojców Jezuitów. To jest informacja z gazety „Ilustracja Polska” z 1902 roku.

3. Prowadzenie, z polecenia biskupa Bilczewskiego, akcji gromadzenia datków na ufundowanie tronu dla cudownego obrazu Najświętszej Marii Panny Królowej Polski w Katedrze Łacińskiej.

4. Występowanie jako orędownik na rzecz komitetu budowy kościoła św. Elżbiety we Lwowie.



Michał Michalski jako wiceprezydent (stoi pośrodku) wśród członków Zarządu Miasta. Po lewej siedzi ówczesny prezydent Miasta Godzimir Małachowski, poprzednik M. Michalskiego

5. Udział w ścisłym Komitecie Stowarzyszenia św. Józefa dla zorganizowania schroniska dla pracownic zatrudnionych w konfekcji damskiej w latach 1903–1904.

6. *Prowadzenie komitetu pań herbaciarni centowej dla ubogich* – zachowały się rozliczenia.

7. Opieka nad kolonią wakacyjną dla biednych dzieci w Brzuchowicach, która nosiła imię M. Michalskiej.

8. Bezinteresowna praca w tzw. miejskiej kuchni rzemieślniczej, działającej na strzelnicy mieszczańskiej. Kuchnia działała w czasie inwazji rosyjskiej w 1915 roku.

W uznaniu zasług na polu humanitar-
nym w 1908 roku cesarz Franciszek Józef I nadał jej tzw. Order Elżbiety drugiej klasy wraz z dyplomem. W 1919 roku, po odzyskaniu niepodległości, przekazała ten order na skarb państwa polskiego.

HS: Pamiętam jej pogrzeb. Ulica św. Michała była w bardzo złym stanie, tak jak i dzisiaj. Były tam wyboje, kamienie, doły. Przed pogrzebem miasto przysłało piaskarki, które wysypały ulicę piaskiem. Babka Michalska została pochowana w rodzinnym grobowcu obok męża. Wiem, bo byłam na tym pogrzebie.

KS: Wcześniej wspominaliśmy o introli-
gatorze Kazimierzu Legeżyńskim. Znalazłem zapiski mojego ojca na ten temat: *Urodzony 14 września 1869 roku we Lwowie, uczeń szkoły ćwiczeń przy seminarium nauczycielskim, potem Wyższej Szkoły Realnej oraz Miejskiej Szkoły Przemysłowo-Handlowej we Lwowie. W 1887 roku złożył egzamin czeladniczy, a w 1895 roku uzyskał prawo do samoistnego wykonywania introliigatorstwa. Tak się to nazywało, czyli taki dyplom mistrzowski. Założył i prowadził zakład introli-
gatorski we własnej realności, czyli przy ulicy Zimorowicza 16. Stąd wychodziły wysokiej klasy oprawy książek, albumów i inne dokumenty w skórce, płótnie i innym materiale. Kazimierz Legeżyński był również zarządcą introliigatorni zakładów im. Ossolińskich, mężem zaufania Izby Przemysłowo-Handlowej dla zakupu surowców introliigatorskich dla Galicji, asesorem sądu rozjemczego, dyrektorem schroniska matek im. Rutkowskiego, a następnie długoletnim prezesem Wydziału Stowarzyszenia Bratniej Pomocy Rękodziel-
ników i Przemysłowców „Wspólność”. Był członkiem i przełożonym korporacji introli-*

gatorów, a także członkiem i gospodarzem Mieszczańskiego Towarzystwa Strzeleckiego królewskiego miasta Lwowa.

HS: Trzeba zaznaczyć, że Kazimierz Legeżyński i prezydent Michał Michalski na uroczyste okazje chodzili w polskich strojach narodowych. Na co dzień zakładali surdu-
ty. Takie stroje narodowe były kosztowne: z karabelą i pasem słuckim, a na głowie czapka z karakułów z pióropuszem z piór czapli. I na ich portretach u Michalskiego widać ten pas słucki. Stwarza to pozory wielkiego bogactwa, ale tam nie było tego bogactwa, żyło się raczej oszczędnie. Ja do dziś pamiętam, jak babka opowiadała mi, że dziadek często jeździł do Odessy, Wiednia i stamtąd m.in. przywiózł sobie materiał na strój pod kontusz. Ten materiał był tylko na przód stroju, a tył był uszyty już z innego, nie tak drogiego materiału. Prawdziwe i cenne były na pewno pasy słuckie. Babka Michalska pod koniec swojego życia przekazała pas słucki swego męża do Muzeum Historycznego Miasta Lwowa. A warto pamiętać, że to właśnie Michał Michalski w 1898 r. przedstawiał w Sejmie projekt założenia Muzeum Historii Kultury we Lwowie. Gdy byłam po wojnie w tym muzeum, widziałam w pomieszczeniu z pamiątkami po prezydentach lwowskich ten pas słucki. Zapytałam, czy on jest. Oczywiście chciałam usłyszeć, że Michalskiego. Pracownica jednak nie wiedziała. Wtedy we Lwowie żył jeszcze mój stryj Władysław, który szukał na strychu pu-
dła z piórami z czapli, ale nie znalazł.

JMP: Później przychodzi czas wybuchu II wojny światowej w 1939 roku i ekspatriacji po jej zakończeniu. Jak to wyglądało w państwa rodzinie?

HS: Bardzo źle. Dlatego, że te rodziny były już bardzo rozsypane. Jeśli chodzi o rodzinę Michała Michalskiego, to jego córka i zięć już nie żyli. Żyły tylko wnuki Michalskiego. Z tych wnucząt najstarszy był Michał, potem Stanisław, Maria Skarbińska, Wiktor, Tadeusz, Czesław, Stefan i Helena.

KS: Można odpowiedzieć przez przy-
zmat drzewa genealogicznego. Drzewo ma skomplikowaną formę, bo rodzina była duża. Drzewo rodziny Legeżyńskich przygotowywał mój ojciec, uaktualniał dane, ja zaś odpowiednio przerobiłem, przystoso-
wałem do użycia w komputerze, aby dało

się drukować. Drzewo jest kompletne, doprowadzone do początku lat dziewięćdziesiątych. Zaczniemy od góry. Pojawia się tam córka prezydenta Michalskiego, Maria, żona Wiktora Legeżyńskiego. Rodzice Wiktora to Antoni Legeżyński i Petronela Huczyńska. Antoni urodził się w 1838 roku w Żurawnie. W 1862 r. uzyskał obywatelstwo miasta Lwowa jako *przemysłowiec profesyi szewskiej*. Co do przodków Antoniego, to niewiele wiemy, tylko imiona rodziców: Józef i Maria Kozłowska. Natomiast rodzeństwo Wiktora to były zmarłe małe dzieci, potem Kazimierz, o którym mówiliśmy. Wiktor miał dziesięcioro dzieci, i znowu dwoje zmarłych. Michał Legeżyński, wspomniany też już wcześniej, był lekarzem miejskim Lwowa w latach 1931–39. Zmobilizowany w 1939 r., przedostał się poprzez Węgry, Jugosławię i Turcję do Palestyny, gdzie w 1941 wstąpił do Armii Polskiej. Jako lekarz, służbę odbywał kolejno w Palestynie, Egipcie, Iraku, Iranie, Włoszech i Anglii. Po wojnie osiadł w Zakopanem, gdzie zmarł w 1969 r. Drugim pod względem wieku był późniejszy profesor Stanisław Legeżyński. Ukończył studia przed wojną. Był mikrobiologiem. Chyba od 1937 roku mieszkał w Wilnie i był profesorem na Uniwersytecie im. Stefana Batorego. W Wilnie przetrwał wojnę w bardzo ciężkich warunkach. Zachowały się jego dokumenty. Wiemy, że „repatriował się” w 1946 roku. I to on przywiózł większość tych rodzinnych mebli, na których teraz siedzimy. Zmarł w Rabce w 1970 roku. Pochowany został w Zakopanem, razem z Michałem. Kolejna – to Maria, która wyszła za Władysława Skarbińskiego, czyli moja babcia. Mieszkała po wojnie przy ulicy Syrokomli w Krakowie, a ostatnie lata trochę w Warszawie, u córki Marii. Jej kolejne losy były niewiele związane ze Lwowem. Urodziła się w 1897 roku, więc po I wojnie światowej była już dorosła. W 1919 roku pobrali się z Władysławem Skarbińskim. On był nauczycielem gimnazjalnym i przenieśli się razem do Poznania.

AC: Czyli tam, gdzie wtedy było mało inteligencji polskiej

KS: Tak. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości było tam bardzo mało polskiej inteligencji. Babcia mi opowiadała, że tacy ludzie jak dziadek byli wówczas w Polsce bardzo poszukiwani. Władysław Skarbiński

trafił do znanego Liceum im. Marcinkowskiego, które istnieje do dziś. Początkowo dziadek był jedynym Polakiem wśród nauczycieli. Reszta nauczycieli to byli Niemcy, którzy też przecież tam żyli i wykładali. Potem przyjechał drugi Polak, Jan Aleksandrowicz, nauczyciel matematyki, i przez długie lata było ich tylko dwóch w tym najlepszym poznańskim gimnazjum. Dziadkowie mieszkali tam do lutego 1939 roku. Potem przenieśli się do Warszawy, bo dziadek dostał pracę w ówczesnym ministerstwie szkolnictwa. Potem była wojna i Powstanie Warszawskie, a po powstaniu przyjechali do Krakowa.

JMP: Czy Władysław brał udział w Powstaniu Warszawskim?

KS: Nie. Dziadek miał już wtedy ponad 50 lat. Poza tym od urodzenia był inwalidą. Ale ich dzieci uczestniczyły w powstaniu, szczególnie mój ojciec Stanisław i jego brat Adam. Takie były losy rodziny ze Lwowa, która szukała swojego miejsca w życiu. I taki był los wielu innych rodzin.

JMP: To jakim cudem pana tato urodził się we Lwowie?

KS: To było tak, że w Poznaniu mieszkało się wówczas jak na nie swojej ziemi. Dziadkowie pojechali jakby do innego kraju, gdzie mało mówiło się po polsku. Nie było wtedy telewizji, nie za bardzo dostępne było radio. Babka miała swoje korzenie i całą rodzinę we Lwowie – rodziców, braci. Dlatego, być może, przyjechała do Lwowa, żeby tam urodzić dziecko. U siebie.

JMP: Ale pan Adam i pani Maria, rodzeństwo pana ojca, są urodzeni w Poznaniu?

KS: Tak. Ja tego tak dokładnie nie wiem od babci, ale po prostu chyba były to dla nich ciężkie czasy. Biedny kraj, państwowa posada, może jakieś kłopoty.

AC: Brat pana ojca, Adam Skarbiński, zamieszkał po wojnie w Bielsku.

KS: Tak, po Powstaniu Warszawskim koniec wojny zastał Adama w Niemczech, podobnie jak mojego ojca. Pozostali tam jeszcze z rok czy dwa, potem wrócili i w niedługim czasie podjęli studia. Adam studiował konstrukcje lotnicze i znalazł pracę w Wytwórni Szybowców w Bielsku-Białej. Tam mieszkali z żoną, tam urodził im się syn.

Potem przenieśli się do Krościenka, skąd pochodzi jego żona, i tam mieszkają do dzisiaj. Adam Skarbiński od wielu lat pasjonuje się historią szybownictwa na Podkarpaciu, jest autorem książek gromadzących wiedzę z tej dziedziny**.

JMP: Wróćmy do drzewa genealogicznego...

KS: Kolejnym dzieckiem Wiktora Legeżyńskiego jest Wiktor Legeżyński, który był inżynierem, wykształconym jeszcze przed wojną. Wojnę spędził we Lwowie, a potem wraz z całym zespołem Politechniki Lwowskiej przeniósł się do Gliwic, gdzie organizowali Politechnikę Śląską, a następnie został jej wykładowcą. Jest autorem podręczników z zakresu fizyki. Zginął w wypadku samochodowym

w roku 1964. Tadeusz, o którym mama opowiadała, że ukończył korpus kadetów, był wojskowym, już w czasie wojny trafił do Anglii. Był jednym z dwustu osób, którym państwo polskie odebrało upraw-

nienia paszportowe tuż po wojnie. O tej sprawie niewiele wiem, ale faktem jest, że został w Anglii i tam zmarł. Parę razy był jednak w Polsce, ale w latach 70. Kolejnym z rodzeństwa był Czesław. Był ochotnikiem Kompanii Czerwonych Koszowników broniących Gdyni we wrześniu 1939 r., zmarł we Lwowie w czasie wojny. Stefan po zmobilizowaniu przez Rosjan prawdopodobnie zginął pod Stalingradem. I ostatnia – Helena, która ukończyła szkołę w Snopkowie. W 1939 roku, w kwietniu, wzięła ślub z Kazimierzem Olszewskim***. Było to w Warszawie. Przyjęcie było w domu moich dziadków, bo akurat przenieśli się do Warszawy. Zachowały się zdjęcia z tej uroczystości. Kazimierz był lekarzem, ale związany był z wojskiem. W czasie wojny, już w 1939 roku, trafił przez Rumunię do Anglii. Helena trafiła na Węgry, gdzie ukończyła studia germanistyczne. Po wojnie dotarła do Anglii. On pracował przy wojsku jako lekarz. Helena uczyła języka niemieckiego w szkole.

KS: A teraz inna historia – o dzieciach Kazimierza Legeżyńskiego, bo to inne drzewo genealogiczne. Było ośmioro dzieci, z których dwoje zmarło jako noworodki. Po kolei: Zygmunt – najstarszy, urodzony w 1896 r., kapitan rezerwy Polskich Wojsk Lotniczych. Był m.in. zawiadowcą Stacji Lotniczej we Lwowie, zginął tragicznie w 1928 r. Jego dzieci to moja mama Helena i jej brat Marian. Marian Legeżyński ukończył w 1939 r. Korpus Kadetów nr 1 we Lwowie, w czasie okupacji niemieckiej przedarł się ze Lwowa poprzez Jugosławię do II Korpusu Armii Polskiej we Włoszech. Miesiące spędzone w oddziale partyzanckim w Jugosławii były dla niego wspomnieniem, do którego bardzo niechętnie powracał. Zmarł w Skawinie w 1998 r. Drugi po Zygmuncie był Tadeusz,

który zmarł jako dziecko. A potem Józef Legeżyński.

HS: Ten, który po ojcu, Kazimierz Legeżyńskim, przejął introligatnię.

KS: Tak. I z tego utrzymywał rodzinę. W czasie I wojny światowej był zmobilizowany

do wojsk austriackich, brał udział w walkach na froncie włoskim. Po wojnie ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Był dobrym gospodarzem, rozbudował zakład introligatorski. II wojna to przerwała. Wojnę wuj przeżył we Lwowie, moja mama przy nim. Przyjechali transportami do Krakowa w 1944 roku, jeszcze przed Rosjanami. Tutaj wuj znów otworzył zakład introligatorski przy ul. św. Tomasza. Po wojnie on też mieszkał przy ul. Syrokomli, tam gdzie moja babcia Maria Skarbińska. Józef Legeżyński i jego żona byli bezdzietni. Kolejne dziecko Kazimierza – Janina w 1931 roku wyszła za mąż za Wacława Szostakowskiego, ziemianina, właściciela Leszczyna i zarządcę gospodarstw. Do wybuchu wojny mieszkali w jego majątku w Leszczynie koło Bóbrki, a po wojnie trafili do Rzeszowa, gdzie do dziś mieszka ich córka Alina. Tylko Władysław, jako jedyny z rodzeństwa, pozostał aż do śmierci w 1988 r. we Lwowie. Po wojnie ożenił się



z Janiną Kozłowską. W 1948 r. urodziła im się córka – Krystyna. Tak się złożyło, że matka i córka ostatnim transportem repatriacyjnym zabrały się na stronę polską i obie zamieszkały we Wrocławiu, a on spóźnił się na ten ostatni pociąg i pozostał we Lwowie. Adam i Kazimierz uczestniczyli w wojnie obronnej, przedostali się do Francji do wojska polskiego i tam trafili do niewoli niemieckiej w 1940 roku. Wojnę spędzili w Stalagu VIIa, a po wojnie trafili do Londynu, a następnie do RPA. Obaj już nie żyją.

JMP: Widzę, że Pański ojciec nie tylko gromadził dokumentację rodzinną, ale i opracowywał ją. Pan doskonale się w tym materiale porusza. Czy to oznacza, że na Pana spadło podtrzymywanie tradycji rodzinnych?

KS: Faktem jest, że z tych dwóch drzew genealogicznych, potomków Wiktora i Kazimierza, większość stanowili kawalerowie. Inni albo zginęli, albo były to małżeństwa bezdzietne. I praktycznie z potomków zostałem ja, moja siostra Małgorzata Drużyńska-Olesińska, która w pewnym sensie konty-

przodkach i przyjechały z nimi ze Lwowa i z Wilna. Sprawy związane z naszą historią były jednym z hobby mojego ojca. Inne pola jego aktywności to działalność społeczna, wieloletnia prezesura Chóru Cecylińskiego w Krakowie, działalność w Towarzystwie Miłośników Książki i Towarzystwie Miłośników Lwowa, członkostwo w Zakonie Bibliofilskim i in.

HS: Gdyby żył, to zapewne nadal by się zajmował dziejami rodziny.

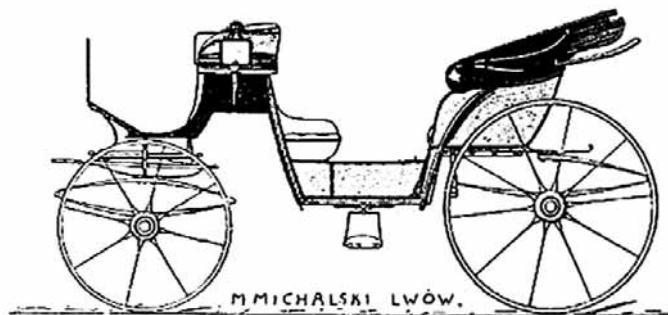
AC i JMP: Serdecznie dziękujemy Państwu za rozmowę.

* Stanisław Skarbiński, szerzej o nim na końcu tekstu.

** Adam Skarbiński pisał o tym także na łamach „Cracovia–Leopolis”.

*** Kazimierz Olszewski w pierwszym małżeństwie z Nosowiczówną (córką ministra komunikacji w II RP) miał syna Andrzeja, po latach profesora AP w Krakowie, członka Rady Redakcyjnej CL w latach 1990.

Rysunek z katalogu reklamowego firmy Michała Michalskiego



Faeton półkryty z drzwiczkami.

nuje tradycje rodzinne, zawodowo zajmując się edukacją młodzieży oraz wspieraniem rozwoju naszych samorządów gminnych, oraz syn brata mojej matki – Antoni Legeżyński mieszkający w Krakowie, a także kuzyn Stefan Skarbiński – syn brata mojego ojca, który od dwudziestu lat mieszka we Francji. On się sprawami rodziny trochę interesuje, ale jest daleko. Największą pracę wykonał mój ojciec Stanisław Skarbiński, który pozbiierał i uporządkował dokumenty, pamiątki rodzinne, które pozostały po

HELENA SKARBIŃSKA z d. Legeżyńska, ur. 1924 we Lwowie. Zamieszkała we Lwowie do 1944, potem – do dziś – w Krakowie. Absolwentka studiów chemicznych UJ. Wieloletnia członkini Towarzystwa Miłośników Lwowa i KPW oraz TG „Sokół”. Wdowa po Stanisławie Skarbińskim.

KRZYSZTOF SKARBIŃSKI, ur. 1954 w Krakowie, Absolwent AGH w Krakowie, specjalista w dziedzinie przetwórstwa szkła, przewodniczący Komitetu Technicznego ds. Szkła Polskiego Komitetu Normalizacyjnego.

Tadeusz Krzyżewski

HUMOR LUDZI ŻYCZLIWYCH

W ubiegłym roku minęło 75 lat od powstania niezapomnianej audycji „Na Wesolej Lwowskiej Fali”

Najstarsi pamiętają jeszcze, a młodszym godzi się przypomnieć, że w październiku 1932 roku rozpoczęła swe występy na antenie radiowej Wesola Lwowska Fala. Stała się ona w ciągu kilku lat działalności przedwojennej prawdziwą szkołą humoru; jej wykonawcy wyszli poza ramy rozgłośni radiowej, a gdy w okresie wojny wesolofalownicy znaleźli się w szeregach wojska na zachodzie, występując w ramach Teatryku Wojska Polskiego – utrwalili na fali serc i uczuć Polaków w całym świecie sławę polskiego humoru.

Związane z tą audycją nazwiska słynnych batiarów lwowskich – Szczepka i Tońka, „radcy” Strońcia, Babciocha, ciotki Bańdziuchowej, oraz nieprzebrane mnóstwo piosenek, dowcipów, dialogów gwarowych nacechowanych swą filozofią, atmosferą dobroduszej kpiny i pełnego życzliwości humoru obywateli – życzliwych bliźniemu, swemu krajowi, a szczególnie miastu, gdzie zgodnie ze słowami piosenki *...bogacz i dziad są za pan brat i każdy ma uśmiech na twarzy...*

Audycji tej patronował wytrawny fachowiec radiowy – dyrektor Juliusz Petry. Jej program był złożony ze skeczów pisanych co tydzień na gorąco przez Wiktora Budzyńskiego, z dialogów gwarowych Szczepka i Tońka, z monologów pana radcy Strońcia, a następnie z rozmówek dwu sceptycznych Żydów – panów Aprikozenkranca i Untenbauma, oraz z piosenek licznych wykonawców, reprezentujących folklor lwowski (szczególnie Włada Majewska). W zespole figurował m.in. autentyczny rzeźnik, muzyk-amator Ignacy Dąb, specjalista od gry na ustnej harmonijce i od podmiejskich piosenek ludowych. Z zespołem Wesolej Fali współpracował także sędeczanin Józef Wieszczyk – radiowy Babcioch, świetny naśladowca głosów zwierząt oraz gwary nowosądeckiej.

Pan Stroń, czyli Wilhelm Korabiowski – piastujący wysoki urząd woźnego

magistrackiego – sam pisywał swoje monologi i sam je wykonywał. Czasem tylko nawiązywał kontakt ze swym synkiem Marcelkiem, który nieśmiałym głosikiem wtrącał kilka słów do rozważań ojczulka. Szczepko Migacz i Tońko Tytyłyta – w „cywilu” Kazimierz Wajda i Henryk Vogelfanger – to osobny rozdział polskiego humoru radiowego. Swoje dialogi tworzyli wspólnie i wygłaszali je gwarowym „batakiem” lwowskim. Zaczynali swe rozmówki od tradycyjnego powitania: *Serwus Szczepciu, ta co ty taki cienty na mni?...*, albo: *Serwus Tońko, dobrze ży ja ciebie zdybał...* i już od pierwszych zdań tworzyli ową aurę wesoloci oraz naiwnego cwaniactwa, tak lubianego przez rzesze radiosłuchaczy w całej Polsce, które też szybko zakochały się w parze radiowych batiarów.

Nie było takiej rzeczy, której by Szczepko i Tońko nie potrafili rozgryźć z właściwym sobie humorem, opartym na zdrowym, urodowym rozsądku. Mówili o zabawach i uroczystościach, o patriotyzmie i burzliwych dziejach rodzinnego miasta. Batakali przed mikrofonem o karnawale, rozprawiali o miłości i pisaniu listów, uczyli po swojemu historii Polski – jeszcze przed warszawskim Wiechem i na pewno z niegorszym od niego wynikiem. Mówili o obowiązkach obywatelskich i o dobrym wychowaniu, którego zasady jeszcze i dzisiaj obowiązują. Ich dialogi są zbyt znane czytelnikom aby je szerzej omawiać.

W przeciwieństwie do tej pary, „radca” Stroń, darzony przez słuchaczy równie gorącą sympatią jak Tońko i Szczepko – patrzył na sprawy tego świata z nieco innego punktu widzenia. Oni – te batiary, zwyczajnie „hołdrygi”, szukające zarobku gdzie się dało, on – osoba urzędowa, „fasująca” pensję na pierwszego. Tamci kłócili się z młodzieńczą zapalczywością, „wychodzili z nerw”, on rozprawiał z niezmaconym spokojem. Mówił żargonem urzędowym, w którym rozmaite ucieszne zwroty, zaczerpnięte ze słownika

c.k. austriackich urzędników, zalatujące dawnymi „sztajerałkami” i „landszturmem”, sięgające do domorosłych debat politycznych przy bombie piwa i kwarglach w handełku u Icka Spucha.

Nieszkodliwy bibosz, hołdujący starej zasadzie *lubię małe piwko, piwko lubi mnie*, rozgrzeszał się Strońc z swego niewinnego nałogu pozorami dydaktycznymi i kierował do swego synka przysłowiowe już powiedzonko: *Marcelku, jeśli będziesz grzeczny, to tato pójdzie się napić piwa*.

Ta trójka uzupełniała się świetnie w recepcji radiowych słuchaczy. Po kilku latach słuchania tej trójki, można zaryzykować stwierdzenie, że połowa słuchaczy mówiła bałakiem Szczepka i Tońka, a druga połowa stylem Strońcia. Dzięki nim odżył folk-

lor lwowski, wyszedł poza rogatki miejskie, trafił do filmów „Będzie lepiej” oraz „Włóczęgi”, wyświetlanych do dziś na naszych niektórych ekranach, wraz z refrenem *My dwaj oba cwaj nie mamy nic, a mamy raj* – dotarł wszędzie, gdzie słuchano polskich audycji.

Uczestnicy tej audycji dali do września 1939 roku 187 występów radiowych i ponad 200 przedstawień teatralnych, a Wesoła Fala stała się pierwszą polską akademią radiowego humoru.

Niezawodność cotygodniowej porcji humoru, ciągłość tej radiowej wytwórni wesołości, przez szereg lat sprawiały, że Wesoła Fala stała się prawdziwą instytucją humoru i dzięki niej kwestia humoru była w Polsce przedwojennej rozwiązana nienajgorzej.

Krzysztof Bulzacki

OSTATNIE SPOTKANIE Z TOŃKIEM

Ktoregoś ranka na przełomie czerwca i lipca 1991 roku przyjechałem do Warszawy coś załatwić. Uwinąłem się szybko i niewiele się namyślając wsiałem do autobusu i pojechałem niezapowiedziany do Jurka Janickiego na Zelwerowicza 36. Znałem go jeszcze ze Lwowa, byliśmy prawie sąsiadami. On mieszkał naprzeciw ulicy Krupiarskiej, na której mieszkał swego czasu Tońko, parę domów od Piotra i Pawła (tak się we Lwowie mówiło, chociaż były to dwie ulice) po prawej stronie ulicy Łyczakowskiej, a ja po drugiej stronie, na Rewakowicza 17, równoległe do Krupiarskiej. Jurek miał zawsze starannie wyprasowane spodnie, był w starszej o dwa

lata klasie, ale chodziliśmy do tych samych szkół, ostatnio na Ochronek.

W Warszawie byliśmy poniekąd spowinowaceni, Justyna, wnuczka mojej ciotecznej siostry mó-

wiła do Jurka wuju. Jurek był mężem jej rodzonej ciotki.

Miałem szczęście, Jurek właśnie wyjeżdżał. Powiedział mi: Bardzo cię przepraszam, ale muszę jechać. Jadę do Tońka, muszę mu zawieźć kiełbasę i jeszcze coś tam... Jak chcesz poznać Tońka, to jedź ze mną.

Durne gadanie! Kto by nie chciał poznać Tońka.

Po drodze opowiadał mi ile kłopotów ma z Tońkiem. Tońkiem opiekował się Janusz Budzyński (syn Hilarego Proszka z Radia „Wolna Europa” – Wiktora Budzyńskiego), który tak młodo zmarł i teraz Jurek musi zajmować się Tońkiem. Tońko lubi przebywać w szpitalu i często tam bywa, mimo bardzo dobrych warunków w domu dla wybrańców na Woli.

Zwróć uwagę na koszulę i sweterki Tońka w filmie „Legenda batiara” – powiedział Jurek. Ten film godzinny kręciliśmy dwa tygodnie. Trudno było zmusić Tońka do wyężonej pracy.

Jurek zapukał do drzwi. Tońko zapytał – kto tam – to ja, Jurek. Drzwi się otworzyły. Przyprowadziłem ci tu jednego batiara. Przywitałem się z Tońkiem.

Apartament Tońka składał się z pokoju, kuchenki, łazienki i przedpokoju. Parkiet lśnił czystością.

Tońko zaczął się skarżyć do Jurka: Wróciłem ze szpitala i nic nie mogę znaleźć, idź

Jerzy Duda

O BIŁCE SZLACHECKIEJ I BIŁCZANACH

Poniżej przedstawiamy streszczenie zapisu wspomnień Michała Fiałkowskiego rodem z Biłki Szlacheckiej koło Lwowa, zawartego w książce M.J. Szczepańskiej – książkę tę notujemy w dziele „Nowe Książki” w tym numerze CL.

Dzieje sławnej podlwowskiej wsi Biłki Szlacheckiej sięgają początków XV wieku: utworzenie tam sołtysostwa miało miejsce przed 1454 rokiem¹. Była to wieś – jak wskazuje zresztą jej nazwa – typowo szlachecka, pierwszym jej właścicielem był ród Włodków herbu Sulima, ostatnimi mieszkańcami rozłożonego na wzniesieniu górującym nad wsią pałacu byli Sapiehowie. Opuścili oni Biłkę już we wrześniu 1939 roku.

Szczególna sława Biłki Szlacheckiej związana jest z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, został on uroczystie w dniu 1 maja 1994 roku ukoronowany w Grodźcu przez Prymasa Polski ks. Józefa Glempa, stając się od tego czasu Matką Boską Sybiraków. Odpowiadając na pytanie *dlaczego Matka Boska Sybiraków?* proboszcz parafii w podopolskim Grodźcu – gdzie od 1961 roku obraz się znajduje – prałat ks. Edmund Cisak napisał: *...W dniu 10 lutego 1940 roku*

nastąpiła deportacja na Sybir wielu Polaków z parafii biłeckiej... Zesłańcom towarzyszył duchowo i w modlitwach obraz Matki Boskiej Biłeckiej. Była Ona dla nich obroną i oparciem w czasie gehenny zesłańczej, gwarancją przeżycia i nadzieją powrotu na ojczyznę łono...². Obraz ten został zdjęty z ołtarza w Biłce w dniu 10 maja 1945 roku i wraz z mieszkańcami i proboszczem ks. Wincentym Urbanem na czele – późniejszym biskupem wrocławskim – przywędrował na ziemię zachodnie. Biłczanie osiedlili się na Opolszczyźnie, m.in. w Ligocie Tułowickiej koło Niemodlina³. I do tej też miejscowości trafił wraz z rodzicami autor wspomnień Michał Fiałkowski.

Urodził się, zgodnie z oficjalnym dokumentem, 29 IX 1929 r. w Biłce Szlacheckiej, ale faktyczna data urodzenia jest dziś praktycznie nie do odtworzenia. To kresowe życie zmuszało do „przekrętów” w tym zakresie, bo często dla uchronienia się przed wywózką czy też poborem do wojska, zwłaszcza chłopców „odmładzano”. W przypadku pana Michała jest to tym bardziej prawdopodobne, że już w latach 1938–39 trafił do przygotowującej do stanu duchownego szkoły przy klasztorze oo. Pijarów pod wezwaniem św. Antoniego we Lwowie, a w 1939 roku, po wejściu sowietów szkołę rozwiązano. Autor powrócił do rodzinnej miejscowości.

Wspomnienia Michała Fiałkowskiego nie są kroniką, to raczej refleksja nad światem który przeminął, refleksja zaprawiona no-

► po Baškę, niech ona tu przyjdzie i zrobi porządek; gdzieś mi zginęły żółte meszty. Tu odsłonił kotarę, za którą na podłodze krył się dwumetrowy rząd półbucików czarnych i brązowych, ale żółtych nie było.

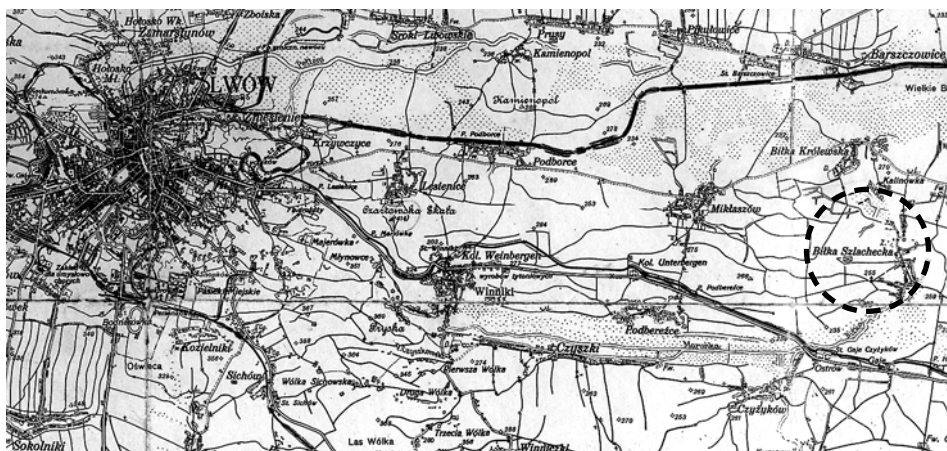
Jurek poszedł po Baškę, zostałem sam z Tońkiem. Tońko chodził po pokoju zafrasowany brakiem swoich ulubionych półbucików, a ja mówię do niego: Panie Tońku, pan mówi, że ktoś panu zasmytrał te żółte meszty, a mnie się wydaje, że to nie tak. Ktoś zobaczył te żółte buciki, i pomyślał sobie, że weźmie je na pamiątkę. Kiedy pana nie będzie już na świecie, a u niego będą goście, on wyciągnie te meszty, położy na stół i powie: „Popatrzcie ludzie, to są meszty Tońka. Na pewno ktoś sy wziął na pamiątkę!

Tońko chodzi po pokoju, uśmiecha się pod nosem, przystanął i mówi: Powiada pan, że ktoś sobie wziął na pamiątkę? I było widać, że się ucieszył.

Po chwili wrócił Jurek i potoczyła się rozmowa na tematy bieżące. Jurek wyciągnął beret Tońka, pokazał mi i powiedział: Tę gwiazdkę gen. Maczek odpiął od swego munduru i przypiął Tońkowi.

Ten beret wziął sobie na pamiątkę Jurek Janicki.

Myślałem, że jeszcze niejedyn raz będę miał okazję zobaczyć Tońka, nie przyszło mi na myśl, że to są jego ostatnie miesiące. Nie ma już wśród nas Jurka. Coraz mniej nas na świecie, ale pozostało to, co każdy z nas tak gorąco kochał.



▶ stalgią i smutkiem, bo tamten czarodziejski świat już nigdy nie powróci. Tylko tam, na Kresach, przygotowania do Wigilii Bozego Narodzenia tak wyglądały: *...Już długo przed Świętami w domach instalowano „stępy”, urządzenia do tuszczenia pszenicy z delikatnej tuski, aby ziarno było całe... Izba wigilijna przybierała szczególnie wygląd. W kątach pomieszczenia stawiano сноpy z owsa, pszenicy i żyta. Stół przykrywano białym jak śnieg obrusem, pod nim układano siano z ostatniego pokosu...*

Niezwykle cennym dokumentem zawartym w publikacji jest *Spis ludności Błki Szlacheckiej do 1945 roku*, obejmuje on 498 nazwisk. Jest to oczywiście lista niekompletna, bo miejscowość posiadała pięćset „numerów gospodarstw rolnych” rozciągniętych na kilku kilometrach, od Pęcakówki na południu po Werbnik na północy, mieszkało tu prawie pięć tysięcy mieszkańców, a w ostatnich latach wojennych zgromadziło się tu dziesięć tysięcy ludzi, szukających schronienia przed okrucieństwami ukraińskich rizinów. Zmieniał się okupanci, lecz ich stosunek do mieszkańców był niezmienny, jednakowo okrutny i wrogi, wywozy na Sybir lub do obozów pracy w Niemczech, grasujące bandy, życie ludzkie było codziennie zagrożone. Do tego trzeba dodać z roku na rok pogarszające się warunki codziennego bytowania. Mimo tego, w 1941 roku we wsi powstał oddział Armii Krajowej „Dalia”, został on utworzony głównie z myślą o obronie ludności przed napadami siejących mord i pożogę Upowców. Powołano do życia czternaście strażnic, pełniono w nich całodobowe dyżury, to pozwalało na natychmiastowe działanie w przypadku zagrożenia. Kiedy w lipcu 1944 r. do wsi ponownie wkroczyli so-

wieci, natychmiast aresztowali 25 żołnierzy akowców, wśród nich Franciszka i Michała Fiałkowskich. Autorowi udało się zbiec z transportu, ojciec Franciszek spędził cztery lata na niewolniczej pracy w kopalniach Donbasu. Poszukiwanego przez NKWD Michała uchronił ks. Wincenty Urban: *...Moja matka poszła do księdza, proboszcza parafii św. Wojciecha, który ratując mnie, wydał jej moją nową metrykę, w której odjęto mi dwa lata. W ten sposób udało się matce zarejestrować mnie na wyjazd...*

Dalsze dzieje Michała Fiałkowskiego, tu na Śląsku Opolskim, związane były z pracą zawodową, początkowo w zakładach mechanicznych, a od 1963 r., aż do przejścia na emeryturę w Warsztatach Szkolnych Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 w Strzelcach Opolskich. Ludzie, którzy po zakończeniu działań wojennych znaleźli się na Opolszczyźnie pochodzili z różnych stron, tak było również w gronie pedagogicznym Zespołu: *...Julian Szyszka to Kresowiak jak ja, Stanisław Rajski – górą, Izidor Pyka – rodowity Ślązak...*, oni kształtowali oblicze miejscowej społeczności, nadając mu nowe wartości będące wypadkową kultur, obyczajów, które przynieśli z tak odległych od siebie regionów Polski, i te piękne wartości przekazywali kolejnym pokoleniom swoich wychowanków. A Michał Fiałkowski, niezależnie od wzorowego spełniania powinności zawodowych brał aktywny udział w życiu swojego miasta, w latach osiemdziesiątych budował struktury Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, przez dwie kadencje przewodniczył Radzie Miasta, a po przejściu na emeryturę oddał się swoim ulubionym zajęciom: jest niezrównanym mistrzem hafciarstwa, jego dziełem ▶

o. Marcin Karaś CSsR

KAPŁAŃSKA PRACA WE LWOWIE

Fragment ustępu „U św. Marii Magdaleny” z rozdziału pt. „Kapłańska praca we Lwowie 5.05.1949–12.08.1950”, zawartego w książce o. Marcina Karasia, redemptorysty, o której mowa w dziale „Nowe książki”. Chodzi nam tu głównie o czcigodną, lecz zapomnianą (niestety) postać pana Adama Głażewskiego.

Od 5 maja 1949 r. i ja zacząłem pracować jako kapłan we Lwowie, w kościele św. Marii Magdaleny. Kościół wielki, wspaniały. Szczególną jego ozdobą był wielki ołtarz.

Wielką w tym zasługa ks. Hieronima Kwiatkowskiego, który pracował w kościele św. Antoniego na Łyczakowie. On tę sprawę omówił z wyznaniowym wojewódzkim, który wyraził zgodę. Ten właśnie ksiądz wprowadził mnie do kościoła św. Marii Magdaleny, choć tam był kapłan, ks. podpułkownik Zygmunt Truszkowski. Przyszedł razem ze mną do kościoła do ks. Truszkowskiego i wprost mu powiedział: księżę pułkowniku, to jest wygnany z klasztoru ojciec redemptorysta, nigdzie nie pracuje, a u nas we Lwowie taki brak kapłanów i on tu, od dzisiaj będzie z ks. pułkownikiem współpracował. Taka jest też decyzja księży z katedry i zgoda na to

wyznaniowego. Ks. pułkownik wysłuchał tego „mianowania mnie” jego pomocnikiem z miną marsową. Siedział na fotelu – w zakrystii się to odbywało – jak gład marmuru, ani drgnął, ani okiem nie mrugnął. Ks. Kwiatkowski dodał jeszcze – proszę uzgodnić ze sobą rodzaj pracy – co, kiedy, jak – to już wasza sprawa. Pożegnał się z księdzem rektorem kościoła oraz ze mną i wyszedł.

Ks. Truszkowski odniósł się wtedy do mnie, nie bardzo życzliwie. Powiedział mi wprost: może sobie ojciec tu Mszę św. odprawiać rano, przed moją Mszą św. lub po, a poza tym żadnych zmian w kościele nie może być. Odpowiedziałem: dziękuję! W kościele rządzi ks. pułkownik i ja się zastosuję do wszystkiego.

Jak wyglądała praca w tym kościele? Poza Mszą św. nie było żadnych nabożeństw, nie było kazań. Śluby i chrzty odbywały się, pogrzebów nie było. Nabożeństwa majowe, czerwcowe, różańcowe ludzie sami odprawiali. Zbierała się grupka osób, śpiewała, modliła się. Ale to było kilkanaście, czasem kilkadziesiąt osób. Z tego terenu na takie nabożeństwa szli wszyscy do katedry, która wówczas zapełniała się wiernymi.

W sprawach tego kościoła, św. Marii Magdaleny, główny głos miał p. Adam Głażewski, ziemianin z Zaleszczyk*. Musiał stamtąd uciekać. Sowietci zabrali mu dom, wygnali go z 80 kopiejkami (dosłownie!) w kieszeni. Jakoś dotarł, o uźbrany chleb, do Lwowa i tu przygarnęła go polska rodzina. Człowiek bardzo pobożny, głęboko duchowo wyrobiony, wielki czciciel św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Był prezesem Komitetu kościoła św. Marii Magdaleny i odpowiadał za kościół, bo u sowietów Komitet rządził kościołem lokalnym. To tak niby w teorii było, bo w rzeczywistości inaczej do tej sprawy podchodzili...

Więc co się takiego zmieniło po moim przyjeździe do kościoła św. Marii Magdaleny?

Właśnie pan Głażewski, parę dni po moim zapoczątkowaniu odprawiania Mszy św. w kościele, po rannej Mszy ks. Truszkowskiego przyszedł do zakrystii, bardzo grzecznie się z nim przywitał i w mojej obecności wprost do niego powiedział: księżę pułkowniku, mamy młodego kapłana w kościele i ludzie dopominają się, by codziennie odprawiał nabożeństwa majowe. Po co mają

- są przepiękne haftowane obrazy, ornaty, sztandary, podziwiane nie tylko w naszym kraju. Niestrudzenie też dzień po dniu odnotowuje w swoim dzienniku wydarzenia jakie wokół mają miejsce i być może już wkrótce doczekamy się kolejnego, równie ciekawego tomu wspomnień Michała Fiałkowskiego.

¹ Ks. bp. Wincenty Urban: *Parafia pod wezwaniem św. Wojciecha w Bilce Szlacheckiej Archidiecezji Lwowskiej*. Rzym 1982.

² Ks. Edmund Cisek: *Sanktuarium Maryjne w Grodźcu*. Grodziec 1994.

³ Tadeusz Kukiz: *Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w Diecezji Opolskiej*. Wrocław 1998.

chodzić na nie aż do katedry, skoro teraz i w naszym kościele mogą się takie odprawiać? I ja się przyłączam do tego zdania ludzi. Już tego samego dnia o godz. 18.00 przewodniczyłem w nabożeństwie majowym, na którym ludzie się gromadzili (garstka) i [dotąd] sami, jak mogli odprawiali, śpiewali litanię do Matki Bożej, odmawiali różne modlitwy, śpiewali pieśni.

A teraz to nabożeństwo zaczęło odprawiać jak zwyczaj nakazuje, wobec wystawionego Najśw. Sakramentu i z krótką nauką.

Następnego dnia już o wiele więcej ludzi przyszło na to nabożeństwo i tak przez parę dni przybywali nowi, którzy z tego terenu uczęszczali do Katedry. Liczba nowych dochodziła do paruset. Cieszyli się bardzo z takiego załatwienia sprawy. A ja, poza – chwilowo – małutkim gronem pań, otaczających ks. pułkownika, które też mnie z początku chłodno przyjęły, ująłem sobie wszystkich ludzi. Powoli i te panie, na czele z p. Drakową, zakrystianką, zaczęły się przychylnie odnosić do mnie.

Upłynęło parę dni. I znów p. Głazewski przychodzi do zakrystii, do ks. Truszkowskiego i przedstawia mu nową sprawę, nową propozycję – żądanie ludzi – Księżę pułkowniku – lubia! ten tytuł – my wiemy, że ks. pułkownik nie może głosić *kazań* i rozumiemy to dobrze, ale ten kapłan – pokazał ręką na mnie – może i ludzie się tego domagają. Dlatego proszę, w imieniu własnym i ludzi z naszego terenu, którzy teraz coraz liczniej przychodzą do naszego kościoła, aby o. Marcin już w najbliższą niedzielę zaczął przynajmniej na sumie głosić kazania. Autorytet p. Głazewskiego był za wielki – przecież to on wystarał się u władz o otwarcie tego od dłuższego czasu zamkniętego kościoła – aby ks. Truszkowski mógł się jemu sprzeciwić.

I już w najbliższą niedzielę wygłosiłem na sumie kazanie, a treść jego powtarzano, komentowano cały tydzień aż do następnego, na które przyszło bardzo dużo ludzi.

Tu muszę zaznaczyć, że do tego kościoła uczęszczało bardzo liczne grono osób z inteligencji – paru profesorów z sąsiedniej politechniki, były prezes sądu p. Rabe, inżynierowie, nauczycielstwo szkół średnich – naprzeciwko kościoła było liceum polskie

– spora grupa młodzieży akademickiej, różni panowie i panie na stanowiskach, ale ukrywający swoją przeszłość zawodową, np. były profesor muzyki, kompozytor.

I tak zaczęło się głoszenie przeze mnie kazań, ludzi przybywało na nie coraz więcej, kościół się zapełniał, a swobodnie mieści się w nim 5–6 tys. osób.

Tę sprawę kazań, p. Głazewski omówił najpierw ze mną. Bywałem u niego codziennie, po nabożeństwie wieczornym lub nawet w ciągu dnia. Mieszkał niedaleko od kościoła, a ja też bliźniutko, prawie na zapleczu kościoła u pań Ledóchowskich, ul. Kamieniarów 7. Znalazłem nowe mieszkanie, prawie przy kościele, u państwa Mieczysława i Jadwigi Szymańskich. On, inżynier, prowadził zakład – pracownię szklano-techniczną różnych aparatów do celów naukowych, medycznych. Ona, z zawodu księgową, prowadziła dom. Przyjęli mnie życzliwie, serdecznie, jak członka rodziny. Było mi tu bardzo dobrze. I dla ludzi wygodniej, chociaż oni starali się załatwić ze mną swoje sprawy w zakrystii. A były przy kościele właściwie dwie duże zakrystie, więc swobodnie i dyskretnie można było tutaj spotykać się z interesantami.

I tak zacząłem prawie normalną pracę kapłańską, duszpasterską: odprawiałem Mszę św., głosiłem słowo Boże. Ks. Truszkowski nigdy nie spowiadał, ludzie spowiadali się w katedrze – i odprawiałem pogrzeby, czasem na wyraźne życzenie rodziców ochrzciłem dziecko. Chrztu, ślubu, zarezerwował sobie ks. pułkownik. Zdarzało się, że czasem na dzień – dwa lub dłużej zaniemógł. Nikogo wtedy nie dopuszczano do swojego mieszkania – tylko p. Drakową i ks. kan. Karola Jastrzębskiego z katedry. Wtedy, siłą rzeczy, ja wszystko w kościele spełniałem.

Gdy ks. Truszkowski odprawiał Mszę św. czy w niedzielę, czy w dniu powszednim, p. Drakowa zapalała na ołtarzu zawsze sześć świec, a w kościele wszystkie żyrandole, kinkiety i jeszcze po dwie świece, na ołtarzach bocznych.

Alteż, z tej racji, kasa kościelna świeciła pustką, były niedobory, bo i podatek od kościoła trzeba było płacić, organistę, zakrystiana, zakrystiankę, nauczycielkę, która potajemnie uczyła małe grupki dzieci katechizmu, przygotowywała do I Komunii

świętej. Do tego dochodziły wydatki na wino mszalne, hostie, komunikanty, które przygotowywały siostry Sacre Coeur, na pranie bielizny kościelnej, na sprzątaczkę.

Aby jakoś ratować sytuację, w każdą niedzielę wystawiano przy wyjściowych drzwiach stolik, nakryty obrusem, na stoliku puszka, a przy niej duża kartka z napisem: ofiara na kościół. Przy stoliku siedziała zawsze jakaś pani. Ale ofiary skąpo wpadały do puszki, bo ludzie sobie różnie te ofiary tłumaczyli. Mnie się to wszystko nie podobało i ludzie też to cicho krytykowali.

Omawiałem całą sprawę z p. Głazewskim, jak moim zdaniem i w duchu Kościoła powinno to wyglądać. Pan Głazewski całkowicie mnie popierał. Głowił się tylko nad tym, jak sprawę rozwiązać. Często obaj na ten temat debatowaliśmy. Chciał bym ją się tą sprawą zajął, bym ją załatwił z korzyścią dla kościoła.

A więc raz u jednego, bodaj na początku września 1949 r. po nabożeństwie wieczornym p. Głazewski przyszedł do zakrystii, poprosił p. Drakową i mnie, przywitał się z nami i tak się odezwał, zwracając się głównie do p. Drakowej: *Ja jestem człowiek stary, nieudolny, nie potrafię należycie zarządzać sprawami Kościoła. Całą tę sprawę powierzam o. Marcinowi. Tację należy jemu oddawać, on ma decydować jakie światła, ile zapalać w czasie Mszy św. w niedzielę, w dni powszednie i na nabożeństwach wieczornych, bo pod tym względem jest u nas dużo niewłaściwości. Stąd też mamy braki, niedobory w kasie. Od dzisiaj tymi sprawami rządzi o. Marcin i proszę go we wszystkim słuchać.*

Pożegnał się i wyszedł. Zostałem sam na sam z p. Drakową. Ona we łzach. Sytuacja niemiła. Ale trzeba to jakoś zakończyć. Więc... ja do niej spokojnie, serdecznie: niech się pani nie przejmuję, my obydwój się zgodzimy, wszystko ładnie, wspólnie ułożymy. Ale coś trzeba będzie zreformować, coś zmienić, aby wszystko było naprawdę w duchu Bożym, wedle zaleceń Kościoła. Pani jest bardzo przywiązana do naszego kościoła i poświęca dla niego całe swoje obecne życie. Stara się, by wszystko było jak najlepiej i tę troskę należy podkreślić z uznaniem.

Powoli się uspokoiła. Jeszcze chwilę z nią byłem. A potem pożegnałem, wysze-

dłem z kościoła i udałem się wprost do p. Głazewskiego.

Dopiero po drugim dzwonku, otworzył mi drzwi człowiek obcy, w białym, zakrwawionym kitlu, z palcem na ustach, oznaczającym spokój, tajemnicę. Tym człowiekiem był znany w całym Lwowie, wybitny lekarz-chirurg, dr Walichiewicz. Szepnął mi: był wylew, ale już jest wszystko dobrze, nic gorszego mu nie grozi. Jest przytomny. Proszę zachować spokój. I wprowadził mnie do pokoju chorego. Przy nim była, też w całym Lwowie znana lekarka, wielka samarytanka, dr Irena Pelczarska.

Pan Głazewski, po rozmowie z p. Drakową, wrócił z kościoła mocno podniecony. Wiek ok. 80-ki! I to wywołało u niego wylew krwi do mózgu. Ale natychmiastowe wezwanie lekarzy, którzy zastosowali upust krwi, uratowało chorego. Z chorym, wtedy nie rozmawiałem, tylko przy odejściu powiedziałem mu, że jutro zaraz po Mszy przyniosę mu Komunię św. Uśmiechnęliśmy się do siebie i wyszedłem. Na drugi dzień stan chorego uległ maleńkiej poprawie. Przez cały czas choroby, codziennie nosiłem mu Komunię św. Opiekę miał dobrą i powoli przychodził do siebie.

Od czasu zachorowania p. Głazewskiego prezesa Komitetu kościelnego, głównego opiekuna i kierującego sprawami kościoła, po tej rozmowie w zakrystii, siłą faktu, kościołem w sprawach gospodarczych, zarządzałem ja.

Wkrótce po tym wszystkim, miałem rozmowę z p. Drakową i bardzo delikatnie, by jej nie zrobić przykrości, dałem jej wskazówki: *stolika przy wyjściowych drzwiach nie będziemy stawiać. Teraz do kościoła uczęszcza znacznie więcej ludzi, tace na pewno będą lepsze i muszą nam starczyć na nasze wydatki. W razie czegoś ogłosi się nadzwyczajną składkę, jednak myślę, że bez tego się obejdzie. Znów się p. Drakowa przy tej rozmowie popłakała, a ja się powołałem na przepisy Kościoła i dodałem: ks. pułkownik je na pewno zna, a prócz tego w naszych warunkach musimy oszczędzać.*

I rzeczywiście, składki niedzielne znacznie się powiększyły i zaraz, w pierwszym miesiącu po tym zarządzeniu, starczyły na wszystkie wydatki.

A nabożeństwa odprawiały się normalnie jak dotychczas.

Przyszedł październik i nabożeństwa różańcowe znów odprawiałem z ludźmi, wobec wystawionego Najśw. Sakramentu, a nie sami wierni – mała grupka, jak dawniej to bywało.

W pierwszą niedzielę listopada ks. Truskowski do kościoła nie przyjechał. Co się stało? Drakowa powiedziała, że poważnie zachorował. Ja na to: *na pewno nic groźnego, poleży parę dni, jak już nieraz było, wstanie i przyjdzie do kościoła.* – *O nie, ojcze. On już nie wyjdzie z tej choroby, on umrze.* I rzeczywiście, we wtorek, 6 listopada 1949 r., w przeddzień rocznicy rewolucji (rosyjskiej) październikowej, zmarł. Mimo „święta” sprawę pogrzebu jakoś załatwiono, a chodziło o to, by pogrzeb odbył się w trzeci dzień świętowania – bo trzy dni świętowano – by potem nie wyłoniły się jakieś trudności ze strony władz.

Mszę św. w kościele św. Marii Magdaleny, przy zwłokach, odprawił ks. kan. Karol Jastrzębski z Katedry i przewodniczył wszystkim ceremoniom, w asyście paru księży, którzy powiadomieni telegraficznie przyjechali. Z kościoła wieźliśmy ciało zmarłego bocznymi ulicami, na Cmentarz Łyczakowski i tu został pochowany w grobowcu p. Drakowej. Zmarłego żegnał, w imieniu parafii św.

Marii Magdaleny i całego polskiego Lwowa, ks. Jastrzębski.

Zostałem w kościele sam. A wieczorem w zakrystii, gdy szedłem odprawiać nabożeństwo, p. Drakowa przystąpiła do mnie, ujęła za rękę, serdecznie uściśnięta i powiedziała: *jakie to opatrnościowe było, że w maju ojciec do nas przyszedł. Myśmy wtedy tego nie rozumieli i nie doceniali. Potem, gdy ks. pułkownik raz, drugi i coraz częściej zaczęła słabnąć, zaczęliśmy powoli rozumieć i dziś jeszcze lepiej, całkiem rozumiemy, Pan Bóg nam ojca przysłał. Co byśmy teraz tu, w tym kościele, robili bez ojca?*

– *Proszę pani, odpowiedziałem spokojnie, wszystko jest w rękę Boga, wszystkim Pan Bóg rządzi!*

Nadszedł Wielki Post, a z nim wzmoczony ruch religijny przyjezdnych, z różnych stron. Dotąd głównie w Katedrze był on widoczny, a w tym roku i do kościoła św. Marii Magdaleny przyjeżdżali bardzo liczni, pojedynczo i grupami, pielgrzymi z dalekich stron. I trzeba było czasem parę godzin siedzieć w konfesjonale i spowiadać, a co jakiś czas podawać Komunię św. [...]

* Pan Adam Głazewski przybył z majątku Chmielowa nad Dniestrem, w powiecie zaleszczyckim.

LWÓW – PIERWSZE KROKI...

Dokończenie ze s. 11

osoba Bogu poświęcona. – *Zawsze to jednak coś w rodzaju kobiety* – odpowiada nie całkiem przekonany rabin, ale wyraża zgodę na zbieg.

W zachowanych notatkach siostry Marty ujawnia się coraz wyraźniej myśl o śmierci, o spotkaniu z Chrystusem i Matką Najświętszą. Opowiada rodzonemu bratu – księdzu, który ją odwiedza, o drobnych znakach zapowiadających bliskie już spotkanie z Panem. W maju przepowiada swoją śmierć. Twierdzi, że trumnę poniosą bocznymi schodami i że św. Jan Nepomucen przygotowuje jej miejsce blisko siebie.

W maju 1904 r. w szpitalu umiera kobieta chora na tyfus plamisty. S. Marta, świadoma wielkiego niebezpieczeństwa, zastępuje pie-

lęgniara – ojca rodziny – przy dezynfekcji separatki. Nazajutrz pojawia się gorączka i symptomy choroby. Ma jeszcze tyle sił, by pójść do kościoła i pomodlić się przed obrazem Matki Bożej Śniatyńskiej. Przygotowuje ubranie do trumny, gromnicę i niszczy osobiste notatki. Wezwany brat udziela jej wiatyku. Po modlitwie uznanej przez otoczenie za wyraz stanu ekstazy w dniu 30 maja 1904 r. siostra Marta odchodzi do domu Ojca.

MIŁOŚĆ KOŃCZY SIĘ CHWAŁĄ

Dziwnym zrządzeniem Opatrzności Bożej Siostra Marta po 134 latach powraca na teren, gdzie stawiała pierwsze kroki w posłudze Siostry Miłosierdzia. Jej beatyfikacja we Lwowie jest uwieńczeniem wołania ludzi poruszonych ofiarą miłością tej młodej Siostry. Niech z wyżyn niebios wyprasza łaski dla Lwowa i całego kraju.

SYLWETKI

PANI WANDA

W ubiegłym roku (2007) minęła piętnasta rocznica śmierci Wandy Olszewskiej. Poniższe wspomnienie znalazło się po raz pierwszy w „Semper Fidelis” nr 1 (14) w 1993 roku. Obecnie przypominamy tę niezwykłą postać także i dlatego, że w niniejszym numerze zamieszczamy wspomnienie o Danucie Sikorzance, drugiej wspomniałej pilotce lwowskiej. Obie razem startowały do najważniejszych imprez lotniczych, obie były pionierkami lotnictwa kobiecego w Polsce.

Odeszła tego gorącego lata. Miała lat 86, ale niemal do końca zachowała niebywałą energię, humor i zainteresowanie dla otaczającego nas świata, które cechowały Ją – jak opowiadali – od wczesnej młodości. „Królowa życia” – takie określenie pasowałoby najbardziej do tej niezwykłej osobowości.

Maria Wanda z Longchamps Olszewska, jedna z dwóch pierwszych – wraz z Danutą Sikorzanką – pilotek polskich, lwowianka od kilkunastu pokoleń, urodziła się w Ławocznem¹ w 1906 r. Była córką Jana Longchamps, nafciarza, i Stefanii z Adamowskich. Rodzina Logchamps de Berier to stara szlachta. Byli kiedyś we Francji hugenotami i uchodząc przed prześladowaniami religijnymi do tolerancyjnej Polski, osiedli we Lwowie. Stało się to w pierwszej połowie XVIII wieku, mieli więc dość czasu, by się całkowicie spolonizować i dać Lwowowi i Polsce wielu wybitnych przedstawicieli. Bogusław Longchamps był powstańcem listopadowym, lekarzem i społecznikiem, Franciszek – powstańcem styczniowym i jednym z pionierów polskiego przemysłu naftowego². Roman Longchamps, profesor prawa, był ostatnim przed II wojną rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza, zamordowanym na Wulce w 1941 r. Niezwykłą postacią była Wanda z Dybowskich Longchamps, wybitna działaczka niepodległościowa w okresie powstania 1863 r., współzałożycielka patriotycznego stowarzyszenia tzw. Klaudynek we

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

BITKÓW

Wies w pow. nadwórniańskim, wojew. stanisławowskim, leżąca nad potokiem Bitkowczyk, dopływem Bystrzycy Nadwórniańskiej, położona w odległości 20 km na płd. od Bohorodczan i 7 km na zach. od Nadwórnej. Wchodziła w skład parafii rzym.kat w Solotwinie. Parafia gr.kat. znajdowała się na miejscu.

W 2. połowie XIX w. właścicielem było wiedeńskie Towarzystwo Handlowe do produkcji leśnej.

JARYCZÓW NOWY

Miasteczko w pow. i wojew. lwowskim, położone o 24 km na płn.wsch. od Lwowa, nad Jaryczówką, na wys. 252 m npm. po stronie płn., 232 m. po stronie płd. Przez jego obszar przechodzi kanał jaryczowski. Parafie obu wyznań w miejscu.

Historia. Przed 1397 r. ks. Władysław Opolczyk nadał wieś J. Jaśkowi Mazowicie. W 1431 r. właścicielem majątku był syn Jaśka, Paszcza, który dokonał formalnej fundacji parafii rzym.kat. pw. Wszystkich Świętych, istniejącej już przed 1426 r. Jako następnych dziedziców dokumenty wymieniają

Mikołaja z Kniahynicz i jego syna Stanisława Jaryczowskiego (1469 r.). W połowie XVI w. Jaryczów należał do Stanisława i Franciszka z Chodorostawu Żorawińskich. Uzyskali oni dlań od Zygmunta Augusta w 1563 r. nadanie miejskiego prawa magdeburgskiego. W tym samym przywileju król uwolnił mieszkańców na lat 12 od większości podatków i ustanowił dwa jarmarki roczne (na św. Trójcę i WW Świętych) oraz targi tygodniowe w niedziele i czwartki. W 1615 r. właścicielem Jaryczowa był Adam Żółkiewski, starosta rohatyński, a od 1618 r. Stanisław Żółkiewski. Wystarał się on od króla o odnowienie przywileju na jarmarki i zamianę pierwszego z nich na Boże Ciało. Targi od tego czasu miały odbywać się tylko w czwartki.

W 1695 r. miasto zostało spustoszone przez Tatarów. Od Żółkiewskich przeszło na Sobieskich, a następnie na Radziwiłłów, którzy w 1770 r. sprze-

Lwowie. Wreszcie pamiętamy, że cała połać wzgórz osłaniających Lwów od północy, nazywała się Lonszanówką, bo tam miała swą posiadłość ta arcylwowska rodzina.

Przenieśmy się w lata 1920. Lwów stawał się w tym czasie kolebką polskiego sportu szybowcowego i lotniczego. Przy Politechnice powstał Aeroklub Akademicki³, do którego wstąpiły dwie niedawne absolwentki lwowskich gimnazjów żeńskich – Królowej Jadwigi i Sacré Coeur, Danuta Sikorzanka i Wanda Olszewska (już wtedy żona adwokata, dra Stanisława Olszewskiego).

Szkoiliły się na lotnisku na Skniłowie i w 1929 r. zdały teoretyczny egzamin z pilotażu w Ministerstwie Komunikacji w Warszawie. Od tego czasu zaczęły się liczne i coraz dłuższe, samodzielne loty. Jedną z pierwszych imprez był długi lot wokół Polski, którego celem miało być propagowanie lotnictwa sportowego – to były przecież początki, bez których nie mielibyśmy dalszych – przedwojennych i powojennych sukcesów polskiego sportu lotniczego. Olszewska i Sikorzanka poprowadziły swoje samoloty z Katowic przez Kraków, Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Łuck, Wilno, Grodno, Warszawę, Toruń i Poznań, z powrotem do Katowic. Gdzieś po drodze, na bezludziu, musiały lądować z powodu złej pogody i w nocy pilnowały swych maszyn... z rewolwerem. Na lotniskach witały je tłumy – kobiet w takiej roli jeszcze nie widziano. Następne pilotki, w innych ośrodkach, pojawiły się dopiero później.

Sikorzanka i Olszewska latały do II wojny. Ta pierwsza (po mężu Stanisławowa de Lapiere, żona lwowskiego lekarza-okulisty) zginęła zamordowana przez Sowietów w Zło-

czowie. Wanda Olszewska przeżyła wojnę szczęśliwie, pracując najpierw jako pielęgniarka u prof. Groera, potem jako karmicielka wszy w Instytucie prof. Weigla⁴. Mieszkała wtedy wraz z matką przy rodzinie swego brata na Kadeckiej 28 (w tej kamienicy jako dziecko Ją poznałem). Po wojnie osiadła w Krakowie. Przez wszystkie lata, aż do śmierci, jej mieszkanie przy ul. Sereno Fenna, a w lecie maleńki domek dzierżawiony w Dobrej koło Limanowej, były pełne ruchu, gości i ulubionego brydża. Dostawała stopy korespondencji od licznych przyjaciół z całego świata.

Swoje pamiątki i trofea lotnicze przekazała do Muzeum Lotnictwa w Warszawie, była w stałym kontakcie z aeroklubami i seniorami lotnictwa, nie tylko sportowego. Chętnie zapraszano Ją na spotkania i imprezy. Nasze środowisko lwowskie w Krakowie miało również okazję spotkać się z Nią na jednym z comiesięcznych wieczorów w 1988 r.⁵ Nadano mu charakter wywiadu, prowadzonego przez Jej młodszego (nieomal o całe pokolenie) kolegę z lotniska na Skniłowie, Leszka Grubskiego, który jeszcze we Lwowie stawiał pierwsze kroki pilota sportowego.

Wanda Olszewska zmarła 24 lipca 1992 r. w Krakowie i spoczęła na cmentarzu Rakowickim obok profesorowej Romanowej Longchamps – „polskiej Niobe”, która w egzekucji na Wulce straciła męża i trzech synów. Czwarły syn, najmłodszy, dr inż. Jan Longchamps, choć zamieszkały w Gliwicach, był Pani Wandy do Jej śmierci serdecznym i niezawodnym opiekunem.

Andrzej Chlipalski

¹ Miejscowość lotniskowa w dolinie Oporu, w powiecie stryjskim. Rodzina Longchamps miała tam dom.

² Syn Franciszka, Bogusław Longchamps wydał wspomnienia o sobie i rodzinie z lat 1884–1918 pt. *Ochrzczony na szablach powstańczych* (1983).

³ Niech mi wybaczą znawcy tematu pewne uproszczenia historyczne, bo nie tu miejsce na szczegółowe omawianie dziejów lwowskiej awiatyki.

⁴ Lwowianie pamiętają, że w Instytucie Weigla był za okupacji niemieckiej zatrudniony kwiart inteligencji lwowskiej, bo praca ta zapewniała bezpieczeństwo.

⁵ Było to jeszcze przed powstaniem TMLiKPW. Spotkania odbywały się w podziemiach klasztoru oo. Dominikanów przy ul. Stolarskiej.



PROFESOR MAKSYMILIAN HUBER

Maksymilian Tytus Huber, jeden z najwybitniejszych uczonych polskich w dziedzinie techniki XX wieku – choć nie lwowianin z urodzenia i nie przez całe życie pod Wysokim Zamkiem mieszkał – był ze Lwowem związany w latach swego rozwoju i dużej części sukcesów zawodowych.



M. Huber (w środku) z matką i braćmi Rudolfem i Kazimierzem

Urodził się w 1872 r. w Krościenku n. Dunajcem w rodzinie polskiej (mimo niemieckiego nazwiska). Uczył się w różnych miastach, ale gimnazjum (IV) ukończył we Lwowie (1889). Tam też wstąpił na wydział inżynierii Politechniki, a w r. 1894 został asystentem. Potem były jeszcze roczne studia podyplomowe w Berlinie, i w 1904 r., we Lwowie, doktorat nauk technicznych. W 1908 r. został profesorem mechaniki technicznej na Politechnice. Obok pracy naukowo-dydaktycznej w swojej dziedzinie, fascynował się we Lwowie lotnictwem.

Tu warto przypomnieć, że do lat 1920-tych Politechnika Lwowska była jedyną wyższą szkołą techniczną na ziemiach polskich. Zaraz po I wojnie światowej powołano politechnikę w Warszawie (tak, jak wiele nowych, polskich uczelni w kraju), ściągając wielu uczonych z innych miast, ale przede wszystkim ze Lwowa. Praca na rozwijającej się Politechnice (a także Uniwersytecie) w stolicy obiecywała zapewne o wiele lepsze warunki niż we Lwowie, niezwykle bogatym dotąd w kadrę naukową (i nie tylko). Podobnie było z pracą w licznych miastach b. zaboru pruskiego, ubogich w polską kadrę naukową (Górny Śląsk,

dali je Stanisławowi Bernardowi Gozdkiemu vel Goyskiemu h. Doliwa, wojewodzie podlaskiemu. Po nim, w 1781 r. majątek odziedziczyła jego córka, zamężna za ks. Januszem Sanguszką, a od 1782 r. za ks. Karolem de Nassau-Siegen, grandem hiszpańskim, marszałkiem polnym wojsk francuskich. Bezdzietna ks. Nassau zapisała Jaryczów swojej wychowance Katarzynie Jekonom lo Butiakin, Ilo Cetherowej, żonie Aleksandra Cetera. Od jego spadkobierców zakupił majątek Walerian Krzeczunowicz (zm. 1866), wzbogacony na handlu bydłem. W rodzinie Krzeczunowiczów Jaryczów pozostał do II wojny światowej. Ostatnim dziedzicem był wnuk Waleriana, noszący jego imię.

W początkach XIX w. w miasteczku działały warsztaty tkackie, wyrabiające różnego rodzaju sukna. W 2. połowie XIX w. czynny był browar, a mieszkańcy trudnili się uprawą chmielu.

Zabytki. Kościół parafialny pw. Wszystkich Świętych. Prezbiterium murowane, zamknięte trójbocznie, z w. XVII; korpus pierwotnie drewniany, po kolejnym pożarze z 1872 r. odbudowany jako trójnawowy, murowany z cegły, na kamiennym cokole. Od frontu wieża z kruchtą w przyziemiu. Zamknięty ok. 1947 r., użytkowany jako skład materiałów wojskowo-sanitarnych, później zamieniony na magazyn kolchozowy. Zwrócony wiernym w 1990 r. W trakcie remontu przeprowadzonego przez 1998 r. zrekonstruowano zniszczone sklepienie drewniane, otynkowano wnętrza i elewacje. Na ścianach korpusu znajdują się fragmenty malowideł ściennych z pocz. XIX w. Zachował się również drewniany ołtarz główny z połowy XVIII w., przerobiony w XIX w. i po 1990 r., oraz ołtarz boczny w nawie pld., neobarokowy z XIX w. Część paramentów i naczyń liturgicznych, przewieziona na stronę polską w 1947 r., zaginęła, część znajduje się w parafii Machnówka.

JARYCZÓW STARY

Wieś w pow. i wojew. lwowskim, leżąca 21 km na płn.wsch. od Lwowa, w bezpośrednim sąsiedztwie miasteczka Jaryczów Nowy, na nizinnym, bagnistym terenie. Przez środek wsi przepływa Jaryczówka, której wylewy zamieniły okolice grunty w moczary, dla osuszenia których został przekopany kanał jaryczowski. Parafie obu wyznarń znajdują się w Jaryczowie.

MOŁOTKÓW

Wieś w pow. nadwórniańskim, wojew. stanisławowskim, położona 12,5 km na płn.zach. od Nadwórnej, u źródeł dwóch potoków, nazywanych jednakowo – Łukawiec Mały i Wielki. Przecinają

Poznań, nieco później Gdynia, ale także np. Wilno w zaborze rosyjskim). Wyjeżdżało więc „na lepsze” wielu profesorów uczelni i gimnazjalnych, młodych inżynierów.

Nowym możliwościom nie oparł się także profesor Huber. Warszawa, od 1928 r., dała mu rzeczywiście wiele – warunki pracy i kontakty, utrwalając zapoczątkowaną w latach lwowskich jego pozycję jako największego autorytetu w dziedzinie mechaniki ciała stałego odkształcalnego.

W czasie okupacji niemieckiej M. Huber nauczał w szkołach technicznych w Warszawie. Po Powstaniu osiadł w Zakopanem, a w 1945 r., nie decydując się na powrót do Warszawy, zamieszkał w Krakowie i tu został profesorem na AGH. Zmarł w 1950 roku.

Obaj młodszy bracia Maksymiliana Hubera byli urodzeni we Lwowie, Starszy z nich, Rudolf (1875–1942), ożenił się z Zofią Trzemeską ze znanej rodziny fotografów lwowskich. Fotografikiem została też ich córka Zofia (1908–1981, zm. we Wrocławiu). Ojciec i córka prowadzili zakład fotograficzny we Lwowie (ul. 3 Maja 5), aż do końca II wojny.

W domu Profesora mimo wszystko pozostała atmosfera lwowska. Dowodzi tego kontakt, jaki nawiązała z krakowskim oddziałem TMLiKPW we wczesnych latach osiemdziesiątych córka Profesora, Maria Rzepińska (1914–1993), profesor historii sztuki na krakowskiej ASP. Z Małopolski Wschodniej wywodził się również jej mąż, wybitny malarz i profesor ASP w Krakowie, prof. Czesław Rzepiński.

Opracowano na podstawie książki autorstwa Zb. Olesiaka i Zb. Engela pt. „Maksymilian Tytus Huber”.

Ilu lat życzyć?

Zamieszkały dziś w Nowym Sączu, **dr Krzysztof Donigiewicz** obchodzi w tym roku swoje stulecie.

Urodził się 12 marca 1908 r. w Zaleszczykach, jako syn pracownika PKP. Maturę zdał w Kaluszu, po czym, w 1934 r. ukończył Akademię Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie., tamże uzyskał doktorat. Pracował w wielu miejscach: w Janowie k. Lwowa, w Dolinie, Stanisławowie, Bolechowie i znowu, już w czasie drugiej okupacji sowieckiej, w Dolinie, gdzie pojął za żonę Helenę ze Stemlerów*.

Po ekspatriacji osiadł w Opolu, potem przeniesiony do Bojanowa k. Rawicza, i wreszcie, w 1960 r. do Nowego Sącza, jako Powiatowy Lekarz Weterynarii. Na emeryturę przeszedł w 1973 r., a w sześć lat później (!) uzyskał stopień doktora habilitowanego.

Przez całe życie zawodowe, a nawet na emeryturze, był aktywny w różnych przedsięwzięciach naukowych i społecznych.

Działał na polu rozwoju hodowli, zwalczania gruźlicy u zwierząt, poprawy warunków zoohigienicznych. W ramach pamiętnego „eksperymentu sądeckiego” przyczynił się do rozwoju tego regionu w dziedzinie budownictwa wiejskiego, agroturystyki. Opublikował kilkanaście prac badawczych, pisał artykuły, wygłaszał prelekcje. Był czynny w okresie „Solidarności”, otrzymał wiele odznaczeń. Miłośnik muzyki poważnej i poezji.

W Nowym Sączu uczczono stulecie Doktora Donigiewicza bardzo serdecznie – akademią i koncertem, wydano ładny folder jubileuszowy z życiorysem Doktora.



* Brat p. H. Donigiewiczowej, Józef, długoletni dyrektor Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie, Józef Stemler, był jednym z 16 przywódców polskiego podziemia, sądzonych w procesie odbytym w 1945 r. w Moskwie. Inny brat, Franciszek jest autorem książki pt. *Ludzie Doliny*.

LIDKA

„...Bogu nie stawia się pytań dlaczego?”

ks. Jan Twardowski

Poznałyśmy się w latach 80., gdy przyjechała do Lwowa z wycieczką. Lidia Juniszewska, lwowianka, która w Legnicy wciąż żyła z tęsknotą za miastem, które opuścić musiała. Przypadkowa znajomość przerozdziła się w przyjaźń. Gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg mieszkania Juniszewskich, byłam oszołomiona. Tu każdy centymetr mieszkania tchnął obecnością Lwowa. Już w przedpokoju na ścianach autografy osób związanych z tym magicznym miastem, czy też przyjaciół, którzy szanując umiłowanie Gospodarzy, pisali kilka słów przyjaznych pod ich adresem. Mąż, Maciek, nie lwowianin, ale dzięki Lidce, jej miłości do rodzinnego miasta, mógł swą znajomością (teoretyczną) o Lwowie zawstydzić niejednego lwowianina. Regały w pokojach, a w nich literatura o Lwowie, pamiątki ze Lwowa. Na ścianach obrazy – Lwów, Lwów, Lwów... W zacisznej kuchni też relikwie, przywiezione z domu, który pozostał na Zamarstynowie... Miłości do Lwowa uczyła swoje dzieci, uczniów, znajomych, wnuków.

Lidia, jak później mi powiedziała, przy pierwszym spotkaniu z rezerwą odniosła się do mnie. „Działaczka”, tak mnie przedstawiono. Nie miała specjalnego zaufania do tzw. „działaczy”. Tym bardziej, że jestem „stąd”. Różnie to bywa... Dzięki Bogu, wszystko stało się na swoim miejscu. Jej żywiołość, otwartość w sądach była fascynująca. Szczera, otwarta, prawdomówna, serdeczna zresztą nie tylko względem mej osoby. Jako członek zarządu Towarzystwa Miłośników Lwowa, była inicjatorką zaproszenia szkolnego teatru „Baj” do Legnicy. Mieliśmy kilka występów – w Legnicy, Jaworze, we Wrocławiu.

Przyjmowani byliśmy po królewsku – z otwartym sercem. Lidia, polonistka zresztą, wraz z mężem potrafili docenić nasz wysiłek. I poziom występów naszych dzieci.

Nieco później, gdy byłam na Forum Prasy Polonijnej, otrzymałam od Nich wiadomość, że mają dla mnie i dla syna prze-

one teren wsi i jeden (Mały) wpada do Bystrzycy Nadwórniańskiej, drugi (Wielki) do Bystrzycy Solotwińskiej. Siedziba parafii rzym.kat. znajdowała się w Solotwinie, gr.kat. na miejscu.

W XVIII w. były tu warzelnie soli, zamknięte w 1821 r. W latach 80. XIX w. właścicielem był Włodzimierz Wilczyński.

Mołotków odegrał rolę w I wojnie światowej, gdy legionści z II Brygady po wybudowaniu tzw. *drogi legionów* (przez przełęcz Pantyrską) przystąpili 23 X 1914 do ofensywy przeciw wojskom rosyjskim, zdobywając szereg miejscowości (aż do Nadwórnej), ale po krwawej bitwie 29 X pod Molotkowem i wielkich stratach musieli się wycofać do Rafajłowej. Na miejscu bitwy zbudowano pomnik istniejący do dziś.

PNIÓW

Wieś w pow. nadwórniańskim, wojew. stanisławowski, położona między rzeką Bystrzycą Nadwórniańską a potokiem Strymba, w odległości 3 km na płd.wsch. od Nadwórnej. Należała do parafii rzym.kat. w Nadwórnej, parafia gr.kat. była na miejscu.

W płn. części wsi znajdował się zamek obronny, wzniesiony w XVI w. przez rodzinę Kuropatwów. Cieszył się w tym czasie sławą najsilniejszej twierdzy na Pokuciu. W 1621 r. został jednak zdobyty i zniszczony przez Turków. Odbudowany i wzmocniony oparł się następnie atakom Tatarów w 1648 r. i Turków w 1676. W 1745 r. wieś wraz z zamkiem przeszła w ręce Cetnerów. Do 1781 r. czynna była tam warzelnia soli. W 1800 r. Pniów nabyli Telefusowie. Od tego czasu zamek stał niezamieszkanym, popadając w ruinę i ulegając rozbiórce. Do naszych czasów dotwały niewielkie fragmenty murów obronnych, 2 baszty, brama wjazdowa i część budynku mieszkalnego.

W 2. połowie XIX w. Pniów jako wieś wchodząca w skład dóbr Nadwórna był własnością Zakładu Kredytowego Ziemskiego w Wiedniu.

SOŁOTWINA

Miasteczko w pow. nadwórniańskim, wojew. stanisławowski, położone w odległości 20 km na zach. od Nadwórnej i 15 km na płd. od Bohorodczan. Parafie rzym.kat i gr.kat. w miejscu. W czasach I Rzeczypospolitej Sołotwina wchodziła w skład dóbr królewskich i była siedzibą starostwa zagrodowego. W nieznanym bliżej okresie czasu, zapewne w XVII w. miejscowość otrzymała nazwę Krasnopol, ale nazwa ta się nie utrzymała. Parafia rzym.kat. erygowana przed 1666 r. Około 1731 r. starostwo solotwińskie wydzierżawił Piotr Benoe, kasztelan warszawski. W 1740 r. ufundował on

puszkę na spotkanie z Ojcem Świętym. Tam, w Legnicy, przeżyaliśmy razem to wspólne wydarzenie.

Byliśmy w stałym kontakcie. Lidię interesowało nasze życie we Lwowie, starałam się ją stale informować, przekazywać wydawnictwa, dzielić się naszą rzeczywistością. Prenumerowała Cracovia-Leopolis. To właśnie ona wraz z mężem okazała mi pomoc, dzięki której był rozwiązany mój problem rodzinny. Zaufała mi. Bez słów i pytań. Po prostu tak. Ona wiedziała co to znaczy żyć jak bracia w szerokim tego słowa znaczeniu. Gdy obchodziliśmy 100. rocznicę urodzin Mariana Hemara, przyjechała z mężem do Lwowa. Aktywnie pomagali nam w ostatnich przygotowaniach do uroczystości.

Jej wciąż mało było Lwowa. Ostatnio chorowała. Tak marzyła przyjechać jeszcze raz... Niestety. W grudniu telefonicznie rozmawialiśmy po raz ostatni. Miała prośbę do mnie. Obiecałam, że na wiosnę ją spełnię.

Ona widocznie odczuwała, że do wiosny nie doczeka, chociaż mowy o tym nie było. Zmarła 14 stycznia, w dniu urodzin mojej Mamy. W lutym ukończyłaby 70. lat.

Zadawać pytań nie będę. Zarówno ja, jak i moi najbliżsi oraz przyjaciele, zachowamy ją w naszej wdzięcznej pamięci. A garstkę ziemi z grobu rodziców, którzy leżą w lwowskiej ziemi, otrzyma. Z nią będzie jej lżej i spokojniej spoczywać TAM, gdzie została wezwana.

Teresa Dutkiewicz

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI 1922–2008

Ze Lwowa nadeszła smutna wiadomość o śmierci Człowieka godnego szacunku i pamięci. Znaliśmy Go z jego niezwyklej aktywności dla dobra polskości i Polaków, z życzliwości dla ludzi i rzetelności.

Włodzimierz Popławski nie był lwowianinem z urodzenia. Przeszedł na świat w polskiej, patriotycznej rodzinie na Podolu za Zbruczem, we wsi Mała Salicha w obwodzie płoskirowskim. W rodzinie mówiono po polsku, tak jak tam wszędzie, zanim nastąpiła powolna, a potem coraz szybsza ukrainizacja Polaków...

W 1938 roku, jego ojciec, jak wielu innych Polaków, został bezpodstawnie oskarżony o przynależność do POW i działalność antyradziecką. Po przejściu przez więzienie w Szepetówce, został – razem z 50 tysiącami rodaków – rozstrzelany w Kamieńcu Podolskim. Represjonowani byli również jego wujowie, a cała rodzina, wraz z podobnymi im polskimi rodzinami „wrogów ludu”, została skazana na izolację od reszty społeczeństwa. Wspomnienie wielkiego głodu na Ukrainie w latach trzydziestych było dla Włodzimierza Popławskiego koszmarem do końca życia.

Po zajęciu Ukrainy przez Niemców w czasie II wojny, został wraz z siostrą wy-

wieziony na roboty do obozu pracy przymusowej w Niemczech. W Lubece pracował przy budowie bunkrów. Po uwolnieniu przez wojsko sowieckie w kwietniu 1945 r. wcielono go do armii, służbę zakończył w dwa lata później, a w 1948 r. przybył do Lwowa i podjął studia na politechnice, zakończony dyplomem mgra inżyniera budownictwa. Pracował do 1980 roku.

W. Popławski przez wiele lat – nie bez trudności oraz wywieranych nań nacisków i pogroźek – dochodził do sprawy swego ojca. Fakt represjonowania rodziny musiał jednak nadal ukrywać. Ostatecznie otrzymał dokument o rehabilitacji ojca. Zestaw materiałów na ten temat byłby godny do opracowania przez polski IPN.

Po zmianach politycznych na przełomie lat 80/90-tych, Pan Włodzimierz włączył się do Towarzystwa Kultury Polskiej ZL we Lwowie, był członkiem zarządu, a ponadto wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi w I kadencji. Pracował aktywnie przy poszukiwaniu i upamiętnianiu pochówków polskich wojskowych.

Pisał wspomnienia, dwukrotnie został laureatem konkursu literackiego (Przemyśl 1997 i 1998). Jego wspomnienia były publikowane, m.in. w książce *Cena tożsamości*. Otrzymał sporo odznaczeń, m.in. Krzyż Drugiej Obrony Lwowa, Krzyż Kawalerski Polonia Restituta, Złoty Medal Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej.

Zmarł w styczniu '08. Cześć Jego pamięci.

DOKTOR ALINA CHWALIBOGOWSKA



W marcu 2008 zmarła w Warszawie dr med. ALINA z Weignerów CHWALIBOGOWSKA. Urodzona w 1914 roku w Krakowie, wychowana w Boryslawiu i Lwowie. Ukończyła lwowskie gimnazjum ss. Urszulanek, studia medyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza, lekarz-pediatra. W czasie okupacji sowieckiej pracowała na klinice

dziecięcej. W 1940 r. została żoną pediatry, dra Artura Chwalibogowskiego (1899–1964), związanego wtedy z UJK. Rodzina wyjechała ze Lwowa w 1944 r., najpierw do Bochni, potem do Krakowa, gdzie A. Chwalibogowska uzyskała doktorat na UJ. W Krakowie pracowała w klinice dziecięcej, potem w Wojew. Przychodni Przewodniczącej. W 1950 r. rodzina przeniosła się do Katowic, gdy dr Artur Chwalibogowski objął stanowisko profesora Śląskiej AM. W Katowicach pracowała w kilku przychodniach wojewódzkich, została specjalistą wojewódzkim w zakresie pediatrii oraz pneumonologii dziecięcej, była doskonałym diagnostą. Pełniła funkcję przewodniczącej sekcji pediatrycznej oddziału śląskiego Polskiego Towarzystwa Ftyzjopneumonologicznego.

Dr Alina Chwalibogowska zasłużyła się ogromnie dla lecznictwa na Górnym Śląsku w zakresie leczenia gruźlicy dziecięcej, organizacji żłobków, szkolenia lekarzy i pielęgniarek. Za to wszystko otrzymała

drewniany kościół parafialny pw. Niepokalanego Poczęcia NPMarii. W 1748 r. Benoe odstąpił od dzierżawy na rzecz swego zięcia Rafała Ludwika Skarbka, chorążego kołomyjskiego. W 1771 r. starostwo było jeszcze w posiadaniu Skarbka. Przez rząd austriacki przejęte zostało w 1779 r. W 1812 r. część majątku władze sprzedały Franciszkowi Kwiatkowskiemu, a w 1868 r. pozostałą część nabyła spółka naftowa. W okolicy znajdowały się bowiem pokłady nafty.

TATARÓW

Do końca XIX w. przysiółek wsi Mikuliczyn (patrz CL 3/02) w pow. nadworniańskim, wojew. stanisławowskim. Położony nad Prutem, w odległości 82 km. od Stanisławowa i 7 km przed Worochtą, na wys. 681 m npm. Na początku XIX w. zaczął się przeobrażać w znane letnisko z eleganckimi pensjonatami i sanatoriami, jakim był w okresie międzywojennym. Stacja na linii kolejowej Lwów-Worochta.

Historyczną atrakcją miejscowości był XIX-wieczny dworek myśliwski ks. Lichtenstein.

Teksty opracowała Maria Taszycka

wiele wysokich odznaczeń państwowych i zawodowych.

Na emeryturę przeszła w r. 1980, ale pracowała aż do roku 2002. Zamieszkała wtedy u córki pod Warszawą. Tam zmarła, pochowana w Katowicach obok męża na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza.

Dziękujemy p. Ewie Grąbczewskiej za udzielenie powyższych informacji o Matce.

Dr Alina Chwalibogowska ogłosiła w „Cracovia-Leopolis” trzykrotnie swoje wspomnienia: o swym ojcu, tarnopolaninie dr. St. Weignerze, o swoim lwowskim gimnazjum i o Czarnohorze.

Z żalobnej karty



W marcu 2008 r. w wieku 96 lat zmarła w Milwaukee, Wisconsin USA i tam pochowana

MARIA KOMORNICKA z domu ŚNIADOWSKA

Lwowianka, która o swoich Kresach nie pozwoliła nigdy zapomnieć. Najukochańsza Matka i Babcia, absolwentka Szkoły Gospodarczej na Snopkowie. Przeszła zesłanie do Kazachstanu, po uwolnieniu żołnierz II Korpusu, pracowała jako siostra Czerwonego Krzyża w Palestynie.

W głębokim smutku pozostali synowie, wnuki, rodzina.

Z TAMTEJ STRONY

JUBILEUSZ 15-LECIA

Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie oraz Polskiego Towarzystwa Radiowego „Radio Lwów”

W CL 1/08 (w dziale „Z tamtej strony”) informowaliśmy o listopadowej uroczystości XV-lecia dwóch ważnych organizacji polskich we Lwowie. Teraz – dzięki Pani Teresie Dutkiewicz – możemy dać szerszą informację o tym pięknym wydarzeniu. Żalujemy, że nie było nam dane wziąć w tym udziału...

Trzecia dekada listopada w życiu Polaków na Ukrainie miała wymiar szczególny – obchodziliśmy XV-lecie utworzenia Federacji Organizacji Polskich oraz XV-lecie odrodzonego po wojnie „Radia Lwów”. Uroczystość miała miejsce we Lwowie 24–25 listopada. Obowiązek opracowania i zrealizowania programu obchodów wzięły na siebie Emilia Chmielowa i Teresa Dutkiewicz z Federacji – przy ogromnym, moralnym i finansowym wsparciu Konsulatu RP we Lwowie i Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” – oraz Teresa Pakosz z „Radia Lwów”. Pomocni byli również lwowscy członkowie Zarządu FOPnU oraz radiowcy „Radia Lwów”.

Na uroczystość przybyli zaproszeni Goście z RP i z dalszej zagranicy:

- prof. Marek Ziółkowski, wicemarszałek Senatu RP
- Artur Kozłowski, dyrektor biura polonijnego Senatu RP
- Helena Miziniak (Londyn), honorowy prezes Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych
- Tomasz Janik, Konsul Generalny RP w Łucku
- Maria Piotrowicz, sekretarz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”
- Bogdan Rzońca, wicemarszałek Województwa Podkarpackiego
- Robert Choma, prezydent Miasta Przemyśla

- Adam Halwa, dyrektor Centrum Kulturalnego w Przemyślu
- przedstawiciele Radia Kraków
- przedstawiciele Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”

W pierwszym dniu uroczystości odbyła się jubileuszowa audycja „Radia Lwów”, w której wzięło udział 12 prezesów z organizacji polskich (z Krymu, z obwodów Winnickiego, Czerkaskiego, Kijowskiego, Chmielnickiego, Żytomierskiego, Mikołajowskiego, Lwowskiego). W galerii „Własna Strzecha” odbyła się konferencja prasowa, połączona z wystawą młodych artystów „Skrzydła”.

Oprócz wyżej wymienionych gości konferencję zaszczylicili swą obecnością Konsul Generalny RP we Lwowie ambasador Wiesław Osuchowski wraz z korpusem dyplomatycznym. Przybyli również przedstawiciele zarządów organizacji członkowskich FOPnU z terytorium Ukrainy i dziennikarze pism polskojęzycznych. Kluczowymi pytaniami naturalnie były temat „Karty Polaka” oraz zbliżającego się wejścia Rzeczypospolitej Polskiej do strefy Schengen. Praktycznie każdy z obecnych otrzymał folder, dotyczący zasad uzyskania „Karty Polaka” przygotowany przez Konsulat RP we Lwowie. Odpowiedzią na drugie pytanie było zapewnienie, że po otrzymaniu ostatecznych dyrektyw rządowych, społeczeństwo polskie na Ukrainie będzie poinformowane w pierwszej kolejności.

Emilia Chmielowa wręczyła dyplomy uznania działaczom Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi z okazji XV rocznicy FOPnU.

Po zapoznaniu się z ciekawymi pracami młodych artystów, goście i gospodarze udali się do hotelu na spoczynek, bowiem wiele osób pokonało niemałe odległości.

Zarząd FOPnU zebrał się jednak, aby poinformować swych najbliższych współpracowników o wykonanej w ostatnim okresie pracy oraz o planach na najbliższą przyszłość.

Następny dzień rozpoczął się uroczystą Mszą św. w Katedrze lwowskiej, celebrowaną przez ks. proboszcza Wiktora Antoniuka. Po Mszy św. uczestnicy uroczystości spacerkiem przeszli do polskiej szkoły Nr 10, która gościnnie udzieliła swego pomieszczenia (dyrektor Marta Markunina).

W przestrzennym korytarzu, wiodącym do sali, gdzie miało odbyć się kolejne wydarzenie, zorganizowana została przez redaktorkę naczelną Biuletynu FOPnU Teresę Dutkiewicz i jej współpracowników imponująca wystawa pełnego kompletu Biuletynów, wydawnictw literackich za okres piętnastu lat oraz nagród i odznaczeń przyznanych w tym okresie Federacji. Natomiast w sali odbył się koncert jubileuszowy, na który złożyły się skecze, recytacje aktorów-amatorów „Radia Lwów”. Oprawę muzyczną, opartą na repertuarze lwowskich piosenek, dokonał młody zespół-kapela „Sześć złotych”. Zarówno skecze, jak piosenki były przyjmowane entuzjastycznie, budząc zachwyty, wzruszenie i zadumę. Odbyła się projekcja filmu TV Polonia o historii „Radia Lwów”.

W międzyczasie Teresa Dutkiewicz, przewodnicząca Jury, ogłosiła wyniki konkursu literackiego „XV lat szlakiem odrodzenia polskości na Ukrainie i więzi z Macierzą”. Zwycięzcą został przedstawiciel młodego pokolenia Marek Gierczak, który napisał książkę o swej rodzinnej wsi Strzałkowie. Marek Gierczak jest studentem Lwowskiej Akademii Muzycznej i kierownikiem artystycznym w/w zespołu.

Po krótkim przyjęciu nastąpił czas na szczególną uroczystą część. Organizatorzy zadbali, aby Opera Lwowska w tym dniu stała się „oazą” polskości i była gremialnie zapełniona przez uczestników z całej Ukrainy, Lwowa i Ziemi Lwowskiej. Przed rozpoczęciem opuszczona została słynna kurtyna Henryka Siemiradzkiego.

Początek uroczystości: przemówienia, gratulacje, odczytywanie listów, prezenty. Wzruszenie obecnych było ogromne. Niektórzy z nich po raz pierwszy w życiu znaleźli się w tak niezwykłym miejscu, na tak znamiennej uroczystości. A przecież to my wszyscy razem i każdy z osobna na swoim miejscu dołożył swą pracą cząstkę, która złożyła się na całość. Dziś jesteśmy zauważalni, chociaż za często głośno się o tym nie mówi. Na wniosek Zarządu FOPnU i przy poparciu Konsulatów RP na Ukrainie Rząd Rzeczypospolitej Polskiej przyznał odznaczenia „Zasłużony dla Kultury Polskiej” dwu organizacjom oraz 51 osobom ze Lwowa, Truskawca, Borysławia, Czerniowiec, Starej Huty, Charkowa, Symferopola, Dowbysza, Żytomierza, Nowogrodu Wołyńskiego, Susłów, Gródka Podolskiego.

GINIE POMNIK OBROŃCÓW LWOWA W RZĘSNEJ

Otrzymaliśmy zasmucającą wiadomość: w Rzęsnej (po północnej stronie Lwowa*) istniejący jeszcze pomnik Obrońców Lwowa z 1918 r. jest w coraz gorszym stanie. Przetrwiał dewastację sowiecką, a obecnie – pozbawiony opieki – powoli niszczy się. I to nie obecni mieszkańcy Rzęsnej, lecz czas i brak opieki sprawiają, że jeśli nie zostaną podjęte zdecydowane i szybkie kroki, to dni tego ostatniego – poza cmentarzami – pomnika z okresu Obrony Lwowa będą policzone.

W miejscu, gdzie stoi omawiany pomnik, była mogiła sześciu Obrońców Lwowa z walk listopadowych 1918 roku. Ich szczątki zostały przeniesione na Cmentarz Orłąt. Podobne pomniki stały w mieście na miejscach dawnych prowizorycznych cmentarzyków i mogił, np. w ogrodzie Politechniki, na Persenkówce itd., a zostały zlikwidowane już w pierwszych latach po II wojnie światowej. Przetrwiał tylko ten jeden...

Polacy lwowscy nie chcą beczynnemu obserwować, jak pomnik niszczy się, ale są świadomi, że takie sprawy powinno się prowadzić kompetentnie, przestrzegając zasad konserwacji zabytków. Dlatego tylko nie podejmują sami naprawy pomnika, lecz zwracają się do odpowiednich czynników w RP o pilną interwencję. Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie jest gotowe włączyć się do działania, jednak oczekuje – w oparciu o dotychczasowe doświadczenia – by zadanie to zostało formalnie wszczęte przez właściwe czynniki państwowe RP.

* Chodzi zapewne o Rzęsną Polską



Federacja jako organizacja otrzymała Złoty Medal Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz 15 osób – Złote, Srebrne i Brązowe medale. Nagrody wręczali Ambasador Wiesław Osuchowski, Maria Piotrowicz – sekretarz Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Helena Miziniak – prezes honorowy Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych.

Finałowy moment uroczystości – podnosi się kurtyna i miejscowi artyści Opery przy pięknej scenografii i wspinających indywidualnie wykonanych strojach wykonują po polsku operę Stanisława Moniuszki „Straszny dwór”. Dla wielu gości była to rzecz trudna do pojęcia, że coś takiego może się zdarzyć, zaś dla organizatorów ogromna satys-

fakcja – znak tolerancji i uszanowania dla obywateli Ukrainy narodowości polskiej, dla organizacji polskich.

Po wysłuchaniu opery jedni goście się rozjeżdżali, inni zostawali jeszcze parę godzin, czekając na swe pory odjazdu. Naturalnie zbierali się, dzieląc się wrażeniami – były to „wieczne Polaków rozmowy”. Jeszcze bardziej zbliżyliśmy się ku sobie podczas szczerych rozmów, rozumiejąc, że stanowimy jedną ogromną rodzinę. Zawdzięczając minionym piętnastu latom, potrafililiśmy się odnaleźć w różnych zakątkach ogromnego Kraju. Przed nami jeszcze wiele spraw, które musimy zrealizować.

Teresa Dutkiewicz

W Krakowie i dalej

Notatki

◆ W bieżącym roku mija 70. rocznica śmierci wielkiego Arcybiskupa lwowskiego obrządku ormiańsko-katolickiego, **Józefa Teodorowicza**, senatora RP, wspaniałego patrioty polskiego. W związku z tym polscy Ormianie obwołali rok bieżący, 2008, Rokiem Arcybiskupa Teodorowicza, który będzie solennie obchodzony w całym kraju. Początek Roku zainaugurował ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski mszą św. rzymsko-katolicką, odprawioną 10 lutego br. w kościele dominikańskim we Wrocławiu. Po mszy odbyło się spotkanie, na którym Ksiądz poruszył niektóre aspekty życia i działalności Wielkiego Arcybiskupa.

◆ W Krakowie, w styczniu '08, w wieku 85 lat **zmarł aktor Julian Jabczyński**, który spędził tu wiele lat powojennych. Urodził się w Stanisławowie (1923). a po wybuchu II wojny wyjechał wraz z matką do Rumunii i swoje aktorstwo, jeszcze amatorskie rozpoczął właśnie tam, w ośrodku polskim w Craiovej. W 1945 r. wrócili do Polski, do Krakowa, ale były tu dlań lata nędzy i głodu.

Przeniósł się do Opolą, potem na Wybrzeże, a do Krakowa powrócił w 1956 r. Wszedł w grono jeszcze działających dawnych aktorów, w dużej części lwowskich. Dyrektorem był wtedy – co by o nim nie mówić – doskonały reżyser w starym dobrym stylu, lwowianin Bronisław Dąbrowski. Jabczyński stał się jednym z ulubionych aktorów w krakowskich teatrach, głównie w komediach, a także w kabarecie Jama Michalikowa.

Publicysta jednej z krakowskich gazet napisał po jego śmierci: *był aktorem przedwojennym*. A jakże inaczej? Był wszak z naszych stron!

Dodajmy nieco złośliwie: bo u nas aktorzy nie grali tyłem, albo na leżąco, albo na baranach innego aktora. Albo na drabinie, która miała udawać Mont Blanc. Choć to raczej nie wina (czy zasługa?) aktora, lecz reżysera. Dlatego dziś w teatrach pustawo...

◆ W prasie przeczytaliśmy, że ekspatrianci (ignoranco nazywani w PRL i III RP „zabuzanami”), którzy utracili całe swoje mienie na ziemiach zabranych, **nie mają nadal szans otrzymania godziwych rekompensat** – ponad owe 20% wartości. Okazuje się, że ani PIS, ani PO nie czynią niczego pozytywnego w tym kierunku, pomimo obietnic przedwyborczych. Politycy LiD natomiast – tak jak b. postkomunistyczne rządy – uważają, że ustawowe 20% dla Kresowian to aż nadto wystarczająca rekompensata. Nie dziwi nas to, ponieważ nie zapominamy, że w taki właśnie sposób wypowiadał się niejaki Wi-

dacki, dobrze pamiętany z czasów, gdy był ambasadorem na Litwie, a obecnie działa jako poseł LiD, pomimo, iż jego pozapolityczna działalność oczekuje na osądzenie przez wymiar sprawiedliwości RP (patrz CL 2/05 – *Widactwo*).

„Zabużanom” pozostaje więc tylko droga sądowna – najpierw w sądach krajowych, potem w Trybunale w Strasburgu. Tylko kto z ekspatriantów lub ich niebogatych potomków będzie w stanie podjąć takie przedsięwzięcie?

◆ W grudniu 2007 r. odbyło się przekazanie **sztandaru krakowskiego środowiska 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej** do Muzeum Armii Krajowej w Krakowie.

Sztandar (kombatancki) przechowywany był od 1988 r. – tj. od czasu poświęcenia go na Wawelu przez kard. Franciszka Machar-

skiego – w kościele pw. Świętej Jadwigi Królowej pod troskliwą opieką ks. prałata Jana Dziaska. Przy kościele tym gromadzili się wołyńscy kombatancki pod przewodnictwem śp. Tadeusza Świądra, a następnie Jana Lipińskiego. Obecnie w związku z naturalnym zmniejszeniem się Środowiska Żołnierzy 27. WDP AK postanowiono przekazać sztandar do Muzeum AK. Pierwsza część uroczystości odbyła się w kościele św. Jadwigi, gdzie mszę św. odprawił ks. prałat J. Dziasek i wygłosił mądrą i piękną pożegnalną homilię. Druga część miała miejsce w Muzeum, gdzie po przemówieniu dyrektora Muzeum AK Adama Rapalskiego – jako przyjmującego i Jana Lipińskiego – jako przekazującego, sztandar znalazł swoje miejsce. W obu częściach uroczystości wzięło udział kilkadziesiąt osób ze środowisk akowskich, kombatanckich, wołyńsko-kresowych i in. patriotycznych. (DTS)

KULTURA NAUKA

O LESZKU GOLIŃSKIM

W CL 1/08 znalazło się wspomnienie o lwowskiej grupie literackiej z czasów II wojny – „Żagiew”, napisane przez jednego z jej członków, Leszka Golińskiego. Na końcu, w notce (nader skromnej) zapytywaliśmy Czytelników: kto mógłby o tym autorze więcej opowiedzieć? Na to pytanie otrzymaliśmy dwie odpowiedzi. Pierwsza nadeszła aż z Kanady, od p. dra Jana S. Doliwa-Dobruciego:

Siedzieliśmy obaj w tej samej ławce, w tej samej klasie gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czortkowie, w latach 30-tych. Był on bardzo miłym kolegą, zawsze uśmiechnięty i grzecznym. Już w pierwszej klasie Leszek pisał rymowane wypracowania domowe i układał wiersze na akademii 3-majową czy 11 listopada. [...]

Leszka często odwiedzałem w dużym budynku starostwa, gdyż pan Goliński był starostą czortkowskiego powiatu. Lubiliśmy się wzajemnie, bo mieliśmy podobne usposobienia. Raz Leszek po cichu powiedział mi, że o 5 po południu będzie jechał samochodem na stację kolejową po swego tatę i że mam czekać na niego na moście nad Seretem (piękna rzeka...). Gdy mnie zobaczył, kazał szoferowi stanąć, aby mnie zabrać. To była pierwsza w moim życiu jazda samochodem.

Nie pamiętam w którym to roku państwo Golińscy wyjechali z Czortkowa, ale do dziś pamiętam ten żal, że straciłem tak wspianego kolegę.

Leszka ponownie spotkałem po wojnie we Wrocławiu. Było to w roku 1947 lub ósmym (?). Leszek pracował w zespole redaktorskim jakiejś gazety. Przy winku i kawce uskarżał się na ból serca oraz częste bóle, jakie sprawiali mu patrioci z urzędu bezpieczeństwa... Żartował wtedy, że może ja mam jakieś końskie lekarstwo, bo byłem na II roku medycyny weterynaryjnej.

Po dyplomie w 1951 i z nakazu pracy zostałem wysłany do Słupska i nasz kontakt się urwał. O jego (jak słyszałem – nagłej) śmierci dowiedziałem się już będąc w Kanadzie. Trudno mi nadal jego uśmiechu zapomnieć... to tyle.

Odpowiedź druga: zatelefonował do nas z Warszawy p. Janusz Wasylkowski przypominając, że pisał o Golińskim w swej książce *Lwowskie misztygalki* (W-wa 2000).

Okazuje się, że Goliński, który po ekspatriacji znalazł się we Wrocławiu i nadal działał jako literat, nie zostawił po sobie dobrego wspomnienia. Związał się z różnymi gazetami, m.in. „Trybuną Ludu”, a to co pisał o Lwowie, budziło sprzeciw expatriantów. Pisze J. Wasylkowski o powieści *Rocznik szesnasty* (1957):

Powieść Golińskiego drukowana była w odcinkach w jakimś wrocławskim dzienniku. Pamiętam, że Lwowiacy czytali ją z przejęciem, była to bowiem chyba pierwsza powieść publikowana po wojnie, której akcja działa się we Lwowie, ale czytając ją klęli i płakali, płakali i klęli. Nikt nie chciał się zgodzić z opisywanym przez Golińskiego obrazem stosunków społecznych panujących w mieście, usiłowano protestować, ktoś nawet pisał do redakcji, oczywiście wszystkie te protesty pozostały bez echa. (s.192)

W innym miejscu (s. 183) J. Wasylkowski zestawia nazwisko Golińskiego z ówczesnymi pisarzami reżimowymi. Pisząc o książce innego autora, zauważa: *...przypomina bowiem swoim stylem książki Leona Pasternaka, Julii Prajs czy Leszka Golińskiego, bardzo krytycznie opowiadające o Lwowie lat trzydziestych, a publikowane w latach pięćdziesiątych...*

Dziękujemy, Panie Januszu. Przy okazji na nowo przejrzelśmy „Lwowskie misztygalki” – to kopalnia wiedzy o mało znanych sprawach lwowskich!

Kronika

◆ W ostatnim dniu stycznia br. odbyła się w Bibliotece Narodowej w Warszawie uroczystość poświęcona **prof. Oskarowi Stanisławowi Czarnikowi**, w związku z Jego odejściem na emeryturę i ukończeniem 70. roku życia.

Prof. O.S. Czarnik urodził się w 1937 r. we Lwowie. Po ekspatriacji znalazł się w Warszawie, tam ukończył studia polonistyczne i przeszedł stopnie kariery naukowej aż do profesury w 2003 r. Przez ponad 30 lat pracował w Bibliotece Narodowej (dokładniejsza notka biograficzna znalazła się w CL



1/06, po Jego artykule o mieszczaństwie lwowskim.

W dniu uroczystości duża „Sala Darczyńców” BN była pełna, zebrało się sto pięćdziesiąt osób. Opowiadano nie tylko o drodze naukowej Profesora, ale także wiele o Jego postawie i działalności w okresie „Solidarności”, podnoszono ogromną pomoc, jaką świadczył rodakom za jałtańskim kordonem, dowożąc do Lwowa osobiste ciężkie plecaki z polskimi książkami, i nadal to dzieło kontynuuje.

Nie zabrakło naszej Redakcji na uroczystości w Warszawie, o czym świadczy załączone zdjęcie.

W następnym numerze zamieścimy opowieść prof. Oskara Czarnika o sobie i własnej rodzinie, zasłużonej od kilku pokoleń dla polskośći naszego Miasta.

◆ W połowie grudnia '07 odbyło się w Krakowie **symposium pt. Rodzina Maryi. Dzieło bł. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego 1857–2007**, zorganizowane przez Wydział Historii Kościoła PAT w Krakowie oraz Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Maryi. W ramach symposiumu ks. prof. dr Józef Wolczański wygłosił referat pt. *Rozwój strukturalny Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi na Ziemiach Wschodnich*.

Przypomnijmy, że bł. arcybiskup Z.S. Feliński spędził część swego życia – po powrocie z wygnania z Rosji – w Dźwiniacze (k. Borszczowa, na Podolu Tarnopolskim) i tam założył habitową gałąź Sióstr Rodziny Maryi (marianki). O Felińskim i Dźwiniacze pisaliśmy w CL 4/02

◆ W krakowskiej „Turlej Gallery” otwarto wystawę ponad **100 dzieł Artura Grottera**,

z czego wiele nie było dotąd eksponowanych.

W tym roku obchodzimy 170. rocznicę urodzin i 140. rocznicę śmierci artysty, który po śmierci został obwołany wieszczem. Przypomnijmy, że namalował słynne cykle: *Warszawa I i Warszawa II, Polonia, Lithuania* oraz *Wojna*, gloryfikujące powstańcy zryw 1863 roku. Swoje obrazy głównie rysował, pozostawił jednak nieco portretów olejnych i akwarel.

Swoje niedługie życie spędził we Lwowie, spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim. Jego grób jest dziś niezwykle często odwiedzany, a to dzięki licznym wycieczkom z całej RP.

◆ Kolejna szkoła w Polsce **otrzymała imię Orłąt Lwowskich** – jest to IV Liceum Ogólnokształcące w Gliwicach. Inicjatywę zgłosił tamtejszy Oddział TMLiKPW, który również ufundował piękną tablicę pamiątkową.

Uroczystość odbyła się w rocznicę Obrony Lwowa, w listopadzie 2007 r., a wzięli w niej udział Prezydent Miasta i Marszałek Województwa Śląskiego, uczniowie i ich rodzice oraz rzesza gliwickich lwowian. Młodzież pod kierunkiem pań polonistek zaprezentowała wzruszający program, przybliżający Obronę Lwowa i losy Orłąt.



◆ Z początkiem lutego '08 otwarto w krakowskim Muzeum Archidiecezjalnym im. Karola Wojtyły (przy ul. Kanoniczej) kolejną **wystawę malarstwa Fryderyka Pautscha** pt. *Pejzaże i inne tematy*. Przypomnijmy, że poprzednia wystawa twórczości tego artysty – na temat Huculszczyzny – trwała tam przez cały rok 2007 (pisaaliśmy o niej w CL 1/07).

Jak pamiętamy, F. Pautsch (1877–1950) urodził się w Delatynie, a wraz z K. Sichulskim i W. Jarockim przez lata stanowili „Trójkę huculską”. O wszystkich trzech malarzach pisaaliśmy w CL 3/97 (ale we wspomnianym wyżej zeszytowanym numerze kwartalnika napisaliśmy omyłkowo 3/07, za co przepraszamy).

Smutnym zbiegiem okoliczności, w połowie lutego zmarła w Krakowie dr Maria Pautsch, córka i ostatnia spadkobierczyni spuścizny po Fryderyku Pautschu. Ogromny zbiór jego dzieł był przez dziesięciolecia przechowywany w domu malarza (w nienajlepszych warunkach), dopiero przed kilku laty córka przekazała całość do krakowskiego Muzeum Archidiecezjalnego. Jej intencja była pierwotnie inna: uczynienie z domu malarza muzeum artysty jako oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie (tak jak Dom Matejki, muzeum Mehoffera i paru innych). Dyrekcja MN nie przyjęła tej propozycji.

◆ U krakowskich oo. Bernardynów przechowywana jest od lat powojennych – jak już nieraz pisaaliśmy, a zdjęcie pokazaliśmy w CL 3/01 – **panorama Golgoty od Lwowskich Bernardynów**. Namalował ją jako tło Bożego Grobu Tadeusz Popiel w 1910 r. Obecnie malowidło to rozwijane jest corocznie – od Wielkiego Piątku – w kościele bernardyńskim pod Wawelem. Drugiej takiej dekoracji tu oczywiście nie ma.

Ostatnio nastąpiła konserwacja obrazu o wymiarach 8x11 metrów, Zdjęto kilkudziesięcioletnie zanieczyszczenia oraz uzupełniono drobne ubytki, które powstały przy corocznym rozwijaniu i zwijaniu obrazu, przechowywanym na specjalnym bębnie drewnianym.

◆ W ubiegłym roku **odbył się w Krakowie Ogólnopolski Festiwal Piosenki Lwowskiej**, zorganizowany przez Towarzystwo Kresowe „Chawira”. Festiwal zakończył się w listopadzie '07 koncertem z okazji Rocznic Obrony Lwowa.

Tu należy się wyjaśnienie. W Krakowie – poza Oddziałem TMLiKPW i związanymi z nim klubami-kołami regionalnymi Stanisławowian, Tarnopolan, Stryjan i Zaleszczykówian – działa kilka oddzielnych organizacji, które wpisują się w szerokie *spectrum* miłośnictwa utraconej *małej ojczyzny*. Są to przede wszystkim równoległe koła czy kluby, zainteresowane miejscowościami i okolicami, z których wywodzą się ich członkowie: Złoczowianie, Drohobyczanie, Samborzanie. We wszystkich wymienionych organizacjach trwa od bez mała 20 lat intensywna i wielotorowa praca: bezpośrednich kontaktów z oddzielnymi jałtańską granicą Rodakami, historyczno-dokumentacyjna, wydawnicza, integracyjna. Swoje miejsce ma także wesejsza strona obrazu Lwowa – w tym celu zapraszane są różne zespoły z tej i z tamtej strony kordonu.

Poza wymienionymi działają w Krakowie inne jeszcze organizacje. Jedną z nich –

wspomniana „Chawira” – z całego bogactwa kultury Lwowa wybiera jego niezwykle folklor miejski, organizując występy i festiwal piosenki lwowskiej. To dobrze, że tradycja lwowskiego folkloru – z którym mogłaby się porównać może w jakimś stopniu tylko Warszawa – jest nadal w Krakowie w sposób ciągły kultywowana, przypominając społeczeństwu także i tę specyfikę niszczonej polskiej kultury Lwowa i Małopolski Wschodniej. Wielkie więc za to uznanie i podziękowanie.

Dodajmy, że I miejsce w Festiwalu Piosenki Lwowskiej wzięli zasłużenie Aadaśku Żurawski i jego dwaj przyjaciele: Andrzej Jaworski i Andrzej Mosingiewicz.

Jest jeszcze jedna organizacja, może raczej firma, która swą nazwą „Kresy” nawiązuje do Ziemi Wschodnich, ponieważ w jakimś stopniu była tam prowadzona działalność pomocowa. Jest to jednak raczej biuro podróży, którego wycieczki docierają do bardzo odległych miejsc Europy i nie tylko.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 W ostatnim roku ukazało się sporo książek, które nas szczególnie interesują i o które

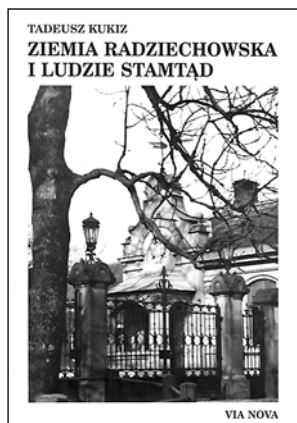
stale się dopominamy. Chodzi o dwa podstawowe tematy, dokumentujące polskość Małopolski Wschodniej: monografie miejscowości (lub szerzej – okolic, regionów) oraz ludzi (rodzin, lokalnych społeczności), którzy na tamtej ziemi od wieków rodzili się, żyli, pracowali, tworzyli i bronili. Oba tematy chwa-

lebnie wiąże nowa książka **Tadeusza Kukiza** pt. **Ziemia Radziechowska i ludzie stamtąd**.

Radziechów był stolicą powiatu, który leżał między granicą Wołynia od północy a powiatem złoczowskim od południa. Liczba ludności miasta wynosiła w połowie 20-lecia międzywojennego 5,5 tys., a całego powiatu prawie 70 tysięcy. Przypomnijmy, że już wcześniej dr Kukiz wydał monografię jednego z ważniejszych miasteczek powiatu – Łopatyna, z którego pochodzi (2004, patrz CL 2/05).

Autor omawia przede wszystkim kolejne ważniejsze miejscowości (ich historię, obiekty publiczne, zabytki), wzbogacając ich opisy ludźmi wszelkich stanów – zarówno postaciami i rodzinami historycznymi, jak i współczesnymi, doprowadzając koleje losów ich i ich potomnych do dnia dzisiejszego.

Otrzymujemy więc sporo wiadomości o wybitnych rodzinach ziemiańskich – najpierw o Mierach (rodzina szkocka, majątek nabyła po Łaszczach) w połowie XVIII w., potem, najszerzej, o Badenich, którzy tę ziemię po Mierach odziedziczyli w następnym wieku. Rodzina Badenich przybyła zapewne w XVII w. z Wołoszczyzny i szybko się spolszczyła przy dworze królewskim w Krakowie. Wydała – już jako właściciele dóbr



radziechowskich – dwóch wybitnych polityków polsko-galicjskich: Kazimierza, premiera Austro-Węgier i namiestnika Galicji, oraz Stanisława, marszałka krajowego. I jeszcze o paru innych rodzinach szlacheckich: Chołoniewskich, Mniszchów, Dąbskich, Komorowskich. Po tej ostatniej poeta Kornel Ujejski odziedziczył Pawłów i tam zmarł. Został po nim piękny nagrobek. W Wolicy Baryłowej powstała znakomita galeria malarstwa europejskiego rodziny Dąbskich, z której część trafiła w XX w. do Rzeszowa, a część lwowska rozproszyła się po muzeach sowieckich.

Z kilkudziesięciu innych rodzin – inteligentnych lub mieszczańskich – wyszło sporo wybitnych postaci naszej historii i kultury. Z samego Radziechowa: wybitny przedwojenny prawnik na UJ, prof. Kazimierz W. Kumaniecki oraz znany historyk sztuki, też na UJ, lecz po II wojnie – Juliusz Ross. Z Radziechowem był przez lata związany ks. Stanisław Frankl (pisaliśmy o nim w CL). Z Łopatyna wywodzą się m.in. rodziny Kukizów i Klimowiczów (znani kwieciarze lwowscy), a z Witkowa Starego znany dziennikarz lwowski i sportowiec Rudolf Wacek. Z Dmytowa: rodzina pisarza Józefa Wittlina (w 1939 r. był kandydatem do Nagrody Nobla) oraz profesor UJK Zenon Leńko, twórca urologii polskiej (urologiem był również jego syn Jan, profesor na WAM w Łodzi i na UJ).

Takich właśnie książek nam potrzeba! To są dokumenty dla naszych potomnych. Oni muszą coś wiedzieć o Ziemi, której nas prawem kaduka pozbawiono. Dziękujemy, Panie Tadeuszu!

📖 O II Brygadzie Legionów Polskich nie pisano dotąd zbyt wiele, a dla nas formacja ta ma szczególne znaczenie. Pierwsze oddziały niesformowanej w pełni II Brygady zostały wysłane z Krakowa jesienią 1914 r. w Karpaty Wschodnie, dla obrony przed ofensywą rosyjską. Zaciekle walki toczyły się pod Mołotkowem, pod Rokitną (słynna szarża ułańska), pod Rarańczą, co zyskało jednostce miano „Żelaznej Brygady”. Po tzw. kryzysie przysięgowym w 1917 r., część II Brygady pod dowództwem gen. Hallera przebiła się przez front i weszła w skład II Korpusu.

Tyle w skrócie. Książkę na ten temat napisał **Stanisław Czerep** pt. **II Brygada Legionów Polskich** (wyd. „Bellona”, Warszawa 2007).

📖 Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej – Okręg Wołyński przez wiele lat z

uporem dążył do ujawnienia prawdy o masowej zagładzie ludności polskiej na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej. Przez kilkadziesiąt lat temat ten był przemilczany zarówno przez polityków jak i naukowców. W Światowym Związku ŻAK rozważano różne sposoby upublicznienia tematu i uruchomienia badań naukowych.

Początkowo zakładano, że prace będą prowadzone wyłącznie siłami historyków polskich. Później okazało się, że muszą to być działania międzynarodowe polsko-ukraińskie. Pokonując wiele trudności i oporów zdecydowano się na współpracę ze Związkiem Ukraińców w Polsce w celu wspólnego zorganizowania seminariów historycznych, na których badacze z obu państw Polski i Ukrainy przedstawiliby swoje wyniki i gdzie byłaby możliwość dyskusji na podstawie dokumentów. Przyjęto zasadę, że każdy temat będzie opracowywany równolegle przez historyków reprezentujących oba kraje i dla każdego tematu sporządzać się będzie protokół rozbieżności poglądów. W celu zapewnienia naukowego charakteru seminariów postanowiono dopuszczać do głosu tylko historyków z list, które wcześniej zostały zatwierdzone przez organizatorów.

Odbyło się 11 seminariów w latach 1996–2005 przemienne w Warszawie i Łucku. Wyniki seminariów opublikowano w kolejnych tomach pt.: *Polska – Ukraina: trudne pytania*. Sprawozdanie z przebiegu prac, omówienie poszczególnych seminariów, cytaty z protokołów lub referatów oraz korespondencji zawiera książka **Andrzeja Żupańskiego** pt. **Tragiczne Wydarzenia Za Bugiem I Sanem przed ponad sześćdziesięciu laty**, wydana dzięki wsparciu finansowemu Kancelarii Prezydenta RP przez Oficynę Wydawniczą RYTM w Warszawie w 2007 roku. Autor przez 11 lat był przewodniczącym środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, tym samym był organizatorem i aktywnym uczestnikiem seminariów polsko-ukraińskich.



W pesymistycznym zakończeniu autor podaje, że 10-letnia praca na seminariach historycznych nadal pozostaje nieznaną politykom. W związku z uroczystościami w Porycku i Pawłokomie nastąpił krótkotrwały wybuch dyskusji w obu krajach, a potem znowu milczenie. Na znacznej części państwa ukraińskiego ludność pierwszy raz dowiedziała się o krwawych wydarzeniach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Wniosek końcowy z protokołu rozbieżności: zdaniem historyków polskich zamiarem OUN Bandery było zlikwidowanie wszystkich Polaków na Wołyniu oraz wypędzenie pod groźbą śmierci do Galicji Wschodniej. Natomiast historycy ukraińscy mówią o usunięciu ludności polskiej dla zabezpieczenia swego zaplecza. Słowa podobne, ale ile w nich groźnej treści! (DTS)

📖 **Józef Wyspiański** mieszkaniec Dolnego Śląska, ale urodzony w Świrze, zainteresowany się historią miejsca swego pochodzenia napisał książkę pt. **Zołnierze ze świrskiego lasu**, którą wydał w Lublinie w 2007 roku.

Książka zawiera – jak pisze we wstępie prof. Jerzy Węgiński – historię kresowego miasteczka Świrz w powiecie przemysłańskim na zachodnim skraju byłego województwa tarnopolskiego, a głównie historię utworzonego tam wiosną w 1944 roku pod okupacją niemieckiego oddziału leśnego (partyzanckiego) 1 kompanii 40 pułku piechoty AK, jego udział w samoobronie Świrza przed atakami Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) i walczyły przeciw Niemcom. Na terenie działania oddziału znajdowała się polska wieś Hanaczów, która dwukrotnie broniła się w nocy przed przeważającymi siłami UPA, a potem została całkowicie zniszczona przez Niemców.

Historię kilku miesięcy 1944 roku autor poprzedza krótkimi dziejami Świrza oraz omówienia sytuacji na froncie niemiecko-sowieckim i na przemysłańskim zapleczu. Później opisuje formy represji w stosunku do ludności polskiej ze strony władz sowieckich: aresztowania, deportacje lutowa i kwietniowa w 1940 roku, pobór do Armii Czerwonej oraz ze strony władz niemieckich: aresztowania, pacyfikacje i wywózki do prac przymusowych do Rzeszy i Austrii. Następnie przedstawia czystki etniczne w wykonaniu

nacjonalistów ukraińskich, okrutne mordy na Polakach ze strony ukraińskich sąsiadów opętanych złowrogą doktryną Doncowa.

Autor pracowicie zebrał wspomnienia kilkudziesięciu osób – szeregowych żołnierzy lub ich krewnych – dając w ten sposób pełny obraz życia oddziału partyzanckiego pod dowództwem kapitana Fryderyka Stamba „Procha”.

Publikacja jest starannie opracowana, zawiera liczne zdjęcia żołnierzy AK związanych z oddziałem oraz omówienia ich sylwetek. Dołączono indeksy nazwisk, pseudonimów, kryptonimów, nazw geograficznych oraz dwadzieścia kilka stron przypisów.

W recenzjach stanowiących zakończenie książki podkreślono, że publikacja wzbogaca coraz obszerniejszą biblioteką wspomnieniową z czasów II wojny światowej, wyróżnia się niesłychaną drobiazgowością opisów z dnia codziennego w oddziale leśnym oraz akcjach zbrojnych. (DTS)

📖 Ta książka zbyt długo czekała na omówienie i polecenie Czytelnikom. Wyszła dokładnie przed 10 laty i nie wiadomo, czy jest jeszcze do nabycia – może u oo. Redemptorystów w Tuchowie? Jej tytuł: **Szlakiem zesańców. Szesnaście trudnych lat w ZSRR 1944–1959** (Kraków 1998) nie w pełni jednak oddaje różnorodne bogactwo informacji zawartych w tej książce, informacji odnoszących się do dwóch wątków. Chronologicznie tytuł wspomnień dotyczy wątku drugiego, późniejszego: smutnych, lecz godnie przeżytych przez autora, redemptorystę **o. Marcina Karasia** siedmiu lat w łagrze na Uralu, po aresztowaniu i deportacji (wraz z o. Kazimierzem Lenzionem) w 1952 roku.

Natomiast czasowo pierwszy wątek odnosi się do wczesnego okresu drugiej okupacji sowieckiej (od 1944), spędzonego przez o. Marcina w Mościskach, Lwowie, Samborze, Drohobyczu, a najdłużej – do czasu aresztowania – w Stryju. W tej części wspomnień do-



wiadujemy się wielu rzeczy, których niedosyt niezmiennie odczuwamy. Większość ekspatriantów, którzy wcześniej czy później opuścili Lwów i Małopolskę Wschodnią, ciągle niewiele wie i rozumie, co działo się pod sowiecko-ukraińską władzą. Mało wiemy o wspaniałych ludziach, których odważna i mądra postawa pomagała pozostałym Polakom trwanie w szczególnej, beznadziejnej sytuacji bolszewickiego reżimu.

Książka nieżyjącego już ojca Karasia rzuca wiele światła na to, co się tam działo. Pozwalamy sobie w tym numerze przedrukować fragment rozdziału III, w którym czytamy m.in. o niezwyklej postaci p. Adama Głazewskiego, zaś w następnym numerze – o prof. Wilhelmie Mozerze.

O. MARCIN KARAŚ CSsR (1910–2003) ur. w Borcu k. Bochni. Ukończył gimnazjum oo. Redemptorystów w Tuchowie, a po maturze, w 1929 rozpoczął nowicjat w Mościskach (tamtejszy klasztor oo. Redemptorystów, założony przez Sługę Bożego o. Bernarda Łubieńskiego, stanowił macierzystą siedzibę tego zakonu na ziemiach polskich). Śluby zakonne złożył w 1930, a po studiach w Seminarium w Tuchowie otrzymał święcenia kapłańskie. Jego pierwszą placówką był Zamość (1937), ale w czasie wojny, w 1942 został skierowany do Mościsk, skąd w 1944. deportowany do łagru na Uralu. Po powrocie do kraju w 1959 pełnił służbę kapłańską w Elblągu i Głogowie, a następnie przez 16 lat był wicerektorem klasztoru Redemptorystów w Zamościu. Od 1980. do śmierci mieszkał w klasztorze w Krakowie.

📖 Pożyteczną i piękną książeczkę wydali **Mariusz Olbromski i Bożena Rafalska**, o pomnikach pisarzy i poetów polskich na Kresach Południowych, zatytułowaną **Śladami słów skrzydlatych**. Pierwszy z autorów – przypomnijmy – jest dyrektorem Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej w Przemyśle (które omawianą książkę wydało, 2005), druga – redaktorem naczelnym miesięcznika „Lwowskie Spotkania” (Lwów).

Książka-album dotyczy w istocie nie tylko istniejących na miejscu pomników lub tablic pamiątkowych oraz nagrobków (na Łyczakowie, w Krzemieńcu, Rudkach), ale i innego typu *pomników*. Są to współczesne wydawnictwa (nie wszystkie, oczywiście), omawiające systematycznie polską kulturę o korzeniach wschodniomałopolskich i wołyńskich, a także z ziem ukraińskich –



książek, albumów, czasopism. M. Olbromski opisał ten ważny wątek w zawartym w książce (wyczerpującym, choć skrótowo potraktowanym) *Zarysie dziejów literatury polskiej na Kresach Południowych dawnej Rzeczypospolitej*. B. Rafalska jest natomiast autorką prawie 40 (z dwoma wyjątkami) pięknych zdjęć, głównie omawianych obiektów, ale są też domy i krajobrazy, w których żyli i pracowali nasi wielcy twórcy.

📖 Niezwykle aktywne Wydawnictwo „Wołanie z Wołynia” (Biały Dunajec-Ostróg, 2007) opublikowało kolejną książkę (tom 55): **Biskupi kamienieccy od średniowiecza do współczesności**, napisany przez **Krzysztofa Rafała Prokopa**. Przypomnijmy, że ten młody historyk w początkach swej drogi naukowej zamieścił w naszym kwartalniku dwa artykuły (2 i 4/98).

Biskupstwo rzymsko-katolickie w Kamieńcu Podolskim powstało z końcem XIV wieku. Miało do dziś 54 ordynariuszy, w tym kilka postaci wybitnych (J.A. Próchnicki 1607–14, St.J. Hozjusz 1722–33, a w naszych czasach Jan Olszański 1991–2002). Do czasu rozbiorów kadencje biskupów były w miarę regularne, ale po roku 1800 do 1991 było zaledwie pięciu ordynariuszy. Przykładowo – za czasów sowieckich przerwa taka trwała od 1926 r. do 1991, a więc 65 lat! Od 1991 r. mamy dziś w Kamieńcu drugiego biskupa (po J. Olszańskim) – Leona M. Dubrawskiego (od 2002).



Katedra kamieniecka pw. śś. Piotra i Pawła powstała na początku XVI w. i jest najdalej wysuniętą na wschód świątynią gotycką na kontynencie europejskim (przypomnijmy, że w tych stronach styl gotycki panował o wiele dłużej niż na Zachodzie Europy, a nawet w Polsce centralnej, gdzie wtedy panował już renesans). Turcy, którzy panowali tu w latach 1672–1699 zamienili katedrę na meczet, dobudowując przed nim minaret, który dotrwał do dziś.

📖 Album budujący i tragiczny zarazem: **Kresy na nowo odkryte** – budujący, bo pokazuje piękno i wspaniałość naszej architektury i sztuki, tworzonej przez wieki na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej; tragiczny, bo przedstawia obraz jej zniszczenia za sprawą barbarzyńców XX wieku, w ciągu kilkudziesięciu lat po II wojnie światowej (co gorsza – proces destrukcji jeszcze nie zakończony!).

Piękny album z 300 zdjęciami z obszaru Małopolski Wschodniej, Wołynia i ziem ukraińnych przygotowali **Łukasz Galusek** i **Michał Jurecki** (wyd. Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2007) na podstawie kilkuletnich badań zespołu pracowników naukowych i studentów Instytutu Historii Sztuki UJ w Krakowie. Fragmenty dokumentacji tych prac pokazano na wystawie pod takim samym tytułem: *Kresy na nowo odkryte* na przełomie lat 2005/06 w Galerii MCK w Krakowie. Na tej bazie powstał omawiany tu album.

Album, podobnie jak wspomniana wystawa, pokazuje w zasadzie budownictwo sakralne – kościoły, budowle klasztorne, wnętrza, rzeźbę i malarstwo, detale architektoniczne. I te, które przetrwały i te, które przedstawiają stan zniszczenia, nawet do-

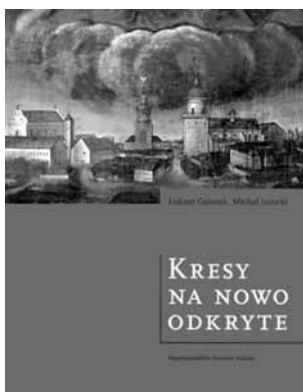
szczętny. Ta sama problematyka jest tematem kolejnych tomów *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej na Ziemiach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej*, wydawanych przez prof. Jana Ostrowskiego (tomy te każdorazowo po ukazaniu się omawiamy w naszym kwartalniku), a zebrało się

ich już 14. Są tam liczne zdjęcia, lecz czarno-białe, natomiast w omawianym albumie otrzymujemy piękny zestaw kolorowych fotografii, nierzadko – same dla siebie – o dużej wartości artystycznej.

Tyle o zasadniczej części albumu. Jest jeszcze część tekstowa, gdzie – obok objaśnienia strony dokumentacyjnej (historia, historia sztuki, analiza dzieł sztuki) – natrafiamy na... dawkę *filozofii* historii. Dotyczy to używania (czy nadużywania) słowa *mit* – przykładem tytuł wstępu: *Mit Kresów, mit twierdzy kresowej* itd. Dodajmy, że słowo to nie tylko tu się znalazło, bo jest dziś chętnie – z rozmysłem czy bezwiednie – używane w Polsce centralnej, jako „poprawne politycznie” (w szczególnym rozumieniu), chyba dla bezsensownego pomniejszenia znaczenia Kresów, a nawet Ziemi Wschodnich II RP (ze strachu?). Związki Polski z Kresami – poza faktem historycznym – są wielorakie; zwróćmy uwagę, że niemała grupa największych Polaków nie tylko ma swoje korzenie na Kresach, ale legitymuje się ich... ruskością. Nie można nie zwrócić uwagi, że nazwiska Mickiewicz, Sienkiewicz, Moniuszko, Kościuszko czy Wańkiewicz, a nawet Giniatowicz – Piłsudski, to wspaniałe dokumenty wielowiekowej wspólnoty polsko-ruskiej w ramach Rzeczypospolitej – zburzone wtedy, gdy nie stało nam już energii. Czy to są mity, czy akurat odwrotnie? I dlaczego podrzdziały *Pola wielkich bitew* czy *Sanktuaria* muszą się mieścić w rozdziale *Mit Kresów*? Czy jest coś dziwnego w tym, że na tej bogatej (zbyt bogatej!) historii narosła cała romanetyka *Okopów Świętej Trójcy*?

Stanowczo wolimy część fotograficzną albumu i za nią serdecznie dziękujemy Autorom i Wydawcom.

📖 Ukazała się nowa książka **Lwowska szkoła matematyczna**, autorstwa **Romana Dudy** (Wrocław 2007). Autor omawia tę słynną znaną na całym świecie szkołę z punktu widzenia zarówno historiografii Lwowa, jak i historii nauki. Osiągnięcia nauki lwowskiej były przez długie lata ze względów politycznych celowo przemilczane, obecnie pojawia się coraz więcej prac dotyczących życia naukowego, politycznego, społecznego Lwowa oraz osiągnięć polskich naukowców. W przypadku lwowskiej szkoły matematycznej jednym z celów opracowa-



nia stała się również próba oceny wpływu, jaki wywarła ona na matematykę w Polsce i na świecie.

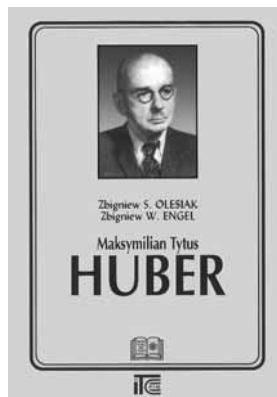
Omawiana w książce tematyka nie została jeszcze w pełni przebadana i opracowana w formie zwartej monografii, praca ta jest więc próbą wypełnienia owej luki. W oparciu o wydane dotychczas wspomnienia, opracowania oraz prace matematyków, autor zrekonstruował dzieje szkoły z lat 1920–40. Prześledził je od momentu powstania katedry matematyki na Uniwersytecie Lwowskim w 1744 r., poprzez rok 1871, kiedy katedrę objął Wawrzyniec Żurka, po nim Józef Puzyra, a następnie Wacław Sierpiński, aż do jej upadku z wybuchem II wojny światowej.

Książka podzielona jest na siedem części. W pierwszej autor omawia kontekst historyczny, w jakim pojawiła się szkoła, w drugiej i trzeciej jej rozkwit i osiągnięcia – na ten okres „złotych lat” szkoły położył największy nacisk; w czwartej – upadek i zagładę, w piątej – jej znaczenie. Opisał proces formowania się środowiska matematycznego po I wojnie, studia i studentów matematyki, prace wydawnicze (czasopisma, monografie), powstanie Polskiego Towarzystwa Matematycznego, a także życie towarzyskie, związane głównie z Kawiarnią Szkocką. Narysował barwny obraz życia lwowskich matematyków, przedstawił ich pracę naukową, dydaktyczną, życie codzienne, przeplatając wspomnieniami i anegdotami. Szczególnie zaakcentowane zostały takie postaci, jak Stefan Banach, Hugo Steinhaus, Stanisław Mazur, Wacław Sierpiński.

Książka napisana jest prostym, przystępnym i zrozumiałym językiem, nie analizuje dokładnie zawłości matematycznych, lecz koncentruje się na historycznym aspekcie nauki rozwijanej we Lwowie. Stanowi więc interesującą lekturę zarówno dla miłośników tematyki lwowskiej o humanistycznych inklinacjach, jak też umysłów ścisłych, zainteresowanych dziejami nauki. (KC)

📖 Dwaj profesorowie, **Zbigniew Olesiak** (Warszawa) i **Zbigniew Engel** (Kraków) wydali książkę o wybitnym profesorze, którego życie i działalność związały się w dużej mierze ze Lwowem, choć z urodzenia lwowianinem nie był, a późniejsze lata związał głównie z Warszawą: **Maksymilian Tytus Huber** (Wydawnictwo Instytutu Technologii Eksploatacji

PIB, Radom 2006). Bogato ilustrowany życiorys Profesora, opowiedziany na tle rodzinnym i naukowym – głównie z czasów lwowskich – zamieszczamy w dziale Sylwetki. Drugą połowę książki zajmuje spis niemal 250 prac naukowych Hubera, a następnie reprinty jego najważniejszych dzieł.



📖 **Maria Jolanta Szczepańska** spisała wspomnienia Michała Fiałkowskiego rodem z podlwowskiej Biłki Szlacheckiej pt. **Zawiła droga z Biłki Szlacheckiej do Strzelec Opolskich – wspomnienia** (Opole 2006). Szersze omówienie tej książki zawarte jest w artykule Jerzego Dudy w tym numerze CL, pt. *O Biłce Szlacheckiej i Biłczanach*.

Warto przy okazji przypomnieć, że w 1996 r. ukazała się monografia „bliźniaczej” wsi – Biłki Królewskiej, napisanej przez Władysława Łukaszyńskiego. Może p. Szczepańska – dobrze, jak sądzimy, wprowadzona w problematykę Biłki Szlacheckiej, zechciałaby analogiczną monografię o niej napisać? A może już pisze?

📖 Do serii opowieści o miejscowościach, które znikły z powierzchni ziemi po zbrodniczych akcjach UPA, dołączyła ostatnio (brak roku wydania, można się jedynie domyślać, że po 2004 r.) książeczka pt. **Stanisłówka. Wspomnienie o rodzinnej ziemi**, składająca się z kilku wspomnień dawnych mieszkańców wsi, a zebranych przez **ks. Władysława Szeremeta**.

Polska wieś Stanisłówka leżała w gminie Mosty Wielkie (powiat żółkiewski), nad rzeczką Świnią. Na marginesie: w pobliżu Stanisłówki leży wieś Strzemień, w której urodził się o. Adam Studziński.

Z opowiadań dowiadujemy się o dramatycznych przejściach



mieszkańców Stanisławki. Część została wywieziona przez Sowietów do Kazachstanu. W czasie okupacji niemieckiej Ukraińcy parokrotnie podchodzili pod wieś, największa jednak akcja miała miejsce 16 kwietnia 1944 r. Szczęśliwie doszło do obrony ludności przez oddział AK, nie udało się jednak uratować zabudowań wsi, które spłonęły do szczętu.

Niektóre opowiadania dają opisy tragicznych losów wywiezionych na „niehumanitarną ziemię”, inne relacjonują wyjazd ze wsi i osiedlenie na ziemiach zachodnich (nie pomijając, goręcej przeżywanej w nowym „miejscu na ziemi”, wśród mało życzliwej ludności autochtonicznej).

Na koniec – odwiedziny w opuszczonej ziemi, postawienie krzyża na miejscu pochówku zabitych mieszkańców i poległych żołnierzy AK. Okazały pomnik udało się wystawić w Warszowicach na Górnym Śląsku, gdzie trafiła część ekspatriantów ze Stanisławki.

Ryszard Chachaj (KC), Stefan S. Łukowski, Danuta Trylska-Siekańska (DTS)

Z górnej półki

Przypominamy Czytelnikom, że jako tytuły „z górnej półki” traktujemy książki dawno wydane – przed kilkudziesięciu laty, a jeśli dostępne, to rzadko – w antykwariatach. Celem ich omówienia na naszych łamach jest utrwalenie ich w naszej pamięci oraz zwrócenie uwagi na ciekawe treści lub fragmenty.

Licząca 32 strony broszurka autorstwa **Aleksandra Czołowskiego** pt. **Jan III i miasto Lwów** (wyd. Gmina Król.Stoł. Miasta Lwowa, Lwów 1929) ukazała się w 300. rocznicę urodzin króla (17 sierpnia 1629). Na początku przedstawiono w skrócie życiorys króla, *mającego w żywotach krew bohaterów, obrońcy, a zarazem mściciela swego kraju i narodu.* Już jako dwudziestoletni młodzieniec odznaczył się w wojnach kozackich, w r. 1652 utracił brata Marka w bitwie pod Batohem. Walczył pod dowództwem Czarnieckiego, a po jego śmierci (1665) został hetmanem polnym i wielkim marszałkiem koronnym. Genialny wódz, zwycięzca licznych wojen z potęgą turecką, oswobodziciel Wiednia przed niechybną zagładą.

Pod koniec życia doznaje gorzkiego zawodu od tych, którzy mu swój los i ocalenie zawdzięczali – Austrii i Świętego Przymierza, traci Smoleńsk i Kijów, wschodnie bastiony Rzeczypospolitej.

Jednak do dziś jego postać pozostaje ozdobą historii Polski.

Postać ta posiada liczne związki ze Lwowem. Już ojciec Jana, kasztelan krakowski, miał tutaj swój dwór i był popularny wśród mieszczaństwa lwowskiego. Przebywając we Lwowie mieszkał we własnej kamienicy, i – gdy stąd pisał – używał zwrotu *u nas we Lwowie*. Kościoły lwowskie otrzymywały od niego wota za wyleczenia z chorób i obrażeń.

Król Jan Sobieski jako wódz wiązał swe myśli i działania ze Lwowem. W r. 1672, kiedy nawała turecko-tatarska ciągnęła na Lwów, znalazł jeszcze czas, by wpaść do miasta i udzielić rad odnośnie obrony. Po chocimskim zwycięstwie w 1673 r. wkroczył uroczysto do miasta, witany przemowami przez burmistrza i radnego. Pięć miesięcy później, wybrany na króla, uwalnia miasto od podatków królewskich na lat 10 za *okazaną wierność, mężność i dzielną obronę.*

Układając plany wojenne, zwracał szczególną uwagę na strategiczne położenie Lwowa i pilnował osobiście, by wznoszono tu najbardziej nowoczesne fortyfikacje, wedle stanu wiedzy wojennej z końca XVII wieku. Po utracie Kamieńca Podolskiego Lwów miał przejąć jego strategiczną rolę.

I tak pod murami Lwowa dnia 24 sierpnia 1675 dokonano największego pogromu licznych wojsk tatarskich, wzmacnianych przez tureckie. 180-tysięczna armia turecko-tatarska została pokonana przez wielokrotnie mniej liczną armię polską. Opisy tej nieprawdopodobnej bitwy rozeszły się po całej Europie (grupa Francuzów walczyła po stronie polskiej), wywołując zachwyty.

Lwów był ocalony i obdarowany łaskami królewskimi. Sejm koronacyjny w 1676 r. potwierdził wszystkie przywileje miasta od najdawniejszych czasów, pisząc, że miasto zasłużyło na *wiekopomną sławę i szczególniejszą łaskę.*

We wszystkich wyprawach wojennych Jana III, odbywających się – jak wiadomo – na wschodzie, Lwów jest ośrodkiem działań. Dla rannych i chorych żołnierzy, król utrzymuje własnym kosztem szpital na

Łyczakowskim Przedmieściu. Szpital ten, z herbem królewskim nad bramą, istniał jeszcze w 1929 r.

Osoba króla miała duże znaczenie w życiu miasta, w godzeniu sporów, rozpoznawaniu trudnych spraw, opiece nad wdowami i sierotami. Także szkolenie wojskowe miało tu specjalny wymiar, w tym ćwiczenie w strzelaniu z muszkietów i dział.

Dwór królewski wszelkie swoje sprawy załatwiał we Lwowie, dotyczyło to także opieki lekarskiej.

We Lwowie mieszkali liczni przyjaciele króla z wypraw wojennych i ze sfery duchowej, w tym zakonnice: rodzona siostra Anna i ciotka Dorota Daniłowiczówna, które często odwiedzała.

Lwów często spełniał w czasie panowania Sobieskiego obowiązki stolicy Polski, goszcząc polityków swoich i obcych. M.in. tutaj odbyło się w r. 1686, w imię postanowień politycznych europejskiego Świętego Przymierza, zaprzysiężenie oddania Moskwie ziem zadnieprzańskich z Kijowem i Smoleń-

skiem, w zamian za obiecywaną (a niespełnioną) pomoc w zniszczeniu Turcji. Sprawa ta stała się ościeniem w sercu króla.

Po raz ostatni przebywał król we Lwowie z rodziną i dworem w r. 1694, później – osłabiony chorobą i gnębiony niepomysłnym obrotem spraw politycznych, zamieszkiwał tylko w Wilanowie. Stamtąd śledził w 1695 r. odparcie od granic Lwowa wielkiego najazdu tatarskiego. Kazał sobie opisać szczegółowo przebieg walki.

Utrzymywał też korespondencję ze wszystkimi swymi przyjaciółmi we Lwowie, gdzie też modlono się gorąco o jego zdrowie. Zmarł w 1696 r. w wieku 67 lat, pozostawiając we Lwowie na ponad 200 lat pamięć o sobie, żywnią przez wiele pokoleń.

Jeszcze dziś w zabranym Polsce Lwowie szanowanym zabytkiem jest Kamienica Królewska z wieloma pamiątkami. Pomnik króla, wzniesiony w 1898 r. przewieziony został po II wojnie światowej najpierw do Wilanowa, potem do Gdańska.

Jacek Walczewski

Wertując wydawnictwa

➔ W Krakowie ukazuje się bardzo pięknie wydawany i ciekawy **kwartalnik *Renowacja i zabytki*** (format A4, 170–180 stron, kredowy papier, dużo ilustracji, dawnych i nowych kolorowych). W treści znajdujemy dwa rodzaje publikacji, zgodnych z tytułem czasopisma: architektoniczno-historyczne (tych więcej) oraz o tematyce materiałowo-technologicznej, oczywiście zawsze odnoszącej się do konserwacji zabytków.

Miłym dla nas darem jest poświęcenie dwóch numerów zabytkom Lwowa (3 i 4/2006, w numeracji ciągłej nr 19 i 20), a wcześniej także Wilnu (3 i 4/2005).

Pierwszy z numerów lwowskich otwiera obszerny, profesjonalny i ciepły w swej wymowie artykuł dra Pawła Pencakowskiego*, historyka sztuki: *Tylko we Lwowie* – zwięzłe, lecz wyczerpujące merytorycznie omówienie rozwoju miasta i jego najważniejszych obiektów historycznych. Arch. Ewa Gwóźdź pisze: *Świątynie Lwowa – w tyglu czterech*

kultur, a dalej mgr Mariusz Czuba: *Archikatedra Łacińska – zarys dziejów i problematyki artystycznej gotyckiej katedry we Lwowie* oraz znowu E. Gwóźdź: *Przegląd świątyń lwowskich* (o Cerkwi św. Jura i Katedrze Ormiańskiej). Autorzy ukraińscy (M. Bewz i Z. Blicharski) omawiają temat: *Inżynierskie problemy zachowania i konserwacji staromiejskiej architektury zabytkowej centrum Lwowa*, oraz (M. Bewz i O. Stasiuk) *Architektura głównego budynku Politechniki Lwowskiej*.

W drugim z omawianych numerów znajdujemy najpierw artykuł dra arch. Jacka Wesołowskiego pt. *Lwów – rozwój urbanistyczny* – powiedzielibyśmy raczej: społeczno-urbanistyczny. Tekst jest obszerny i niezwykle bogaty w swej treści. Następnie E. Gwóźdź kontynuuje *Przegląd lwowskich świątyń*. Tekst równie obszerny i wyczerpujący przedstawia (z konieczności beznamietnie) głównie tragiczny los lwowskich kościołów rzymsko-katolickich, zamienionych na różne cerkwie.

Dr Jakub Lewicki przedstawia *Lwów jako wyzwanie konserwatorskie XXI wieku*. W artykule konfrontuje przede wszyst-

kim obszar wyznaczony we wpisie Lwowa na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO z obszarem o wiele rozleglejszym, gdzie znajdują się lub mogą się znajdować dalsze relikty zabytkowej architektury, które powinny podlegać ochronie. Następnie pokazuje alarmujący stan wielu zabytków, karygodne ingerencje (wyburzenia), niekompetencje konserwatorsko-techniczne.

Redakcji i autorom należą się wyrazy podziękowania za poruszenie dramatycznej sytuacji starego Lwowa, miasta, które – podobnie jak Kraków – nie uległo katastrofie zniszczenia w II wojnie, nie uniknęło jednak katastrofy całkiem innego rodzaju.

► W krakowskim „Dzienniku Polskim” ukazała się informacja PAP-a o apelu, jaki ogłosił dyrektor tzw. „Instytutu Kresowego” w Warszawie (pisaliśmy o nim kilkakrotnie) w sprawie zbiórki dokumentów, zdjęć i innych przedmiotów, *które przybliżą historię tych ziem. Liczą na to, że ludzie mający dziś 70, 80 lat posiadają bogate zbiory – książki, listy, kartki obozowe, pamiętniki, obrazy i różne pamiątki osobiste.*

Powyższa sprawa w tym ujęciu stała się już nieaktualna – w CL 1/08 przekazaliśmy informację, że warszawski „Instytut Kresowy” ma być w likwidacji.

Czytelnicy mogą być zdezorientowani, ponieważ wymieniony wyżej „Instytut Kreso-

wy” nie miał nic wspólnego z Instytutem Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich – którego koncepcja wyszła z naszych, lwowsko-krakowskich kręgów – i który ma powstać na całkiem innych zasadach oraz o określonym programie (w odróżnieniu od tego likwidowanego).

Trzeba też zwrócić uwagę, że wymienione przedmioty są zbierane od lat przez wiele krajowych archiwów, muzeów i bibliotek i nie ma potrzeby dalszego ich rozpraszania po dalszych, nie przygotowanych do tego instytucjach. W szczególności więc sugerujemy naszym Czytelnikom i ich rodzinom składanie takich przedmiotów w Ossolineum we Wrocławiu lub w Muzeum Niepodległości w Warszawie, gdzie istnieje tzw. „Kolekcja Leopoldis”. Oba posiadają do tego celu warunki i kadre. W oparciu o potencjał jednej z tych właśnie instytucji **powstanie w przyszłości poważny Instytut Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich.**

Szerzej napiszemy na ten temat po maju br., kiedy to w Muzeum Niepodległości w Warszawie odbędzie się konferencja z udziałem przedstawicieli kilkudziesięciu krajowych muzeów, poświęcona stanowi posiadania tych instytucji w zakresie dokumentów i pamiątek z całych Ziem Wschodnich I i II RP, a także szeregu naukowców, zajmujących się dziejami w innych dziedzinach historii i kultury na tych obszarach.

LISTY DO REDAKCJI



Najpierw list szczególnie – z Gdańska od p. Moniki Szopińskiej:

Redakcja „Cracovia-Leopolis”

Po wielu latach poszukiwań zwracam się do Państwa z moją sprawą, licząc na pomoc. Próbuje dotrzeć do dokumentu potwierdzającego przyjazd mojego dziadka, Józefa Nazdalskiego ze Lwowa do Brzeska-Słotwiny, prawdopodobnie na początku roku 1941. Dziadek wychowywał się w sierocińcach, najpierw w Suchowoli (lub Suchej Woli) niedaleko Lwowa, potem we Lwowie na ul. Złotej, później Kadeckiej i św. Wojciecha. Nigdy nie słyshał o swoich rodzicach i nie wie, jak się znalazł

w sierocińcu – był tam od kiedy pamięcią sięga. Nie jest też pewien, czy nazwisko jakie posiada, jest prawdziwe czy nadane, ale tak go zawsze nazywano w sierocińcach. W chwili opuszczenia Lwowa mógł mieć 10–11 lat, w każdym razie nie znał swojej daty urodzenia.

Pamięta, jak którejs nocy wychowawcy załadowali kilkunastu chłopców do ciężarówki i z sierocińca na św. Wojciecha wywieźli ich do klasztoru w Brzesku-Słotwinie. W tym transporcie był też jego kolega Stanisław Paślawski. W klasztorze przebywał około 2 lat, a potem z niego uciekł i tułał się po okolicach. Ostatecznie zatrzymał się na dłużej w gospodarstwie Władysława Rogusa, zam. w Borzęcinie Dolnym. Tam też, u sołtysa, przypisano mu fikcyjną datę urodzenia na 19 III 1931 r.

Sądziłam, że w Brzesku-Słotwinie zachowały się jakieś dokumenty o tym transporcie, ale niestety obecne archiwa nie zawierają na ten temat żadnej wzmianki. Osoby z klasztoru, z którymi

rozmawiałam, przypuszczają, że może zostały wywiezione do Warszawy. Gdyby zachował się taki dokument, byłoby w nim zapewne jakieś dane o tych dzieciach i to, co mnie najbardziej interesuje – data urodzenia mojego dziadka, może dane rodziców lub inne ważne fakty z jego przeszłości. Nie wiem, jak dotrzeć do informacji o wspomnianym transporcie dzieci ze Lwowa.

Zwracam się do Państwa z prośbą o pomoc w moich poszukiwaniach lub wskazówki co do dalszych działań.

Mój dziadek nadal żyje i pragnie jeszcze poznać choćby cząstkę prawdy o swoim pochodzeniu.

Kto z Czytelników mógłby coś poradzić? Prosimy o ewentualne kontakty przez naszą Redakcję.

Pisze Pani Teresa Kondolewicz-Wilk:

W numerze CL 4/07, w rubryce *Sylwetki* ukazał się artykuł dr Adama Redzika, poświęcony Henrykowi Vogelfängerowi – Tońkowi z Wesołej Lwowskiej Fali. Wydaje się, że dr Redzik, prawnik, zamierzał nakreślić sylwetkę H. Vogelfängera – adwokata (bo taki był jego zawód), jednakowoż przeważała postać Tońka.

1. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek słyszała o siostrze H. Vogelfängera, zwłaszcza urodzonej w 1923 r. Różnica wieku między rodzeństwem – 19 lat – możliwa, ale mało prawdopodobna. Natomiast Leontyna była pierwszą żoną Henryka, która skończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Lwowskim i już przed wojną pracowała w tym zawodzie. Będąc Żydówką była zmuszona wyjechać ze Lwowa w połowie 1941 r. Otrzymała dokumenty na nazwisko Marta Grabińska i przeniosła się do Warszawy, gdzie przetrwała wojnę, łącznie z Powstaniem Warszawskim. Po wojnie nie wróciła do nazwiska Vogelfänger, zamieszkała przy ul. Narbutta 20 i pracowała jako radca prawny w Ministerstwie Skarbu. Zmarła w połowie lat 90.

2. Dr Redzik wspomina, że Tońko już w 1933 r. wraz ze Szczepkiem, kreowanym przez spikera radiowego Kazimierza Wajdę (1905–1955), zaczął występować w słuchowisku radiowym „Wesoła Lwowska Fala”, w skeczach autorstwa Wiktora Budzyńskiego, a następnie sam przygotowywał skecze. Otóż K. Wajda był nie tylko spikerem, ale również reporterem, zawodowym aktorem i reżyserem w Polskim Radiu. W. Budzyński był autorem jedynie kilku pierwszych dialogów, a wszystkie następne tworzyli Szczepko i Tońko wspólnie lub na zmianę. Już w 1934 r. została wydana książeczka pt. „Szczepko i Tońko – dialogi radiowe z Wesołej Lwowskiej Fali”, autorstwa Kazimierza Wajdy i Henryka Vogelfängera,

z przedmową Juliusza Petry'ego, dyrektora rozgłośni lwowskiej, nakładem Drukarni Urzędniczej, Lwów, ul. Zielona 7.

3. Nie tylko Henryk Vogelfänger był żołnierzem I Dywizji gen. Stanisława Maczka, ale cały zespół Czołówki Teatralnej WP „Lwowska Fala”.

Na koniec pragnę zaznaczyć, że również Kazimierz Wajda nie doczekał się opracowania, a miał bogatą przeszłość autorską.

Bardzo dziękujemy, Pani Tereso. Wypada dodać, że dr Teresa Kondolewicz-Wilkowa jest siostrzenicą Szczepcia – Kazimierza Wajdy.

Na każde święta otrzymujemy życzenia od Związku Kadetów II Rzeczypospolitej Polski – Żołnierzy AK – Klubu Regionalnego w Krakowie. Serdeczne podziękowanie i wzajemne życzenia (nieco spóźnione) składamy Panu Prezesowi Zenonowi Malikowi, który do swoich życzeń dołączył taki wiersz:

W jednym słowie ALLELUJA!
życzeń krocie –
wyrażonych, wyrzeźbionych
w szczerym złocie.

Wydarzonych, przyniesionych
prosto z Nieba.
Czegóż więcej radosnego
życzyć trzeba!



ERRATA

To największa (i najboleśniejsza) errata spośród tych, jakie się nam dotąd przydały. Dotyczy oczywiście **CL 1/08**, a przyczyny są różne. Część z nich – głównie daty – powstała przy skanowaniu maszynopisów i nie została dokładnie sprawdzona. Są i takie, głównie tzw. literówki, które wynikły z naszej nieuwagi (w obu przypadkach zawiniła sytuacja losowa), lecz i takie, które zawinił niezawodny dotąd nasz współpracownik od składu komputerowego. Te też najbardziej rzucają się w oczy: zabrakło kilku ważnych podpisów pod ilustracjami, jak zwykle starannie przygotowanych. I tu również zadziałały owe przypadki losowe: całości nie udało się na końcu sprawdzić.

Naszych Czytelników serdecznie za to przepraszamy i dziękujemy za zgłaszanie co raz to nowych lapsusów.

- s. 4, prawa szpalta, drugi przypis (**): powinno być: **H. Greba**, a nie *L. Golińskiego*
- s. 33, lewa szpalta, wiersz 26 od góry: nie *Artym*, lecz **Antym** (Nikorowicz); w innym miejscu wydrukowano prawidłowo
- s. 49, lewa szpalta, wiersz 4 od dołu: oczywiście grano **w kiczki**, a nie w *kiszki*
- s. 55, lewa szpalta, wiersz 13 od góry: nazwisko brzmi **Żalplachta**, a nie *Żulplachta*
- s. 71, prawa szpalta, wiersz 22–23 od góry: chodzi o duchową **strawę**, a nie jakąś *sytonę!*

Przy dwóch artykułach pominięto autorów:

- na s. 53 „Kult Marii Antoniny Kratochwil” – autorką jest **Marta Walczewska**
- na s. 55 „140-lecie polskiego „Sokoła” – **Andrzej Pawłowski**.

Oboje autorów prosimy o wybaczenie.

Powtórnie reprodukujemy ilustracje z pominiętymi podpisami:



s. 47

Rodzina właścicieli cegielni w Nawarii. W środku siedzi Katarzyna Raganowicz, wokół jej dzieci – od lewej: Marta, Czesław, Leon, Anna, Waleria. Lwów, lata 1920



s. 48

Dawna cegielnia Raganowiczów w Nawarii, 2007



s. 61

Janina Reichert w pracowni przy ul. Kurkowej, prawdopodobnie XII 1928. W głębi model ołtarza do kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie

Zdjęcie to zostało źle umieszczone, ponieważ powinno się znaleźć u dołu strony – tam, gdzie mowa o odnośnej książce.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

PISARZE I POECI POLSCY XIX WIEKU O WSCHODNIOMAŁOPOLSKIM I WOŁYŃSKIM RODOWODZIE

1. **ALEKSANDER FREDRO** (1793–1876), ur. w Surochowie k. Jarosławia, ale całe życie spędził we Lwowie i w majątku Beńkowa Wisznia k. Mościsk. Największy komediopisarz polski, uczestnik kampanii napoleońskiej. Napisał ok. 40 utworów; główne dzieła: „Zemsta”, „Pan Jowialski”, „Śluby panieńskie”, „Damy i huzary”, pamiętnik „Trzy po trzy”.

2. **JÓZEF KORZENIOWSKI** (1797–1863), ur. pod Brodami, mieszkał w Warszawie. Pisarz i pedagog, swymi utworami wytyczył nowe drogi polskiej twórczości dramatycznej. W powieściach dał realistyczny obraz z życia i obyczajów drobnej szlachty. Najbardziej znane dzieła: „Karpaccy górale”, „Spekulant”, „Kollokacja”.

3. **WINCENTY POL** (1807–1872), ur. w Lublinie, większość życia spędził we Lwowie. Poeta i geograf, uczestnik powstania 1831 r., emigrant. Twórca wierszowanej gawędy staroszlacheckiej, najwybitniejsze dzieło: „Pieśń o ziemi naszej”.

4. **JULIUSZ SŁOWACKI** (1809–1849), ur. w Krzemieńcu, jeden z trzech Wieszczów Narodu. Wielki poeta, dramaturg romantyzmu. Od 1831 r. na emigracji w Szwajcarii, Włoszech i Francji. Największe utwory: „Balladyna”, „Kordian”, „Lilla Weneda”, „Fantazy”, poemat „Anielli”, „Beniowski”, „Król Duch”.

5. **KORNEL UJEJSKI** (1823–1897), ur. w Beremianach k. Czortkowa. Poeta, autor utworów patriotycznych, w tym „Maraton”, „Skargi Jeremiego” (z „Chorałem”).

6. **GABRIELA ZAPOLSKA** (1857–1921), ur. w Podhajcach k. Łucka, życie spędziła we Lwowie. Powieściopisarka i dramatopisarka, pisała naturalistyczne dramaty o tematyce obyczajowej. Główne dzieła: „Moralność pani Dulskiej”, „Żabusia”, „Panna Maliczewska”, „Ich czworo”.

Objaśnienia do ilustracji ze s. 12

Plan sytuacyjny głównego zespołu gmachów Politechniki Lwowskiej. **1.** gmach główny przy ul. L. Sapiehy 12; **2.** budynek Chemii przy pl. św. Jura; **3.** laboratorium maszynowe przy ul. K. Ujejskiego 5; **4.** budynek IV Gimnazjum, adaptowany po 1939 r. na potrzeby Wydziału Mechanicznego; **5.** Biblioteka Główna przy ul. Nikorowicza 1; **6.** gmach b. zakładu karnego, tzw. Magdalenka, przy ul. Baworowskich, adaptowany na potrzeby Uczelni; **7.** budynek administracyjny Magdalenki, adaptowany na laboratoria; **8.** Pomnik Orłąt; **9.** dom mieszkalny przy ul. L. Sapiehy 55, przystosowany na filię Uczelni; **10.** zakład i szkoła ss. Sacre Coeur; **11.** kościół św. Marii Magdaleny

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalnikach CL: Romana Machowska, tel. (12) 637 1321

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiuścacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Słowo od redakcji PRZEPRASZAMY, ŻE ŻYJEMY	II	Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z HELENĄ I KRZYSZTOFEM SKARBINSKIMI	36
Cytaty MIASTO JAK BRYLANT... (2)	1	Tadeusz Krzyżewski HUMOR LUDZI ŻYCZLIWYCH	45
O. ADAM FRANCISZEK STUDZIŃSKI	2	Wspomnienie Krzysztof Bulzacki OSTATNIE SPOTKANIE Z TOŃKIEM	46
Kościół za kordonem ks. Roman Dzwonkowski DRAMAT POLAKÓW...	4	Jerzy Duda O BIŁCE SZLACHECKIEJ I BIŁCHANACH	47
LIST DO PROBOSZCZA Marek Gierczak LIST ZE STRZAŁKOWIC	5	o. Marcin Karas KAPŁAŃSKA PRACA WE LWOWIE	49
s. Irena Chorąta LWÓW – PIERWSZE KROKI SIOSTRY MARTY WIECKIEJ	9	Słownik geograficzno- -historyczny Maria Taszycka BITKÓW ♦ JARYCZÓW NOWY ♦ JARYCZÓW STARY ♦ MOŁOTKÓW ♦ PNIÓW ♦ SOŁOTWINA ♦ TATARÓW	53
Uczelnie lwowskie Zbysław Popławski DZIEDZICTWO POLITECHNIKI...	10	Sylwetki Andrzej Chlipalski PANI WANDA	53
Adam Redzik LOSY UCZELNI LWOWSKICH Tomasz J. Kotliński STOWARZYSZENIA KATOLICKIE LWOWSKICH UCZELNI	12	PROFESOR MAKSYMILIAN HUBER ILU LAT ŻYCZYĆ	55
Adam Redzik LWOWSKA SZKOŁA DYPLOMATYCZNA	13	Z żałobnej karty Teresa Dutkiewicz LIDKA	57
Henryk Kleinrok WSPOMNIENIE O PILOTCE DANUCIE SIKORZANCE	14	WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI	58
Barbara Litwiniukowa O KSIĘDZU TADEUSZU I MUZYCE	16	DOKTOR ALINA CHWALIBOGOWSKA	59
Archiwum KWITNĄCY LWÓW RADZIECKI	18	MARIA KOMORNICKA	59
Poezja Irena Sandecka IMPRESJE KRZEMIENIECKIE	21	Z tamtej strony Teresa Dutkiewicz JUBILEUSZ 15-LECIA	60
STELLA MARIS	24	GINIE POMNIK OBROŃCÓW LWOWA	61
Janusz M. Paluch Z MUZĄ POD RĘKĘ	26	W Krakowie i dalej NOTATKI	62
Franciszek Jaworski WAŻY GUBERNATORSKIE	26	Kultura ♦ Nauka O LESZKU GOLIŃSKIM	63
Historia Jerzy Wolański Z DZIEJÓW GRZYMAŁOWA (2)	27	KRONIKA	64
Jan Zubrzycki DWA ZAMKI WE LWOWIE	30	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI	66
	32	Z GÓRNEJ PÓŁKI	72
		WERTUJĄC WYDAWNICTWA	73
		Listy	74
		Errata	76